



LEÏLA  
SLIMANI

# KOŁYSANKA



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

NAGRODA GONCOURTÓW 2016!

LEÏLA  
SLIMANI

# KOŁYSANKA

Z języka francuskiego przełożyła  
Agnieszka Rasińska-Bóbr



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Dla Émile'a*

„Panna Vezzis przybyła spoza linii granicznej, aby zająć się opieką nad dziećmi pewnej pani (...). Owa pani wyrażała się o panie Vezzis niezbyt pochlebnie, nazywając ją kiepską niańką, brudasem i gapą. Nigdy jej przy tym do głowy nie przyszło, że panna Vezzis miała też własne sprawy i kłopoty życiowe i że te kłopoty były dla panny Vezzis rzeczą najważniejszą w świecie”.

Rudyard Kipling, *Gawędy spod Himalajów*,  
przeł. J. Birkenmajer

„Czy pan rozumie, czy pan rozumie, panie szanowny, co to znaczy, gdy już nie ma dokąd pójść? – przypomniało mu się znieńcka wczorajsze pytanie Marmieładowa. – Albowiem trzeba, żeby każdy człowiek miał jakiegokolwiek miejsce, dokąd by mógł pójść...”

F. Dostojewski, *Zbrodnia i kara*,  
przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski

Młodsze dziecko nie żyje. Wystarczyło kilka sekund. Lekarz zapewniał, że nie cierpiało. Położono je w szarym pokrowcu i zasunięto zamek błyskawiczny nad bezwładnym ciałkiem, które spoczywało pośród zabawek. Natomiast dziewczynka jeszcze żyła, kiedy przyjechało pogotowie. Walczyła jak lew. Znalaziono ślady walki, kawałki skóry pod jej miękkimi paznokciami. W karetce, która wiozła ją do szpitala, była pobudzona, wstrząsały nią konwulsje. Wytrzeszczała oczy, jakby starała się złapać powietrze. Jej gardło wypełniła krew. Miała przedziurawione płuca i mocno uderzyła głową w niebieską komodę.

Scenę zbrodni obfotografowano. Policja zdjęła odciski, zmierzyła pokój dziecięcy i łazienkę. Leżący na podłodze dywan księżniczki nasiąknął krwią. Stół do przewijania był przechylony. Zabawki włożono do przezroczystych toreb i opieczetowano. Nawet niebieska komoda zostanie wykorzystana w trakcie procesu.

Matka była w szoku. Tak mówili strażacy, tak powtarzali policjanci, tak pisali dziennikarze. Gdy weszła do pokoju, w którym leżały dzieci, krzyknęła, to był krzyk z samych trzewi, wycie lwicy. Zadrżały od niego ściany. W środku majowego dnia zapadła ciemność. Wymiotowała i tak zastała ją policja, gdy w brudnych ubraniach kucąca w pokoju, wstrząsana czkawką, jak oszalała. Wyła tak, aż zdawało się, że wypluje płuca. Sanitariusz dał dyskretny znak głową, podnieśli ją, mimo że stawiała opór i kopała. Podnieśli ją powoli i młoda stażystka z pogotowia podała jej coś na uspokojenie. To był pierwszy miesiąc jej stażu.

Tamtą też trzeba było ratować. Z takim samym profesjonalizmem i obiektywizmem. Nie potrafiła umrzeć. Umiała tylko zadać śmierć. Nacięła sobie nadgarstki i wbiła nóż w gardło. Straciła przytomność koło dziecięcego łóżeczka. Podnieśli ją, zbadali jej puls i ciśnienie. Położyli ją na noszach, a młoda stażystka przyciskała jej szyję ręką.

Pod domem zebrali się sąsiedzi. Głównie kobiety. Niedługo trzeba pójść po dzieci do szkoły. Oczami pełnymi łez patrzą na karetkę. Płaczą i chcą wiedzieć, co się stało. Stają na palcach. Próbuje dostrzec, co się dzieje za kordonem policji, w karetce, która rusza z wyciem syreny. Szeptem przekazują sobie informacje. Już rozeszła się pogłoska. Coś złego przytrafiło się dzieciom.

To elegancka kamienica przy rue d'Hauteville w dziesiątej dzielnicy. Kamienica, w której sąsiedzi mówią sobie z sympatią dzień dobry, mimo że się nie znają. Państwo Massé mieszkają na piątym piętrze. To najmniejsze mieszkanie w budynku. Gdy urodziło się im drugie dziecko, Paul i Myriam przedzielili salon ścianką działową. Śpią w wąskim pokoiku, między kuchnią a oknem wychodzącym na ulicę. Myriam lubi meble znalezione na targach staroci i berberyjskie dywany. Na ścianach powiesiła grafiki japońskie.

Dziś wróciła do domu wcześniej. Skróciła spotkanie i postanowiła, że zapozna się z aktami jutro. Siedząc na rozkładanym siedzeniu w metrze linii 7, myślała o tym, że zrobi dzieciom niespodziankę. Gdy wysiadła, wstąpiła do piekarni, gdzie kupiła bagietkę, deser dla dzieci i ciasto pomarańczowe dla niani. Jej ulubione.

Miała zamiar zabrać je na karuzelę. Potem zrobią razem zakupy na kolację. Miła pewnie będzie chciała, żeby kupić jej zabawkę, Adam będzie ssał kawałek bagietki w wózku.

Adam nie żyje. Mila wkrótce umrze.

– Tylko żeby papiery miała w porządku, zgoda? Nie mam nic przeciwko nielegalnym imigrantom, gdy chodzi o sprzątanie lub malowanie. Muszą mieć jakąś pracę, ale w przypadku opieki nad dziećmi to zbyt ryzykowne. Nie chcę zatrudniać kogoś, kto będzie się bał zadzwonić na policję albo jechać do szpitala, gdyby coś się stało. Poza tym żeby nie była za stara, nie chodziła w chuście i nie paliła. Najważniejsze, żeby była inteligentna i dyspozycyjna. Żeby pracowała, żebyśmy też mogli pracować. – Paul wszystko przygotował. Zrobił listę pytań i zaplanował po pół godziny na każdą rozmowę. Zarezerwowali sobie całe sobotnie popołudnie, żeby znaleźć nianię dla swoich dzieci.

Gdy Myriam kilka dni wcześniej rozmawiała o poszukiwaniach niani z Emmą, przyjaciółka skarżyła się na swoją opiekunkę. „Ma tu dwóch synów, więc nigdy nie może zostać dłużej ani popilnować moich chłopców wieczorem. To naprawdę kłopot. Pamiętaj o tym, gdy będziesz z nimi rozmawiała. Jeśli ma dzieci, lepiej, żeby były za granicą, u niej w kraju”. Myriam podziękowała za radę, ale nie spodobało jej się to, co powiedziała Emma. Gdyby jakiś pracodawca mówił o niej albo o którejś z koleżanek w ten sposób, oburzałyby się, że to dyskryminacja. Uznała, że straszne jest pozbawianie szans kogoś dlatego, że ma dzieci. Wolą nie poruszać tej kwestii z Paulem. Jej mąż jest taki jak Emma. To pragmatyk, który na pierwszym miejscu stawia rodzinę i karierę.

Tego ranka poszli całą rodziną na targ na zakupy, we czwórkę. Paul niósł Milę na barana, Adam spał w wózku. Kupili kwiaty, a teraz sprzątają mieszkanie. Chcą zrobić dobre wrażenie na nianiach, które się zjawia. Zbierają książki i pisma walające się na podłodze, pod łóżkiem, a nawet w łazience. Paul prosi Milę, by schowała zabawki do dużych plastikowych pojemników. Dziewczynka protestuje, popłakując, więc w końcu sam umieszcza je w stosie pod ścianą. Składają ubranka, przebierają pościel. Szorują, wyrzucają, starają się rozpaczliwie wywietrzyć mieszkanie, w którym można się udusić. Chcą, by opiekunki zobaczyły, że są ludźmi na poziomie, poważnymi i uporządkowanymi, którzy starają się dać swoim dzieciom to, co najlepsze. Żeby zrozumiały, kto tu rządzi.

Mila i Adam śpią po obiedzie. Myriam i Paul, niespokojni i skrepowani, siedzą na skraju łóżka. Nigdy nie zostawiali dzieci pod cudzą opieką. Myriam kończyła prawo, gdy zaszła w ciążę z Milą, obroniła się dwa tygodnie przed porodem. Paul robił jeden staż za drugim, pełen optymizmu, którym ujął Myriam, gdy się poznali. Był pewien, że da radę pracować za dwoje, że zrobi karierę jako producent muzyczny mimo kryzysu i ograniczeń budżetowych.

Mila była wątłym pobudliwym niemowlęciem i bez przerwy płakała. Nie przybierała na wadze, nie chciała ssać piersi ani pić z butelek, które przygotowywał jej ojciec. Pochylona nad kołyską Myriam zapominała o istnieniu świata zewnętrznego. Jej ambicje ograniczały się do tego, jak sprawić, aby tej chudziutkiej rozwrzeszczanej dziewczynce przybyło kilka gramów. Nie zdawała sobie sprawy, że mijają miesiące. Nigdy z Paulem nie rozstawali się z Milą. Udawali, że nie widzą, iż drażni to znajomych, którzy szeptali za ich plecami, że ani bar, ani sofa w restauracji nie są odpowiednim miejscem dla niemowlęcia. Ale Myriam nie chciała słyszeć o baby-sitterce. Nikt poza nią nie był w stanie zaspokoić potrzeb dziecka.

Mila miała zaledwie półtora roku, gdy Myriam znowu zaszła w ciążę. Zawsze

utrzymywała, że to była wpadka. „Pigułka nigdy nie daje stuprocentowej pewności”, mówiła ze śmiechem do przyjaciółek. A tak naprawdę zaplanowała tę ciążę. Adam był pretekstem, by nie opuszczać domowego zacisza. Paul nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Właśnie dostał pracę asystenta w renomowanym studiu i spędzał tam całe dnie i noce, uzależniony od kaprysów artystów i ich kalendarzy. Żonie najwyraźniej służyło to pierwotne macierzyństwo. Życie w kokonie, z dala od świata i innych ludzi, chroniło ich przed wszystkim.

A potem czas zaczął się dłużyć, doskonały mechanizm rodzinny się zaciął. Rodzice Paula, którzy po przyjściu małej na świat stale im pomagali, zaczęli spędzać coraz więcej czasu w domu na wsi, gdzie przystąpili do dużego remontu. Miesiąc przed porodem wyjechali na trzy tygodnie do Azji i uprzedzili o tym Paula dopiero w ostatniej chwili. Był oburzony, żalił się Myriam na egoizm swoich rodziców, na ich lekkomyślność. Ale Myriam ulżyło. Nie znosiła, gdy Sylvie kręciła się po mieszkaniu. Z uśmiechem słuchała rad teściowej, zaciskała zęby, gdy Sylvie grzebała w lodówce i krytykowała jej zawartość. Teściowa kupowała sałatę ekologiczną. Przygotowywała jedzenie dla Mili, ale zostawiała potworny bałagan w kuchni. Nie zgadzały się z Myriam w żadnej kwestii, toteż w mieszkaniu panowała ciężka wybuchowa atmosfera, która w każdej chwili mogła przerodzić się w kłótnię.

– Daj spokój rodzicom, mają rację, chcąc korzystać z życia teraz, gdy są wolni – powiedziała w końcu Myriam do Paula.

Nie zdawała sobie sprawy ze skali tego, co ją czeka. Z dwójką dzieci wszystko stało się bardziej skomplikowane: zakupy, kąpiele, wizyty u lekarza, sprzątanie. Stos rachunków zaczął rosnąć. Myriam sposepniała. Znienawidziła spacer po parku. Zimowe dni zdawały się ciągnąć bez końca. Denerwowały ją kaprysy Mili, z obojętnością reagowała na próby gaworzenia Adama. Każdego dnia czuła coraz większą potrzebę, by samodzielnie iść naprzód, a na ulicy miała ochotę wrzeszczeć jak szalona. „Pożerają mnie żywcem”, myślała sobie nieraz.

Zazdrościła mężowi. Wieczorami czekała na niego nerwowo pod drzwiami. Przez godzinę żaliła się, że dzieci płaczą, że mieszkanie jest małe, że nie ma żadnej rozrywki. Gdy dopuszczała go do głosu, a on opowiadał o perypetiach związanych z sesją nagraniową jakiejś grupy hiphopowej, rzucała przez zęby:

– Masz szczęście.

Odpowiadał:

– Nie, to ty masz szczęście. Tak bardzo chciałbym patrzeć, jak rosna.

W tej grze nie było zwycięzców.

Nocą Paul spał obok niej głębokim snem człowieka, który przez cały dzień pracował i zasłużył na odpoczynek. Ją zżerały gorycz i żal. Myślała o tym, ile wysiłku kosztowało ją skończenie studiów mimo braku pieniędzy i wsparcia ze strony rodziców, o radości, którą poczuła, gdy przyjęto ją do palestry, gdy po raz pierwszy włożyła togę adwokacką i Paul sfotografował ją, dumną i uśmiechniętą, pod bramą ich kamienicy.

Przez długie miesiące udawała, że znosi tę sytuację. Nawet Paulowi nie potrafiła powiedzieć, jak bardzo się wstydzi. Jak bardzo jej doskwiera, że może opowiadać innym jedynie o tym, co śmiesznego zrobiły dzieci, i o rozmowach nieznanym, których



śledziła w supermarkecie. Zaczęła odrzucać wszystkie zaproszenia na kolacje, przestała odbierać telefony od przyjaciół. Bała się zwłaszcza kobiet, które potrafiły być takie okrutne. Miała ochotę udusić te, które udawały, że ją podziwiają albo co gorsza, że jej zazdroszczą. Nie mogła znieść ich uskarżania się na pracę, na to, że za mało czasu spędzają z dziećmi. Nade wszystko obawiała się nieznajomych. Tych, którzy niewinnie pytali, gdzie pracuje, i odwracali się, słysząc, że zajmuje się domem.

Któregoś dnia, gdy robiła zakupy w Monoprix przy bulwarze Saint-Denis, zorientowała się, że zabrała ze sklepu skarpetki dziecięce, zapomniała, że wsadziła je do wózka. Była pod domem i mogła wrócić do sklepu, żeby je oddać, ale zrezygnowała. Nie opowiedziała o tym Paulowi. Była to błahostka, a jednak nie mogła przestać o tym myśleć. Później co jakiś czas chodziła do Monoprix i chowała w wózku synka szampon, krem albo szminkę, której nigdy nie użyje. Wiedziała, że gdyby ktoś ją zatrzymał, wystarczyłoby odegrać przemęczoną matkę i z pewnością uwierzono by w jej uczciwość. Te śmieszne kradzieże wprawiały ją w podniecenie. Śmiała się do siebie na ulicy, miała wrażenie, że zakpiła sobie z całego świata.

Gdy przypadkowo spotkała Pascala, odebrała to jako znak. Dawny kolega z wydziału prawa w pierwszej chwili jej nie poznał: spodnie na niej wisiły, na nogach miała zniszczone botki, a brudne włosy spięła w kok. Stała koło karuzeli, z której Mila nie chciała zejść.

– Ostatnie kółko – powtarzała za każdym razem, gdy jej córka kurczowo wczepiona w konika mijała ją, machając rączką. Podniosła wzrok: uśmiechał się do niej Pascal z ramionami otwartymi na znak radości i zaskoczenia. Odpowiedziała mu uśmiechem, kurczowo ściskając wózek. Pascal się spieszył, ale na szczęście miał spotkanie dwa kroki od mieszkania Myriam.

– I tak miałam wracać. Przejdziemy się razem? – zaproponowała.

Rzuciła się na Milę, która zaczęła przenikliwie krzyczeć. Nie chciała iść, a Myriam uparcie się uśmiechała, udając, że panuje nad sytuacją. Nie przestawała myśleć o starym swetrze, który miała pod płaszczem, Pascal z pewnością zauważył przetarty golf. Nerwowo pocierała ręką skronie, jakby to wystarczyło, by doprowadzić do porządku wysuszone splecione włosy. Pascal zdawał się niczego nie zauważać. Opowiadał jej o kancelarii, którą otworzył z dwoma kolegami z roku, o kłopotach i radościach rozkręcania własnego biznesu. Spijała słowa z jego warg. Mila ciągle mu przerywała i Myriam dałaby wszystko, by ją uciszyć. Nie spuszczała wzroku z Pascala, grzebała w kieszeniach, w torebce w poszukiwaniu lizaka, cukierka, wszystko jedno czego, by kupić milczenie córki.

Pascal ledwie rzucił okiem na dzieci, nie zapytał, jak mają na imię. Wydawało się, że nawet spokojna cudowna buzia śpiącego w wóeczku Adama nie rozczuła go ani nie wzrusza.

– To tutaj. – Pascal pocałował ją w policzek. Powiedział: – Bardzo się cieszę z naszego spotkania – i wszedł do budynku, którego ciemnoniebieskie drzwi zamknęły się z takim hukiem, że Myriam podskoczyła. Zaczęła po cichu się modlić. Tu, na ulicy, była tak zrozpaczona, że mogłaby usiąść na ziemi i rozplakać się. Chciała się wczepić w nogę Pascala, błagać go, by wziął ją ze sobą, by dał jej szansę. Po powrocie do domu

czuła się kompletnie zdołowana. Popatrzyła na Milę, która spokojnie się bawiła. Wykąpała niemowlę i pomyślała sobie, że to szczęście, zwyczajne nieme więzienne szczęście nie wystarczy, aby ją pocieszyć. Pascal pewnie się z niej natrząsał. Może nawet zadzwonił do dawnych kolegów z wydziału, żeby opowiedzieć im o żalnym życiu Myriam, która „się zaniedbała” i „wbrew naszym oczekiwaniom, nie zrobiła kariery”.

Wizje tych rozmów dręczyły ją przez całą noc. Następnego ranka, gdy wyszła spod prysznica, usłyszała dźwięk SMS-a.

– Nie wiem, czy chcesz wrócić do prawa. Jeśli cię to interesuje, możemy porozmawiać.

Myriam o mało nie wrzasnęła z radości. Zaczęła skakać w mieszkaniu, wyściskała Milę, która powtarzała:

– Co się stało, mamó? Dlaczego się śmiejesz?

Później Myriam się zastanawiała, czy Pascal dostrzegł jej rozpacz czy też po prostu uznał, że szczęśliwym trafem natknął się na Myriam Charfę, najbardziej sumienną studentkę, jaką dane mu było poznać. Może pomyślał, że jest wybrańcem losu, skoro może zatrudnić taką kobietę jak ona, która w dodatku dzięki niemu wróci na salę sądową.

Myriam opowiedziała o tym Paulowi, ale jego reakcja ją rozczarowała. Wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że chciałyś iść do pracy.

Strasznie ją to rozzłościło, bardziej niż powinno. Rozmowa szybko zamieniła się w kłótnię. Zrzuciła mu egoizm, a on oskarżył ją o brak konsekwencji.

– Pójdiesz do pracy, zgoda, ale co zrobimy z dziećmi? – Rechotał, ośmieszając zarazem jej ambicje, a ona jeszcze bardziej czuła się tak, jakby miała na zawsze pozostać uwięziona w tym mieszkaniu.

Gdy się uspokoili, dokładnie przeanalizowali różne możliwości. Był koniec stycznia: nie ma co marzyć o znalezieniu miejsca w żłobku lub w przechowalni. Nie mieli żadnych znajomości w merostwie. A jeśli Myriam pójdzie do pracy, znajdą się w najgorszym przedziale płac: będą zarabiać za dużo, by przysługiwała im pomoc finansowa, a za mało, by zatrudnienie niani nie wiązało się z wyrzeczeniami. Ostatecznie wybrali właśnie to rozwiązanie, po tym, jak Paul stwierdził:

– Uwzględniając godziny nadliczbowe, będziesz zarabiać mniej więcej tyle co niania. Ale skoro uznajesz, że dzięki temu poczujesz się lepiej...

Po tej rozmowie pozostała w niej gorycz. Miała o to pretensje do Paula.

Chciała wszystko załatwić jak należy. Żeby się uspokoić, udała się do agencji, którą niedawno otwarto w dzielnicy. Małe biuro o bezpretensjonalnym wystroju prowadziły dwie kobiety koło trzydziestki. Witrynę pomalowaną na niebiesko, w kolorze wyprawki dla niemowlęcia, zdobiły gwiazdy i złote dromaderki. Myriam zadzwoniła. Właścicielka zlustrowała ją przez szybę. Powoli wstała i wystawiła głowę przez drzwi:

– Tak?

– Dzień dobry.

– Przyszła się pani zapisać? Potrzebna nam pełna dokumentacja. CV i referencje wystawione przez pani byłych pracodawców.

– Nie, nie o to mi chodzi. Szukam niani dla swoich dzieci.

Wyraz twarzy dziewczyny kompletnie się zmienił. Wydawała się zadowolona, że przyjmuje klientkę, i tym bardziej zakłopotana z powodu pomyłki. Ale skąd miała wiedzieć, że ta zmęczona kobieta o gęstych kręconych włosach jest mamą ślicznej dziewczynki popłakującej na chodniku?

Właścicielka otworzyła duży katalog, nad którym Myriam się pochyliła.

– Proszę usiąść – zaproponowała dziewczyna.

Przed oczami Myriam przewijały się dziesiątki zdjęć kobiet, w większości z Afryki lub z Filipin. Mila miała rozrywkę. Komentowała:

– Ta jest paskudna, no nie?

Matka ją upominała i z ciężkim sercem wracała do niewyraźnych albo źle wykadrowanych portretów kobiet, z których żadna się nie uśmiechała.

Właścicielka agencji napawała ją niesmakami. Jej hipokryzja, okrągła zaczerwieniona twarz, postrzępiony szalik na szyi. Jej rasizm, który przed chwilą wyszedł na jaw. Wszystko to sprawiało, że Myriam miała ochotę uciec. Ucisnęła jej dłoń. Obiecała, że porozmawia z mężem, i nigdy więcej już się tam nie pojawiła. Za to sama porozwieszała ogłoszenia w sklepach w dzielnicy. Idąc za radą przyjaciółki, zasypała anonsami strony internetowe, dodając, że sprawa jest pilna. W ciągu tygodnia zadzwoniło sześć osób.

Czeka na tę nianię jak na zbawienie, choć jest przerażona na myśl, że zostawi swoje dzieci. Wie o nich wszystko i chciałaby utrzymać tę wiedzę w tajemnicy. Zna ich upodobania i zwyczaje, natychmiast odgaduje, gdy któreś jest chore lub smutne. Dotychczas nie spuszczała ich z oczu przekonana, że nikt nie będzie ich chronił tak dobrze jak ona.

Odkąd przyszły na świat, wszystkiego się boi. Zwłaszcza, że umrą. Nigdy nie wspomina o tym ani swoim przyjaciółom, ani Paulowi, ale jest pewna, że wszystkim przychodzi to do głowy. Nie wątpi, że tak jak ona każdy czasem patrzył na swoje śpiące dziecko i zastanawiał się, co by czuł, gdyby to ciało było trupem, gdyby te oczy zamknęły się na zawsze. Nic nie może na to poradzić. W jej wyobraźni rodzą się straszne scenariusze, które przegania, potrząsając głową, odmawiając modlitwy, pukając w niemalowane drewno i dotykając ręki Fatimy odziedziczonej po matce. Zaklina los, chorobę, wypadki, zboczone apetyty drapieżników. W nocy śni jej się, że dzieci nagle znikają w obojętnym tłumie. Krzyczy: „Gdzie są moje dzieci?“, a ludzie się śmieją. Myślą, że oszalała.

– Spóźnia się. To źle wróży – niecierpliwi się Paul. Podchodzi do drzwi wejściowych i patrzy przez judasza. Jest czternasta piętnaście, a pierwszej kandydatki, Filipinki, jak nie było, tak nie ma.

O czternastej dwadzieścia Gigi miękko puka do drzwi. Myriam idzie jej otworzyć. Natychmiast zauważa, iż kobieta ma bardzo małe stopy. Mimo chłodu włożyła płócienne tenisówki i białe skarpetki z falbankami. Dobeiega pięćdziesiątki, a ma stopy dziecka. Jest dość elegancka, włosy zaplotła w warkocz, który opada jej na plecy. Paul sucho zauważa, że się spóźniła, i Gigi spuszcza głowę, mamrocząc przeprosiny. Bardzo słabo mówi po francusku. Paul bez przekonania rozpoczyna rozmowę po angielsku. Gigi opowiada o swoich doświadczeniach. O dzieciach, które zostawiła w kraju, o najmłodszym, którego nie widziała od dziesięciu lat. Nie zatrudni jej. Zadaje kilka pytań pro forma i o czternastej trzydzieści odprowadza ją do drzwi.

– Zadzwońmy do pani. *Thank you.*

Potem uśmiechnięta Grace z Wybrzeża Kości Słoniowej bez dokumentów. Caroline, otyła blondyna z tłustymi włosami, która przez całą rozmowę skarży się na bóle pleców i problemy z krążeniem. Malika, Marokanka w dojrzałym wieku, która podkreśla, że od dwudziestu lat pracuje w tym zawodzie i że kocha dzieci. Myriam postawiła sprawę jasno. Nie chce zatrudniać kobiety z Maghrebu do opieki nad dziećmi.

– Dlaczego nie? – próbuje przekonać ją Paul. – Mówiłaby do nich po arabsku, skoro ty nie chcesz.

Ale Myriam absolutnie się sprzeciwia. Obawia się, że połączyłaby je niewidzialna nić porozumienia, zrodziłaby się zażyłość. Że tamta zaczęłaby jej robić uwagi po arabsku. Opowiadać o swoim życiu, a potem prosić o tysiące rzeczy w imię wspólnego języka i religii. Zawsze nieufnie podchodziła do tego, co nazywa się solidarnością imigrantów.

Potem zjawia się Louise. Kiedy później Myriam opowiada o tej pierwszej rozmowie, lubi powtarzać, że było to oczywiste. Jak miłość od pierwszego wejrzenia. Podkreśla zwłaszcza zachowanie córki.

– To ona ją wybrała – dodaje często.

Mila właśnie się obudziła po popołudniowej drzemce, ze snu wyrwał ją przenikliwy płacz brata. Paul idzie po dzidziusia, a mała go nie odstępuje, chowając się za jego nogami. Louise wstaje. Myriam, zafascynowana pewnością siebie niani, wspomina tę scenę do dziś: jak Louise delikatnie wyjmuje Adama z objęć ojca i udaje, że nie widzi Mili.

– Gdzie jest księżniczka? Wydawało mi się, że widzę księżniczkę, ale zniknęła.

Mila zaczyna śmiać się do rozpuku, a Louise kontynuuje zabawę, szukając po kątach, pod stołem, za kanapą tajemniczej zaginionej księżniczki.

Zadają jej kilka pytań. Louise mówi, że jej mąż nie żyje, że jej córka Stéphanie jest już dorosła – ma prawie dwadzieścia lat, wierzyć się nie chce – że jest dyspozycyjna. Podaje Paulowi kartkę z nazwiskami byłych pracodawców. Opowiada o Rouvierach, którzy otwierają tę listę.

– Pracowałam u nich długo, też mieli dwoje dzieci. Dwóch chłopców.

Louise przypada do gustu Paulowi i Myriam. Podobają im się jej gładkie rysy, szczery uśmiech, wargi, które nie drżą. Wydaje się, że nic nie może zmącić jej spokoju.

Ma wzrok kobiety, która jest w stanie wszystkiego wysłuchać i wszystko wybaczyć. Jej twarz przypomina spokojne morze, nikt by nie odgadł, że to otchłań.

Tego samego wieczoru dzwonią do małżeństwa, którego numer telefonu zostawiła im Louise. Odbiera kobieta, odpowiada chłodno. Gdy słyszy nazwisko Louise, natychmiast zmienia ton.

– Louise? Co za szczęście, że państwo na nią trafili. Była dla moich chłopców jak druga matka. Rozstawaliśmy się z nią naprawdę z bólem serca. Szczerze mówiąc, w tamtym czasie zastanawiałam się nawet nad trzecim dzieckiem, żeby móc ją zatrzymać.

Louise otwiera okiennice w swoim mieszkaniu. Minęła piąta rano, na zewnątrz jeszcze świecą się lampy. Ulicą idzie mężczyzna, przemyka wzdłuż ścian, chroniąc się przed deszczem. Lało przez całą noc. Wiatr świszczwał w rurach i wypełniał sny. Jakby krople padały poziomo, waląc z całej siły w fasadę budynku i szyby. Louise lubi wyglądać przez okno. Naprzeciwko, między dwoma ponurymi budynkami, stoi domek otoczony zarośniętym ogrodem. Na początku lata zamieszkało w nim młode małżeństwo, paryżanie, których dzieci bawią się na huśtawce, a w niedzielę pielą ogródek. Louise się zastanawia, po co sprowadzili się do tej dzielnicy.

Ma dreszcze z braku snu. Końcem paznokcia drapie kąt okna. Na próżno z uporem myje szyby dwa razy w tygodniu, ciągle wydają się jej mętne, pokryte kurzem i czarnymi smugami. Nieraz szoruje je tak, że o mało nie pękną. Drapie coraz mocniej okno, aż łamie paznokieć. Podnosi palec do ust i przygryza go, by przestał krwawić.

Mieszkanie składa się tylko z jednego pokoju, który służy Louise zarówno jako sypialnia, jak i salon. Każdego ranka ścieli tapczan i przykrywa go czarną narzutą. Je posiłki przy niskim stoliku, przed stale włączonym telewizorem. Pod ścianą leżą nadal zamknięte pudła. Może są w nich jakieś przedmioty, które mogłyby ożywić tę bezduszną kawalerkę. Po prawej stronie sofy stoi zdjęcie rudej nastolatki oprawione w błyszczącą ramkę.

Delikatnie rozpostarła na tapczanie długą spódnicę i bluzkę. Podnosi z podłogi baleriny kupione przed ponad dziesięcioma laty, ale tak o nie dba, że wciąż wyglądają jak nowe. Proste lakierki na kwadratowym obcasie, ozdobione dyskretną kokardką. Siada i zaczyna czyścić but, nabierając na wacik krem do demakijażu ze słoiczka. Robi to wolno i dokładnie. Czyści zapamiętałe, całkowicie pochłonięta tą czynnością. Wacik jest brudny. Louise przysuwa but do lampy stojącej na okrągłym stoliku. Gdy lakier wydaje się jej dostatecznie błyszczący, odkłada balerinę i sięga po drugą.

Jest tak wcześnie, że zdąży jeszcze pomalować sobie paznokcie zniszczone sprzątaniem. Zakleja palec wskazujący plastrem i powleka pozostałe bardzo dyskretnym różowym lakierem. Po raz pierwszy, mimo ceny, ufarbowała sobie włosy u fryzjera. Czesze je w kok związany nad karkiem. Maluje się, niebieski cień ją postarza, a przecież jest taka krucha, taka drobna, że z daleka wygląda na zaledwie dwadzieścia lat. A ma ponad dwa razy tyle.

Kręci się w kółko po pokoju, który nigdy nie wydawał jej się taki mały, taki wąski. Siada, po czym niemal natychmiast znowu wstaje. Mogłaby włączyć telewizor. Napić się herbaty. Przeczytać stary numer pisma kobiecego, który trzyma przy łóżku. Ale boi się, że się zbyt rozluźni, czas zacznie uciekać, a ona popadnie w otępienie. Poranne przebudzenie uczyniło ją kruchą, bezbronną. Wystarczyłby drobiazg, by na minutę zamknęła oczy, zasnęła i spóźniła się. Musi zachować trzeźwość umysłu, skoncentrować całą uwagę na tym pierwszym dniu pracy.

Nie może czekać w domu. Nie minęła jeszcze szósta rano, ma bardzo dużo czasu, ale idzie szybkim krokiem do kolejki RER. Droga do dworca w Saint-Maur-des-Fossés zabiera jej ponad kwadrans. Siada w wagonie naprzeciwko starego Chińczyka, który śpi skulony, z czołem opartym o szybę. Wpatruje się w jego zmęczoną twarz. Na każdej stacji zastanawia się, czy go nie obudzić. Boi się, że Chińczyk się zgubi, pojedzie za daleko,

a gdy otworzy oczy, okaże się, że jest sam na stacji końcowej, i będzie musiał jechać w przeciwną stronę. Ale nic nie mówi. Rozsądniej jest nie rozmawiać z ludźmi. Kiedyś młoda dziewczyna, piękna brunetka, o mało jej nie uderzyła. „Dlaczego się na mnie patrzysz? Co się tak gapisz?” – krzyknęła.

Gdy pociąg wjeżdża na stację Auber, Louise wyskakuje z wagonu. Jest już trochę więcej ludzi, jakaś kobieta potrąca ją, gdy idzie po schodach na górę, na peron metra. Mdlący zapach croissantów i spalonej czekolady podchodzi jej do gardła. Wsiada do metra linii 7 przy Operze i wychodzi na ulicę na stacji Poissonnière.

Dociera na miejsce z niemal godzinnym wyprzedzeniem, więc siada w ogródku pozbawionej uroku kawiarni Paradis, z której może obserwować wejście do kamienicy. Bawi się łyżeczką. Patrzy z zazdrością na mężczyznę po swojej prawej stronie, który ssie papierosa, trzymając go w grubych oblesnych wargach. Chciałaby mu go wyrwać i zaciągnąć się głęboko. Nie może już usiedzieć na miejscu, więc płaci za kawę i wchodzi do cichego budynku. Za kwadrans zadzwoni, a na razie siada na stopniu między dwoma piętrami. Słyszy jakiś hałas, ledwie ma czas wstać – to Paul zbiega po schodach. Pod pachą niesie rower, na głowie ma różowy kask.

– Louise? Dawno pani tu jest? Dlaczego pani nie weszła?

– Nie chciałam przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pani, wprost przeciwnie. Proszę, to pani klucze – mówi, wyciągając je z kieszeni. – Proszę wejść i czuć się jak u siebie w domu.

– Moja niania jest czarodziejką. – Tak mówi Myriam, gdy opowiada o pojawieniu się Louise w ich codziennym życiu.

Chyba ma zdolności magiczne, bo zamieniła małe duszne mieszkanie w spokojną jasną przestrzeń. Przesunęła ściany. Sprawiała, że szafki są głębsze, a szuflady szersze. Wpuściła do środka światło.

Pierwszego dnia Myriam wydaje jej instrukcje. Pokazuje, jak działa sprzęt. Powtarza, wskazując jakiś przedmiot lub ubranie: „Na to proszę uważać, jestem do tego bardzo przywiązana”. Udziela jej wskazówek na temat kolekcji winylowych płyt Paula, których dzieci nie mają prawa ruszać. Louise kiwa głową, milcząca i posłuszna. Pewna siebie ogląda każde pomieszczenie, jak generał obserwuje teren, który ma podbić.

W ciągu kilku tygodni Louise zamienia to chaotyczne mieszkanie w idealne wnętrze godne elit. Narzuca im swoje niegdysiejsze maniery oraz zamiłowanie do perfekcji. Myriam i Paul nie mogą się nadziwić. Przyszywa guziki do marynarek, w których nie chodzili od miesięcy, bo nie chciało im się szukać igły. Przeszywa rąbki w spódnicach i w spodniach. Ceruje ubrania Mili, które Myriam zamierzała bez żalu wyrzucić. Pierze zasłony pożółkłe od tytoniu i kurzu. Raz w tygodniu zmienia pościel. Paul i Myriam są zadowoleni. Paul mówi jej z uśmiechem, że przypomina Mary Poppins. Nie jest pewien, czy Louise rozumie ten komplement.

Nocą w przyjemnej czystej pościeli śmieją się z tego nowego życia, nie mogąc uwierzyć, że to ich życie. Mają wrażenie, że znaleźli prawdziwą perłę, że są wybrańcami losu. Oczywiście pensja Louise ciąży na rodzinnym budżecie, ale Paul nie skarży się z tego powodu. Po kilku tygodniach nie mogą się już obejść bez Louise.

Wieczorem, gdy Myriam wraca do domu, czeka na nią kolacja. Dzieci są spokojne i uczesane. Louise budzi i spełnia marzenia o idealnej rodzinie, których Myriam się wstydzi. Uczy Milę sprzątać po sobie i na oczach zdumionych rodziców dziewczynka wiesza swój płaszcz na wieszaku.

Zniknęły niepotrzebne rzeczy. Przy Louise nic się nie gromadzi, ani brudne naczynia, ani ubrania, ani koperty, które zapomniało się otworzyć i znajduje się je pod starym czasopismem. Nic nie gnije, nic nie traci ważności. Louise nigdy niczego nie zaniedbuje. Louise jest skrupulatna. Wszystko zapisuje w notesiku w kwiatki. Godziny rytmiki, wycieczki szkolne, wizyty u pediatry. Notuje nazwy leków, które biorą dzieci, cenę lodu, którego kupiła na karuzeli, i słowa wychowawczyni Mili.

Po kilku tygodniach nie boi się już przestawiać przedmiotów. Całkowicie opróżnia szafki, między płaszcami wiesza woreczki z lawendą. Układa bukiety. Czuje spokój i zadowolenie, gdy Adam śpi, Mila jest w przedszkolu, a ona może usiąść i podziwiać swoje dzieło. Ciche mieszkanie jest całkowicie w jej władaniu, jak wróg zdany na jej łaskę.

Ale największych cudów dokonuje w kuchni. Myriam przyznała jej się, że nie umie gotować i nie ma do tego zamiłowania. Niania przygotowuje potrawy, które Paul uważa za niesamowite, a dzieci pochłaniają je bez słowa protestu i nigdy nie trzeba ich zmuszać, żeby zjadły wszystko, co mają na talerzu. Myriam i Paul znowu zaczynają zapraszać przyjaciół, którzy delektują się gulaszem cielęcym, sztuką mięsa w rosole, golonką z szałwią czy chrupiącymi warzywami upichconymi przez Louise. Gratulują Myriam,



obsypują ją komplementami, ale ona zawsze wyznaje: „Wszystko ugotowała nasza niania”.

Gdy Mila jest w przedszkolu, Louise nosi Adama w wielkiej chuście. Lubi czuć na brzuchu tłuściutkie uda dziecka, ślinę spływającą jej po szyi, gdy dzidzius zasypia. Przez cały dzień śpiewa niemowlęciu, zachwycając się jego lenistwem. Masuje Adama, jest dumna z jego wałeczków i różowych okrągłych policzków. Rano dziecko wita ją gaworzeniem, wyciągając do niej tłuste rączki. Gdy pojawiła się Louise, Adam w ciągu kilku tygodni nauczył się chodzić. Przedtem płakał całymi nocami, a teraz śpi spokojnie aż do rana.

Mila natomiast nie jest taka pokorna. To krucha dziewczynka o postawie baletnicy. Louise czesze ją w tak ciasny kok, że dziewczynce robią się od niego skośne oczy, które wydłużają się na skronie. Przypomina wtedy jedną z tych średniowiecznych bohaterek o szerokim czole i arystokratycznym zimnym wzroku. Mila jest trudnym i męczącym dzieckiem. Na wszystkie przeciwności reaguje wraskiem. Rzuca się na ziemię na środku ulicy, tupie, pozwala się ciągnąć po chodniku, by upokorzyć Louise. Kiedy niania kuca i próbuje z nią rozmawiać, Mila odwraca wzrok. Liczy głośno motyle na tapecie. Obserwuje się w lustrze, gdy płacze. To dziecko ma obsesję własnego odbicia. Na ulicy nie odrywa wzroku od szyb wystawowych. Kilka razy wpadła na słup albo potknęła się na jakiejś nierówności na chodniku, bo była pochłonięta podziwianiem siebie.

Mila jest sprytna. Wie, że tłum czuwa i że Louise wstydzi się przedstawień na ulicy. Niania ustępuje szybciej, gdy mają publiczność. Na ulicy Louise musi omijać szerokim łukiem sklepy z zabawkami, przed którymi dziecko przenikliwie krzyczy. W drodze do przedszkola Mila wlecze się noga za nogą. Kradnie malinę ze stoiska z nowalijkami. Wspina się na wystawy, chowa się w bramach kamienic i ucieka ile sił w nogach. Louise próbuje biec za nią z wózkiem, głośno woła małą, która zatrzymuje się dopiero na skraju chodnika. Nieraz Mila żałuje. Niepokoi ją bladeść Louise i przerażenie, jakie w niej wywołała. Wraca pełna miłości, słodka, stara się zyskać przebaczenie. Czepia się nóg niani. Płacze i domaga się czułości.

Powoli Louise oswaja dziecko. Codziennie opowiada jej historyjki, w których zawsze pojawiają się te same postaci. Sierotki, małe zagubione dziewczynki, uwięzione księżniczki i opuszczone zamki strasznych olbrzymów. Pejzaże Louise zamieszkuje dziwna fauna: ptaki z wykrzywionymi dziobami, jednonogie niedźwiedzie i melancholijne jednorożce. Dziewczynka milknie. Nie odstępować niani, jest uważna, niecierpliwa. Domaga się powrotu bohaterów. Skąd biorą się te historie? Emanują z Louise, płyną nieprzerwanym strumieniem, nie musi nawet myśleć ani wysilać pamięci czy wyobraźni. W jakim czarnym jeziorze, w jakim głębokim lesie wyszukała te okrutne baśnie, w których dobrzy na końcu umierają, choć wcześniej ocalili świat?

Myriam jest zawsze rozczarowana, gdy słyszy, że otwierają się drzwi kancelarii adwokackiej, w której pracuje. Jej koledzy zjawiają się koło wpół do dziesiątej. Robią sobie kawę, rozdzwaniają się telefony, parkiet skrzypi, kończy się spokój.

Ona przychodzi do biura przed ósmą. Zawsze jest pierwsza. Zapala tylko małą lampkę na biurku. W kręgu światła w piwnicznej ciszy odnajduje koncentrację z lat studenckich. Zapomina o wszystkim i z rozkoszą pograża się w analizowaniu akt. Czasem idzie ciemnym korytarzem z jakimś dokumentem w ręce i mówi do siebie. Pali papierosa na balkonie, pijąc kawę.

W dniu, w którym Myriam miała wrócić do pracy, obudziła się o świcie pełna dziecinnego podniecenia. Włożyła nową spódnice, buty na obcasie, aż Louise wykrzyknęła:

– Pięknie pani wygląda. – Stojąc na progu z Adamem na rękach, niania wypchnęła swoją pracodawczynię z domu. – Niech się pani o nas nie martwi – powtórzyła – tu wszystko będzie w porządku.

Pascal ciepło przyjął Myriam. Dał jej pokój obok swojego. Dzielą ich tylko drzwi, które często zostawiają uchylone. Po zaledwie dwóch lub trzech tygodniach pracy Pascal powierzył jej obowiązki, których nigdy wcześniej nie cedował na swoich starzejących się współpracowników. Z biegiem czasu Myriam sama zaczyna prowadzić sprawy kilkunastu klientów. Pascal zachęca ją, by się uczyła i wykorzystywała swój olbrzymi zapal do pracy. Myriam nigdy nie protestuje. Nie odmawia przyjęcia żadnej ze spraw, które daje jej Pascal, nigdy się nie skarży, że pracuje do późna. Pascal często jej powtarza: „Jesteś doskonała”. Przez długie miesiące Myriam tonie w nawale banalnych spraw. Broni drobnych dilerów, kretynów, ekshibicjonisty, kiepskich włamywaczy, pijanych kierowców. Zajmuje się przypadkami niewypłacalnych dłużników, oszustw przy użyciu kart bankowych, przywłaszczania sobie cudzej tożsamości.

Pascal liczy, że znajdzie nowych klientów, i zachęca, by poświęciła trochę czasu na pomoc prawną. Dwa razy w miesiącu Myriam udaje się do sądu w Bobigny i do godziny dwudziestej pierwszej czeka na korytarzu wpatrzona w zegarek, a czas jej się dłuży. Nieraz się denerwuje, ostro odpowiada zdezorientowanym klientom. Ale stara się, jak może, i osiąga tyle, ile się da. Pascal bez przerwy jej powtarza: „Musisz znać każdą sprawę na pamięć”. A ona robi w tym kierunku wszystko. Czyta aż do późnej nocy protokoły. Wyławia nawet najmniej istotną nieścisłość, wychwytuje najmniejszy błąd proceduralny. Robi to z maniackim uporem, który w końcu zaczyna przynosić owoce. Dawni klienci polecają ją przyjaciółom, jej nazwisko krąży wśród zatrzymanych. Młody człowiek, który dzięki niej uniknął więzienia, obiecuje, że się jej zrewanżuje. „Wyciągnęłaś mnie z tego. Nie zapomnę o tym”.

Kiedyś została wezwana w środku nocy, by uczestniczyć w przesłuchaniu. Jej dawny klient trafił do aresztu za przemoc domową. A przecież zaklinał się, że nie byłby w stanie uderzyć kobiety. Po cichu ubrała się w ciemności o drugiej w nocy i pochyliła się nad Pauliem, żeby go pocałować. Zamruczał coś i się odwrócił.

Mąż powtarza jej często, że za dużo pracuje, i to doprowadza ją do wściekłości. A jego irytuje jej reakcja, udaje zatroskanego. Utrzymuje, że martwi się o jej zdrowie i niepokoi, czy aby Pascal jej nie wykorzystuje. Ona stara się nie myśleć o dzieciach, nie

dać się wpędzić w poczucie winy. Nieraz wyobraża sobie nawet, iż wszyscy sprzysięgli się przeciw niej. Teściowa, która próbuje ją przekonać, że „Mila tak często choruje, bo czuje się samotna”. Koledzy, którzy nigdy jej nie zapraszają, by poszła z nimi na drinka po pracy, i dziwią się, że siedzi do późna w biurze. „Chyba masz dzieci?” Nawet wychowawczyni, która kiedyś wezwała ją na rozmowę w sprawie idiotycznego zajścia z udziałem Mili i koleżanki z grupy. Gdy Myriam przeprosiła, że nie było jej na ostatnich zebraniach i w zastępstwie wysyłała Louise, siwowłosa wychowawczyni machnęła ręką. „Gdyby pani wiedziała! To choroba naszych czasów. Wszystkie te biedne dzieci pozostawia się na pastwę losu, a oboje rodziców zżera ta sama ambicja. Cały czas są w biegu. Czy pani wie, jakie zdanie z ust rodziców dzieci słyszą najczęściej? «Pospiesz się!». I oczywiście później wszystko spada na nas. To nam dzieci każą płacić za swoje lęki i poczucie, że zostały porzucone”.

Myriam miała wielką ochotę pokazać przedszkolance, gdzie jej miejsce, ale nie była w stanie tego zrobić. Czy powodem było niewygodne krzeselko, na którym siedziała w sali pachnącej farbą i plasteliną? Wystrój sali, głos przedszkolanki wtłaczał ją siłą z powrotem w dzieciństwo, w wiek posłuszeństwa i przymusu. Uśmiechnęła się. Głupio podziękowała i obiecała, że Mila się poprawi. Powstrzymała się, by nie powiedzieć tej starej harpii wprost, co myśli o jej mizoginii i lekcjach moralności. Za bardzo się bała, że siwowłosa pani będzie się mścić na jej dziecku.

Natomiast Pascal zdaje się rozumieć jej zapamiętanie, olbrzymie pragnienie zdobycia uznania i wyzwania na miarę jej ambicji. Między nimi rozgorzała walka, z której obydwójce czerpią dwuznaczną przyjemność. On ją popycha, a ona stawia opór. On ją wykańcza, a ona go nie rozczarowuje. Pewnego wieczoru zaprasza ją po pracy na drinka.

– Jesteś z nami od pół roku, trzeba to uczcić, nie?

Idą w milczeniu ulicą. Przytrzymuje jej drzwi do baru, a ona uśmiecha się do niego. Siadają w głębi sali na wyściełanych kanapach. Pascal zamawia butelkę białego wina. Rozmawiają o jakiejś bieżącej sprawie, ale bardzo szybko zaczynają wspominać studenckie lata. Huczną imprezę u ich wspólnej koleżanki Charlotte w jej zabytkowej kamienicy w osiemnastej dzielnicy. W dniu egzaminów ustnych panikę biednej Céline, z której śmiali się do łez. Myriam pije szybko, świetnie się bawi z Pascalem. Nie ma ochoty wracać do domu. Chciałaby nie musieć nikogo uprzedzać, że będzie później, chciałaby, żeby nikt na nią nie czekał. Ale jest Paul, są dzieci.

Gardło i piersi rozpalilo jej lekkie szczypiące napięcie erotyczne. Przesuwa językiem po wargach. Ma na coś ochotę. Po raz pierwszy od dawna czuje bezinteresowne, lekkomyślne, egoistyczne pożądanie. Pragnienie siebie samej. Nieważne, że kocha Paula, ciało jej męża jest jakby obciążone wspomnieniami. Gdy Paul w nią wchodzi, wchodzi do jej brzucha matki, do ciężkiego brzucha, do którego tak często trafiała jego sperma. Do pełnego fałdek i fał brzucha, w którym zbudowali swój dom, w którym rozkwitło tyle trosk i tyle radości. Paul masował jej spuchnięte fioletowe nogi. Widział krew plamiącą prześcieradło. Przytrzymał jej włosy i czoło, gdy wymiotowała, kucając. Słyszał, jak wrzeszczy. Ocierał jej twarz pokrytą naczyniakami, gdy parła. Wyjął z niej swoje dzieci.

Zawsze odrzucała myśl, że jej dzieci mogą być przeszkodą na drodze do sukcesu, ograniczeniem wolności. Jak kotwica, która ciąży ku dnu, ciągnie twarz topielca w błoto.

Gdy uświadomiła to sobie, na początku pogrążyła się w głębokim smutku, uważała, że to niesprawiedliwe i strasznie frustrujące. Zdała sobie sprawę, że już nigdy nie będzie mogła żyć, nie mając uczucia, że jest niekompletna, że nie robi nic tak, jak powinna, że poświęca jedną część swojego życia na rzecz innej. Bardzo to przeżywała, nie chcąc jednocześnie zrezygnować z marzeń o idealnym macierzyństwie. Z uporem myśląc, że wszystko jest możliwe, że osiągnie wszystkie swoje cele, że nie będzie rozgoryczona ani wykończona. Że nie będzie odgrywać ani męczennicy, ani Matki Courage.

Niemal codziennie Myriam dostaje powiadomienia od swojej przyjaciółki Emmy, która wrzuca na portale społecznościowe zdjęcia w sepia przedstawiające dwójkę jej jasnowłosych dzieci. Dzieci doskonałych, które bawią się w parku. Zapisała je do szkoły, w której w pełni rozwiną swoje talenty, jakie już w nich dostrzega. Dała im niemożliwe do wymówienia imiona zaczerpnięte z mitologii nordyckiej, lubi wyjaśniać ich znaczenie. Na tych zdjęciach Emma też jest piękna. Jej mąż nigdy się na nich nie pojawia, skazany na wieczne fotografowanie idealnej rodziny, do której należy tylko jako widz. A przecież stara się dopasować, znaleźć w kadrze. Nosi brodę, swetry z naturalnej wełny, a do pracy chodzi w obcisłych niewygodnych spodniach.

Myriam nigdy nie odważyłaby się wyznać Emmie, że gdy obserwuje Louise i swoje dzieci, nawiedza ją przelotna myśl, nie tyle okrutna, ile wstydliva. „Staniemy się szczęśliwi – myśli wówczas – dopiero gdy nie będziemy się już nawzajem potrzebować”. Gdy będziemy mogli żyć własnym życiem, życiem, które będzie należało do nas, które nie będzie obchodzić innych. Gdy będziemy wolni.

Myriam podchodzi do drzwi i zerka przez judasza. Co pięć minut powtarza:

– Spóźniają się.

Mila zaczyna się denerwować. Siedzi na skraju kanapy w okropnej sukience z tafty i ma łzy w oczach.

– Myślisz, że nie przyjdą?

– Ależ oczywiście, że przyjdą – odpowiada Louise. – Dajcie im trochę czasu.

Przygotowania do urodzin Mili przybrały rozmiary, które przerastają Myriam. Od dwóch tygodni Louise nie mówi o niczym innym. Wieczorem, gdy Myriam wraca wykończona z pracy, Louise pokazuje jej wykonane własnoręcznie girlandy. Opisuje histerycznym głosem sukienkę z tafty, którą wypatrzyła w sklepie i która, jest tego pewna, sprawi Mili szaloną radość. Kilkakrotnie Myriam musiała się powstrzymać, by jej nie ofuknąć. Męczą ją te śmieszne problemy. Mila jest taka mała! Ona nie widzi powodu, by tak to przeżywać. Ale Louise wpatruje się w nią wytrzeszczonymi oczami. Przywołuje na świadka Milę, która promienieje ze szczęścia. Tylko to się liczy, radość księżniczki, magia zbliżających się urodzin. Myriam przetyka sarkastyczne uwagi. Ma coś w rodzaju poczucia winy i w końcu obiecuje, że postara się uczestniczyć w urodzinach.

Louise postanowiła zorganizować imprezę w środę po południu. Chciała mieć pewność, że dzieci nie wyjadą z Paryża i że nikt nie zawiedzie. Myriam poszła rano do pracy, ale przyrzekła, że wróci po obiedzie.

Kiedy pojawiła się w domu wczesnym popołudniem, o mało nie krzyknęła. Nie poznała własnego mieszkania. Salon wyglądał kompletnie inaczej, zewsząd zwisały świecidełka, baloniki, papierowe girlandy. A do tego usunięto kanapę, by dzieci miały się gdzie bawić. A nawet dębowy stół, tak ciężki, że nigdy go nie ruszali, odkąd się tu sprowadzili, wylądował na drugim końcu pomieszczenia.

– Kto poprzesuwał te meble? Paul pani pomógł?

– Nie – odpowiada Louise. – Poradziłam sobie sama.

Myriam przeciera oczy ze zdumienia, chce jej się śmiać. „To żart”, myśli, obserwując chude, cienkie jak zapałki ramiona niani. A potem przypomina sobie, że zauważyła już zadziwiającą siłę Louise. Raz czy dwa była pod wrażeniem, kiedy Louise podnosiła ciężkie nieporęczne pakunki, trzymając jednocześnie na rękach Adama. W kruchej drobnej sylwetce Louise kryje się energia olbrzyma.

Przez cały ranek Louise dmuchała baloniki, którym nadała kształt zwierząt i poprzyczepiała je wszędzie, począwszy od przedpokoju, a skończywszy na szufladach w kuchni. Sama upiekła tort urodzinowy, ogromną szarlotkę z czerwonymi owocami, udekorowaną na wierzchu.

Myriam żałuje, że wyszła wcześniej z pracy. Byłoby jej tak dobrze w cichym biurze. Urodziny córki napawają ją lękiem. Boi się, że dzieci będą się nudziły albo denerwowały. Nie ma ochoty upominać tych, które się pokłóca, ani pocieszać tych, których rodzice się spóźniają, gdy mają je odebrać. Wracają mrozące krew w żyłach wspomnienia z dzieciństwa. Przypomina sobie, jak siedziała na grubym białym wełnianym dywanie, z dala od dziewczynek, które wspólnie bawiły się serwisem dla lalek. Kawalek czekolady roztopił jej się między wełnianymi włóknami, usiłowała to ukryć, co tylko pogorszyło sprawę. Matka jubilatki skrzyczała ją na oczach wszystkich.

Myriam chowa się w sypialni, zamyka drzwi i udaje, że jest pochłonięta lekturą maili. Wie, że jak zawsze może liczyć na Louise. Rozlega się dzwonek. Salon wypełnia się dziecięcym gwarem. Louise nastawia muzykę. Myriam dyskretnie wychodzi z pokoju i obserwuje dzieci skupione wokół niani. Kręcą się dookoła niej całkowicie zauroczone. Przygotowała piosenki i sztuki magiczne. Przebiera się na ich zdumionych oczach i dzieci, które przecież niełatwo oszukać, wiedzą, że jest jedną z nich. Stoi rozedrgana, wesółą, przekorna. Intonuje piosenki, naśladuje odgłosy zwierząt. Bierze nawet na barana Milę i jednego kolegę w obecności dzieciaków, które śmieją się do łez i proszą, by też dała im się pobawić w rodeo.

Myriam podziwia u Louise zdolność do bawienia się naprawdę. Do bawienia się z poczuciem wszechmocy, które posiadają jedynie dzieci. Gdy pewnego wieczoru Myriam wraca do domu, zastaje Louise leżącą na podłodze z pomalowaną twarzą. Grube czarne kreski na policzkach i na czole tworzą maskę wojowniczką. Zrobiła sobie pióropusz z bibuły. Na środku salonu zbudowała krzywe tipi z prześcieradła, miotły i krzesła. Stojąca w uchylonych drzwiach Myriam jest skrepowana. Obserwując Louise, która się wiję, wydaje dzikie okrzyki, Myriam czuje się straszliwie zażenowana. Niania wygląda na pijaną. To pierwsza myśl, która przychodzi jej do głowy. Na jej widok Louise wstaje z zaczerwienionymi policzkami, lekko się chwiejąc.

– Ścierpły mi nogi – mówi przepraszająco.

Adam wczepił jej się w łydkę, Louise się śmieje, a jej śmiech należy jeszcze do wymyślonego świata, w którym się bawili.

Może Louise też jest dzieckiem, uspokaja się Myriam. Bardzo poważnie podchodzi do zabaw, które wymyśla dla Mili. Bawią się na przykład w policjantów i złodziei i Louise daje się zamknąć za wymaginowanymi kratami. Nieraz to ona reprezentuje porządek i ściga Milę. Za każdym razem tworzy dokładną topografię, którą Mila musi zapamiętać. Robi przebrania, opracowuje scenariusz pełen zaskakujących zwrotów akcji, bardzo pieczołowicie przygotowuje dekoracje. Dziecku nieraz się nudzi.

– Proszę cię, bawmy się już! – błaga.

Myriam o tym nie wie, ale Louise najbardziej lubi bawić się w chowanego. Tylko że nikt nie odlicza i nie ma żadnych reguł. Zabawa opiera się przede wszystkim na efekcie zaskoczenia. Bez uprzedzenia Louise znika. Kuli się w jakimś kącie i pozwala dzieciom się szukać. Często wybiera miejsca, skąd z ukrycia dalej może je obserwować. Wślizguje się pod łóżko lub za drzwi i w ogóle nie rusza. Wstrzymuje oddech.

Mila rozumie wtedy, że zabawa się rozpoczęła. Krzyczy jak szalona i klaszcze w dłonie. Adam idzie w jej ślady. Śmieje się tak bardzo, że trudno mu utrzymać równowagę i upada kilkakrotnie na pupę. Wołają ją, ale Louise nie odpowiada.

– Louise? Gdzie jesteś? Uważaj, Louise, idziemy, znajdziemy cię.

Louise się nie odzywa. Nie wychodzi z kryjówki, chociaż wrzeszcza, płaczą, rozpaczają. Schowana w cieniu obserwuje panikę wyczerpanego, wstrząsanego łkaniem Adama. On nie rozumie. Woła „Louise”, połykając ostatnią sylabę, zasmarkany, z fioletowymi z wściekłości policzkami. Mila też w końcu zaczyna się bać. Przez chwilę wręcz sądzi, że Louise naprawdę odeszła, zostawiła ich w mieszkaniu, wkrótce zapadnie noc, są sami, a ona już nie wróci. Lęk staje się nieznośny i Mila błaga nianię. Mówi:

– Louise, to nie jest śmieszne, gdzie jesteś?

Dziecko się denerwuje, tupie. Louise czeka. Patrzy na nich, jak patrzy się na agonię świeżo złowionej ryby, na zakrwawione skrzela, na ciało wstrząsane drgawkami. Ryba rzuca się po pokładzie statku, usiłuje złapać powietrze zmęczonym pyszczkiem i nie ma najmniejszych szans, by wyjść z tego cało.

Potem Mila zaczyna odkrywać kryjówki. Zrozumiała, że trzeba otwierać drzwi, podnosić zasłony, schylać się, żeby sprawdzić pod wycieraczką. Ale Louise jest taka drobna, że zawsze znajduje nowe skrytki, w których może się schować. Wślizguje się do kosza z brudną bielizną, pod biurko Paula lub w głąb szafy i przykrywa się kocem. Raz



schowała się w kabinie prysznicowej w ciemnej łazience. Mila szukała jej wtedy na próżno. Wybuchła płaczem, a Louise zastygła. Mimo rozpaczki dziecka pozostała nieugięta.

Któregoś dnia Mila przestaje krzyczeć. Louise wpadła we własne sidła. Mila się nie odzywa, krąży wokół kryjówki, udając, że nie widzi niani. Siada na koszu z brudną bielizną i Louise czuje, że się dusi.

– Pogodzimy się? – mruczy dziecko.

Ale Louise nie chce się poddać. Siedzi cicho z kolanami pod brodą. Stopy dziewczynki lekko uderzają w wiklinowy kosz na bieliznę.

– Louise, wiem, że tam jesteś – mówi, śmiejąc się.

Nagle Louise wstaje z szybkością, która zaskakuje Milę i sprawia, że dziewczynka spada na ziemię. Uderza głową w kafelki pod prysznicem. Oszołomiona wybucha płaczem, a potem, na widok triumfującej zmartwychwstałej Louise, która patrzy na nią ze szczytu swojego zwycięstwa, jej przerażenie zamienia się w histeryczną radość. Adam przybiegł do łazienki, dołącza do tańca i podskoków dwóch dziewcząt, które śmieją się do rozpuku.

## Stéphanie

Gdy Stéphanie miała osiem lat, umiała przewinąć niemowlę i przygotować mu jedzenie w butelce. Wprawnym ruchem przytrzymała delikatny kark noworodków, gdy podnosiła je z łóżeczka. Wiedziała, że należy je kłaść na plecach i nie wolno nimi potrząsać. Kapała je, trzymając mocno za ramię. Krzyki, kwilenie noworodków, ich śmiech, płacz wryły się we wspomnienia jedynaczki. Wszyscy się cieszyli, że okazuje tyle miłości maluchom. Uważali, że jej instynkt macierzyński i oddanie są czymś wyjątkowym, rzadko spotykanym u dziewczynki w jej wieku.

Gdy Stéphanie była mała, jej matka Louise opiekowała się dziećmi we własnym domu, a raczej w domu Jacques'a, który z uporem to podkreślał. Rano matki zostawiały tam swoje maleństwa. Pamięta te spieszące się smutne kobiety, które stały potem z uchem przyklejonym do drzwi. Louise nauczyła ją słuchać ich nerwowych kroków w korytarzu. Niektóre wracały do pracy wkrótce po porodzie i zostawiały maleńkie niemowlęta w ramionach Louise. Dawały jej także w nieprzezroczystych torbach mleko, które nocą odciągały z piersi, a Louise chowała je do lodówki. Stéphanie pamięta stojące na półce pojemniczki z wypisanymi imionami dzieci. Kiedyś w nocy wstała i otworzyła pojemnik z napisem Jules przeznaczony dla czerwonego noworodka, który ostrymi paznokciami podrapał jej policzek. Wypiła je duszkiem. Na zawsze zapamiętała smak zepsutego melona, kwaśny smak, który na kilka dni pozostał jej w ustach.

W sobotnie wieczory zdarzało się jej towarzyszyć matce, gdy pilnowała dzieci w mieszkaniach, które wydawały się jej olbrzymie. Piękne dumne kobiety przechodziły korytarzem i zostawiały czerwone ślady szminki na policzkach dzieci. Mężczyźni nie lubili czekać w salonie, przeszkadzała im obecność Louise i Stéphanie. Niecierpliwili się, uśmiechając się głupio. Poganiali żony, potem pomagali im włożyć płaszcz. Przed wyjściem kobiety kucały w butach na cienkich obcasach i ocierały łyzy z policzków syna. „Nie płacz już, kochanie. Louise opowie ci bajkę i utuli. Prawda, Louise?” Louise potakiwała. Trzymała na wyciągniętych rękach dzieci, które się wyrzywały, domagając się matki. Nieraz Stéphanie ich nienawidziła. Nie cierpiała tego, jak były Louise, jak zwracały się do niej niczym mali despoci.

Gdy Louise kładła dzieci spać, Stéphanie grzebała w szufladach, w kasetkach leżących na okrągłych stolikach. Wyciągała albumy ze zdjęciami schowane na dolnej półce. Louise wszędzie sprzątała. Myła naczynia, ścierała ladę w kuchni. Składała ubrania, które przed wyjściem pani rzuciła na łóżko, zastanawiając się, co na siebie włoży. „Nie musisz zmywać – powtarzała Stéphanie. – Chodź, usiądź przy mnie”. Ale Louise to uwielbiała. Uwielbiała patrzeć na zachwycone twarze rodziców, którzy po powrocie stwierdzali, że oprócz baby-sitterki dostali darmową sprzątaczkę.

Rouvierowie, dla których Louise pracowała przez kilka lat, zabrali je do domu na wsi. Louise pracowała, a Stéphanie miała wakacje. Ale nie przyjechała tu, tak jak mali państwo, aby się opalać i opychać owocami. Nie przyjechała tu, by naginać zasady, chodzić późno spać i uczyć się jeździć na rowerze. Przyjechała tu tylko dlatego, że nikt nie wiedział, co z nią zrobić. Matka prosiła, by nie rzucała się w oczy i cicho się bawiła. By nie sprawiała wrażenia, że za bardzo z tego wszystkiego korzysta. „Mogą sobie

mówić, że my też mamy poniekąd wakacje, ale jeśli będziesz się zbyt dobrze bawić, źle to przyjmą”. Przy stole Stéphanie siedziała obok matki, z dala od gospodarzy i ich gości. Pamięta, że ludzie cały czas mówili i mówili. One z matką spuszczały wzrok i w milczeniu przełykały jedzenie.

Rouvierowie źle znosili obecność dziewczynki. Przeszkadzała im, to odczucie było niemal fizyczne. Czuli wstydlivą antypatię do tego ciemnowłosego dziecka z nadwagą, w spranym kostiumie kąpielowym, z twarzą pozbawioną wyrazu. Kiedy Stéphanie siedziała w salonie obok małego Hectora i Tancrede’a, żeby oglądać telewizję, mimowolnie irytowało to rodziców. W końcu zawsze ją o coś prosili „Stéphanie, bądź tak miła i przynieś mi okulary, leżą w korytarzu”. Albo mówili, że matka czeka na nią w kuchni. Na szczęście Louise zabroniła córce zbliżyć się do basenu, Rouvierowie nawet nie musieli w tej sprawie interweniować.

W przeddzień wyjazdu Hector i Tancrede zaprosili sąsiadów, by poskakali z nimi na nowiutkiej trampolinie. Stéphanie, która była niewiele starsza od chłopców, wykonywała niesamowite figury. Salta, fikołki, na widok których pozostałe dzieci wydawały entuzjastyczne okrzyki. Pani Rouvier w końcu poprosiła Stéphanie, by zeszła i dała się pobawić młodszym dzieciom. Podeszła do męża i z ubolewaniem w głosie powiedziała: „Chyba nie powinniśmy jej znowu zapraszać. Sądzę, że to dla niej za trudne. Pewnie cierpi, widząc, ilu rzeczy nie ma prawa robić”. Jej mąż uśmiechnął się z ulgą.

Przez cały tydzień Myriam czekała na ten wieczór. Otwiera drzwi do mieszkania. Na fotelu w salonie leży torebka Louise. Słysząc śpiew dziecięcych głosików. Zielona myszka i statki na wodzie, coś, co się kręci, i coś, co pływa. Idzie na paluszkach. Louise klęczy na podłodze pochylona nad wanną. Mila zamacza rudą lalkę w wodzie, a Adam klaszcze, podśpiewując. Louise delikatnie bierze kawałki piany i kładzie je dzieciom na głowach. Śmieją się z tych kapeluszy, które niania zdmuchuje.

W metrze, którym wracała do domu, Myriam niecierpliwiła się jak zakochana. Nie widziała dzieci przez cały tydzień i obiecała sobie, że tego wieczoru cała się im poświęci. Razem wskoczą do dużego łóżka. Będzie je łaskotać, całować, przytulać do siebie, aż je udusi. Aż zaczną się wrywać.

Schowana za drzwiami do łazienki, patrzy na nie i bierze głęboki wdech. Czuje nieprzepartą potrzebę, by żywić się ich skórą, całować małe rączki, słyszeć, jak cienkie głosiki wołają do niej „mamo”. Nagle stwierdza, że jest sentymentalna. To efekt macierzyństwa. Macierzyństwo sprawia, że nieraz robi się trochę naiwna. W rzeczach banalnych widzi coś wyjątkowego. Łatwo się wzrusza.

Przez cały tydzień wracała późno do domu, kiedy dzieci już spały. Po wyjściu Louise zdarzało się jej kłaść koło Mili, w jej małym łóżeczku, i wdychać cudowny zapach włosów córki, chemiczny zapach truskawkowych cukierków. Tego wieczoru pozwoli im robić to, co zwykle jest zabronione. Będą jedli pod kołdrą kanapki z masłem solonym i z czekoladą. Będą oglądali bajki i zasną późno przytuleni do siebie. W nocy dzieci będą ją kopać w twarz, a ona będzie źle spała, bojąc się, że Adam spadnie.

Dzieci wychodzą z wody i na golasa biegną, by rzucić się w ramiona matki. Louise zaczyna sprzątać łazienkę. Gdy myje gąbką wannę, Myriam mówi do niej:

– Niech pani da spokój, nie warto zawracać sobie tym głowy. Już późno. Może pani wracać do domu. Pewnie miała pani ciężki dzień.

Louise udaje, że nie słyszy, i kucając, dalej czyści brzegi wanny i układa zabawki rozrzucone przez dzieci.

Potem składa ręczniki. Opróżnia pralkę i ścieli dzieciom łóżka. Chowa gąbkę do szafki w kuchni i wyjmuje rondel, który stawia na kuchence. Bezradna Myriam patrzy, jak się krząta. Próbuje ją przekonać:

– Dam sobie radę, zapewniam panią.

Chce wyjąć jej rondel z rąk, ale Louise ściska rączkę. Łagodnie odpycha Myriam.

– Niech pani odpocznie – mówi. – Pewnie jest pani zmęczona. Niech się pani pobawi z dziećmi, a ja przygotuję im kolację. Nawet pani nie zauważy, że tu jestem.

I to prawda. W miarę upływu czasu Louise doprowadza do perfekcji umiejętność bycia jednocześnie niewidoczną i niezbędną. Myriam już do niej nie dzwoni, by uprzedzić, że będzie później, a Mila nie pyta już, kiedy mama wróci. Louise jest na miejscu, niosąc całą tę delikatną konstrukcję na swoich wątłych barkach. Myriam zgadza się, by jej matkowała. Codziennie zostawia wdzięcznej Louise więcej zadań. Niania jest jak te osoby, które w teatrze zmieniają w ciemności dekoracje na scenie. Podnoszą tapczan, przesuwiają jedną ręką kolumnę z kartonu, kawałek ściany. Louise krząta się za kulisami, dyskretna i potężna. To ona trzyma niewidzialne nici, bez których magia nie zadziała. Jest Wisznu, zazdrosnym opiekuńczym bóstwem żywicielem. Jest wilczycą,

z której wymion piją, niezawodnym źródłem ich rodzinnego szczęścia.

Patrzy się na nią i nie widzi się jej. Zawsze jest blisko, ale nie należy do bliskich. Przychodzi coraz wcześniej, wychodzi coraz później. Pewnego ranka, wychodząc spod prysznica, naga Myriam staje twarzą w twarz z nianią, która nawet nie mrugnie. – „Co ją obchodzi moje ciało? – uspokaja się Myriam. – Po prostu nie jest pruderyjna”.

Louise zachęca ich, by wychodzili wieczorami.

– Z młodości trzeba korzystać – powtarza jak automat.

Myriam słucha jej rad. Uważa, że Louise jest rozsądna i życzliwa. Pewnego wieczoru Paul i Myriam idą na imprezę do muzyka, którego Paul niedawno poznał. Odbywa się w szóstej dzielnicy w mieszkaniu przerobionym ze strychu. Salon jest maleńki, sufit niski, panuje ścisk. I bardzo wesoła atmosfera, wkrótce wszyscy zaczynają tańczyć. Żona muzyka, wysoka blondyna z ustami pomalowanymi szminką w kolorze fuksji, podaje skręty i leje wódkę do zmrożonych kieliszków. Myriam rozmawia z ludźmi, których nie zna, ale śmieje się z nimi na całe gardło. Spędza godzinę w kuchni, siedząc na ladzie. O trzeciej w nocy goście skarżą się, że są głodni, i piękna blondyna robi im omlet z grzybami, który jedzą pochyleni nad kuchenką, dzwoniąc widelcami.

Gdy koło czwartej rano Myriam i Paul wracają do domu, Louise śpi na kanapie z podkurczonymi nogami. Paul delikatnie przykrywa ją kocem.

– Nie budźmy jej. Wygląda tak spokojnie.

I Louise zaczyna u nich sypiać raz, dwa razy w tygodniu. Nigdy nie zostało to jasno powiedziane, nie rozmawiają o tym, ale Louise cierpliwie wije sobie gniazdko w ich mieszkaniu.

Paula czasem niepokoją te wydłużające się godziny pracy.

– Nie chciałbym, żeby nas któregoś dnia oskarżyła, że ją wykorzystujemy.

Myriam obiecuje, że zrobi z tym porządek. Ona, taka rygorystyczna, taka uczciwa, ma do siebie pretensje, że nie zajęła się tym wcześniej. Porozmawia z Louise, wszystko wyjaśni. Czuje się jednocześnie skrępowana, a w głębi duszy szczęśliwa, że Louise bierze na siebie prace domowe, że robi to, o co nigdy jej nie prosiła. Myriam bez przerwy ją przeprasza. Gdy wraca późno, mówi: „Przepraszam, że nadużywam pani uprzejmości”. A Louise zawsze odpowiada: „Od tego jestem, niech się pani nie martwi”.

Myriam często daje jej prezenty. Kolczyki, które kupuje w niedrogim sklepie przy wyjściu z metra. Ciasto pomarańczowe, jedyne, za którym Louise przepada. Daje jej ubrania, których już nie nosi, a przecież przez długi czas sądziła, że jest w tym coś upokarzającego. Myriam robi wszystko, by nie zranić Louise, by nie wzbudzić w niej zazdrości ani nie wyrządzić jej przykrości. Kiedy kupi coś dla siebie bądź dla dzieci, chowa nowe ubrania do starej płóciennej torby i wyjmuje je dopiero po wyjściu Louise. Paul podziwia ją za tyle taktu.

W otoczeniu Paula i Myriam w końcu wszyscy znają Louise. Niektórzy spotkali ją w dzielnicy lub w mieszkaniu. Inni tylko słyszeli o cudach, jakich dokonuje ta nadzwyczajna niania, wyjęta żywcem z bajki dla dzieci.

„Kolacje Louise” stają się tradycją, stałym punktem spotkań, a o udział w nich zabiegają wszyscy przyjaciele Myriam i Paula. Louise zna gust każdego. Wie, że Emma ukrywa anoreksję za uczoną ideologią wegetariańską. Że Patrick, brat Paula, jest amatorem mięsa i grzybów. Kolacje przeważnie odbywają się w piątek. Louise gotuje przez całe popołudnie, podczas gdy dzieci bawią się u jej stóp. Sprząta mieszkanie, układa kwiaty, by stół ładnie wyglądał. Pojechała kiedyś na drugi koniec Paryża, żeby kupić kilka metrów materiału, z którego uszyła obrus. Gdy stół jest nakryty, sos odparowany, a wino przelane do karafki, wymyka się z mieszkania. Czasami spotyka gości na dole w holu albo przy wyjściu z metra. Nieśmiało odpowiada na ich komplementy i porozumiewawcze uśmiechy, które posyłają jej z ręką na brzuchu i śliną w ustach.

Pewnego wieczoru Paul nalega, żeby została. To wyjątkowy dzień.

– Musimy uczcić tyle rzeczy!

Myriam dostała od Pascala bardzo poważną sprawę, którą ma szansę wygrać dzięki przemysłnej walecznej obronie. Paul też jest w dobrym nastroju. Przed tygodniem, gdy pracował w studiu nad własnym nagraniem, do jego kabiny wszedł znany piosenkarz. Rozmawiali bez końca o wspólnych gustach, pomysłach na aranżacje, o niesamowitym sprzęcie, który mogliby zdobyć, i w końcu piosenkarz zaproponował Paulowi realizację swojej kolejnej płyty.

– Są takie lata, kiedy los się do nas uśmiecha. Trzeba umieć z tego korzystać – postanawia Paul. Chwyta Louise za ramiona i patrzy na nią z uśmiechem. – Czy pani chce, czy nie, dziś zje pani kolację z nami.

Louise chowa się w pokoju dzieci. Długo leży, przytulając Milę. Głaska jej skronie i włosy. Obserwuje spokojną twarz Adama w niebieskim świetle lampki. Nie może się zdecydować na wyjście z pokoju. Słyszy otwierające się drzwi wejściowe i śmiechy w korytarzu. Odgłos otwieranej butelki szampana, fotela dosuwanego do ściany. W łazience Louise poprawia kok i kładzie warstwę fiołkoworóżowego cienia na powieki. Myriam nigdy się nie maluje. Tego wieczoru ma na sobie proste dżinsy i koszulę Paula, której rękawy podwinęła.

– Sądzę, że się nie znacie? Pascal, przedstawiam ci naszą Louise. Wiesz, że wszyscy nam jej zazdroszczą! – Myriam obejmuje Louise za ramiona. Uśmiecha się i odwraca trochę skrępowana poufałością swojego gestu. – Louise, przedstawiam pani Pascala, mojego szefa.

– Twojego szefa? Przestań! Pracujemy razem, jesteśmy kolegami. – Pascal śmieje się hałaśliwie, wyciągając rękę do Louise.

Louise usiadła w rogu kanapy, jej długie palce z polakierowanymi paznokciami kurczowo trzymają kieliszek szampana. Jest zdenerwowana jak cudzoziemka, emigrantka nierozumiejąca języka, którym mówią ludzie dookoła. Wymienia nieśmiało życzliwe uśmiechy z gośćmi siedzącymi po obu stronach niskiego stolika. Ktoś wznosi toast za talent Myriam, za piosenkarza Paula, ktoś nuci nawet jego melodię. Rozmawiają o swojej pracy, o terroryzmie, rynku nieruchomości. Patrick opowiada o swoich wakacyjnych

planach, wybiera się na Sri Lankę.

Emma, która siedzi obok Louise, mówi o swoich dzieciach. Na ten temat Louise może rozmawiać. Emma dzieli się swoimi niepokojami z Louise, która ją uspokaja.

– Często się z tym spotykałam, proszę się nie martwić – powtarza niania.

Emma, która ma tyle obaw, a nikt jej nie słucha, zazdrości Myriam, że może liczyć na tę nianię z twarzą sfinksa. Emma jest łagodną kobietą, którą zdradzają jedynie jej wiecznie załamane ręce. Jest uśmiechnięta, ale zawistna. Uwodzicielska, a jednocześnie strasznie zakompleksiona.

Emma mieszka w tej części dwudziestej dzielnicy, gdzie squaty zamieniły się w żłobki ekologiczne. Zajmuje mały domek urządzony z takim smakiem, że człowiek czuje się tam niemal niezręcznie. Jakby pełen bibelotów i poduszek salon miał raczej wzbudzać zazdrość, niż służyć odpoczynkowi.

– Miejskowa szkoła to zupełny dramat. Dzieci plują na podłogę. Kiedy się ją mija, słyhać, jak wyzywają się od dziwek i pedałów. Nie twierdzę, że w szkole prywatnej, do której posyłam swoje dzieci, nie pada słowo „kurwa”. Ale mówią to inaczej, nie sądzi pani? Przynajmniej wiedzą, że mogą tak mówić tylko między sobą. Wiedzą, że to coś złego.

Emma słyszała nawet, że do szkoły publicznej, tej przy jej ulicy, rodzice przywożą dzieci w piżamach z ponad półgodzinnym opóźnieniem. A jedna matka w chuście nie chciała podać ręki dyrektorowi.

– To smutne, ale Odin byłby jedynym białym w swojej klasie. Zdaję sobie sprawę, że nie wolno się poddawać, nie wiem jednak, co bym zrobiła, gdyby któregoś dnia wrócił do domu, wzywając Boga i mówiąc po arabsku. – ciągnie Emma. Myriam uśmiecha się do niej. – Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

Śmiejąc się, wstają, żeby zasiąść do stołu. Paul sadza Emmę koło siebie. Louise spieszy do kuchni i gdy wchodzi do salonu z półmiskiem w ręce, witają ją brawa.

– Zaczerwieniła się – żartuje Paul zbyt cieniem głosem.

Przez kilka minut Louise jest w centrum uwagi.

– Jak zrobiła ten sos?

– Świetny pomysł z tym imbirem!

Goście chwalą jej sztukę, a Paul zaczyna mówić o niej „nasza niania”, tak jak mówi się o dzieciach i starcach w ich obecności. Nalewa wino i rozmowy szybko wznoszą się ponad pokarmy ziemskie. Wszyscy mówią coraz głośniejszym głosem. Gaszą papierosy na talerzach, niedopałki pływają w resztkach sosu. Nikt nie zauważył, że Louise schowała się w kuchni, którą pilnie sprząta.

Myriam rzuca Paulowi poirytowane spojrzenie. Udaje, że śmieje się z jego żartów, ale denerwuje ją, gdy jest pijany. Staje się rubaszny, ciężki, traci poczucie rzeczywistości. Kiedy za dużo wypije, zaprasza ohydnych ludzi, składa obietnice, których nie może dotrzymać. Kłamie. Ale on najwyraźniej nie widzi irytacji żony. Otwiera kolejną butelkę wina i uderza w brzeg stołu.

– W tym roku zrobimy sobie przyjemność i zabierzemy nianię na wakacje! Trzeba trochę korzystać z życia, nie?

Louise uśmiecha się ze stosem talerzy w rękach.

Następnego dnia rano Paul budzi się w pomiętej koszuli, z wargami brudnymi od czerwonego wina. Pod prysznicem przypomina sobie fragmentarycznie poprzedni wieczór. Pamięta swoją propozycję i ponury wzrok żony. Czuje się idiotycznie, na samą myśl o tym jest zmęczony. Oto błąd, który trzeba będzie naprawić. Albo zachować się tak, jakby nic nie powiedział, zapomnieć, a czas będzie płynął. Wie, że Myriam będzie żartować sobie z niego i z jego pijackich obietnic. Będzie mu wypominać brak konsekwencji w sprawach finansowych i jego niepoważne podejście do Louise. „Przez ciebie będzie rozczarowana, ale ponieważ jest miła, nie będzie miała nawet odwagi się do tego przyznać. – Myriam podetknie mu pod nos rachunki, przywoła go do rzeczywistości. I zakończy: – Zawsze tak jest, jak pijesz”.

Myriam jednak nie wygląda na rozzłoszczoną. Leży na kanapie z Adamem w ramionach i rzuca mu rozbijającym słodki uśmiech. Ma na sobie za dużą męską piżamę. Paul siada koło niej, mruczy, przytulając się do jej szyi, która, tak jak lubi, pachnie wrzosem.

– Mówiłeś wczoraj poważnie? Myślisz, że moglibyśmy zabrać ze sobą Louise? – pyta Myriam. – Po raz pierwszy mielibyśmy prawdziwe wakacje. Wyobrażasz sobie? A Louise byłaby taka zadowolona. Co ma zresztą lepszego do roboty?



Jest tak gorąco, że Louise zostawiła uchylone okno w pokoju hotelowym. Pijackie krzyki i pisk hamulców nie budzą Adama i Mili, którzy chrapią z otwartymi ustami, wystawiwszy po jednej nodze z łóżka. Spędzają w Atenach tylko jedną noc i Louise dzieli maleńki pokój z dziećmi, żeby było taniej. Śmiali się przez cały wieczór. Poszli późno spać. Adam był szczęśliwy, tańczył na ulicy, na ateńskim chodniku, a starcy bili brawo, bo ujęły ich jego płąsy. Louise nie podobało się miasto, po którym chodzili przez całe popołudnie mimo palącego słońca i marudzenia dzieci. Myśli tylko o jutrze, o podróży na wyspy, których legendy i mity Myriam opowiadała dzieciom.

Myriam nie umie ładnie opowiadać. W nieco irytujący sposób wymawia skomplikowane słowa i kończy każde zdaniem pytaniem: „Wiesz?“, „Rozumiesz?”. Ale Louise słuchała, jak pilna uczennica, historii Zeusa i bogini wojny. Podobnie jak Mila lubi Egeusza, który dał błękit morzu, morzu, przez które po raz pierwszy popłynę statkiem.

Rano musi wyciągać dziewczynkę z łóżka. Mała jeszcze śpi, gdy niania ją rozbiera. W taksówce, która wiezie ich do portu w Pireusie, Louise próbuje przypomnieć sobie antycznych bogów, ale nic nie zostało jej w głowie. Nic nie pamięta. Powinna była zapisać nazwiska tych bohaterów w notesie w kwiatki. Mogłaby potem do nich wrócić w samotności. Przy wjeździe do portu utworzył się olbrzymi korek, policjanci próbują kierować ruchem. Upał daje się już we znaki i Adam siedzący na kolanach Louise jest zlany potem. Olbrzymie świetlne napisy informują o nabrzeżach, przy których cumują statki odpływające na wyspy, ale Paul nic z tego nie rozumie. Wścieka się, macha rękami. Kierowca zawraca, z rezygnacją wrusza ramionami. Nie zna angielskiego. Paul mu płaci. Wsiadają z samochodu i biegną w stronę przystani, ciągnąc walizki i wózek Adama. Załoga ma już podnieść trap, gdy widzi zagubioną rodzinę, która pędzi z rozwianym włosiem, wymachując rękami. Mają szczęście.

Gdy tylko usiedli, dzieci zasnęły. Adam w ramionach matki, a Mila z głową na kolanach Paula. Louise chce zobaczyć morze i wyspy na horyzoncie. Wychodzi na pokład. Na ławce leży na plecach kobieta. Ma na sobie kostium dwuczęściowy: króciutkie majtki i różową przepaskę, która ledwie zasłania piersi. Jej platynowe blond włosy są bardzo wysuszone, ale uwagę Louise przyciąga jej skóra. Fioletowa, pokryta wielkimi ciemnymi plamami. Miejscami, po wewnętrznej stronie ud, na policzkach, na dekolcie, jest cała w bąblach, otwartych ranach, jak poparzona. Kobieta leży nieruchomo, jakby była odarta ze skóry, a jej trupa wystawiono na widok publiczny.

Louise ma chorobę morską. Głęboko oddycha. Zamyka oczy, potem je otwiera, nie jest w stanie opanować zawrotów głowy. Nie może się ruszyć. Siedzi na ławce tyłem do pokładu, daleko od brzegu. Chciałaby patrzeć na morze, zapamiętać to, te wyspy o białych brzegach, które pokazują sobie palcami turyści. Chciałaby wyryc sobie w pamięci żaglówki, które rzuciły kotwicę, i sylwetki nurkujące do wody. Chciałaby, lecz jest jej niedobrze.

Słońce piecze coraz mocniej i teraz sporo ludzi przygląda się kobiecie leżącej na ławce. Założyła maskę na oczy, a z powodu wiatru pewnie nie słyszy stłumionych śmiechów, komentarzy, szeptów. Louise nie może oderwać oczu od pozbawionego skóry ciała ociekającego potem. Od kobiety smażącej się na słońcu jak kawałek mięsa rzucony na żar.

Paul wynajął dwa pokoje w uroczym rodzinnym pensjonacie położonym wysoko nad plażą uczęszczaną przez dzieci. Zachodzi słońce i różowe światło spowija zatokę. Idą do Apollonii, stolicy wyspy. Spacerują uliczkami, przy których rosną kaktusy i drzewa figowe. Na końcu stromego brzegu leży klasztor, który zwiedzają turyści w kostiumach kąpielowych. Louise chłonie piękno tych miejsc, spokój wąskich uliczek, placyków, na których śpią koty. Siada na murku z nogami zwisającymi nad przepaścią i patrzy, jak stara kobieta zamiata podwórze.

Słońce zanurzyło się w morzu, ale nie jest ciemno. Światło nabrało tylko odcieni pastelowych, widać jeszcze szczegóły krajobrazu. Zarys dzwonu na dachu kościoła. Orli profil kamiennego popiersia. Morze i porośnięty krzakami brzeg zdaje się rozplýwać, pograżać w tęsknym otępieniu, oddawać się nocy powoli, budzić pragnienie.

Louise kładzie dzieci do łóżek, sama nie może jednak zasnąć. Siada na tarasie, który przylega do jej pokoju, może z niego podziwiać zaokrągloną zatokę. Wieczorem zerwał się wiatr, bryza morska, w której wyczuwa się smak soli i utopii. Zasypia tu, na leżaku, przykryta jedynie cienkim szalem. Budzi ją chłód świtu i o mało nie krzyczy na widok spektaklu, jaki roztacza przed nią dzień. Czyste, proste, oczywiste piękno, piękno trafiające każdemu do serca.

Dzieci też budzą się pełne entuzjazmu. Nie mogą doczekać się morza. Adam chce się tarzać w piasku. Mila chce oglądać rybki. Natychmiast po śniadaniu schodzą na plażę. Louise ma na sobie luźną pomarańczową sukienkę, rodzaj galabiji, która u Myriam wywołuje uśmiech. Przed wielu laty dostała ją od pani Rouvier, która zaznaczyła: „Och, wie pani, bardzo często ją nosiłam”.

Dzieci są gotowe, wysmarowała je kremem z filtrem przeciwsłonecznym, i ruszają na podbój piasku. Louise siada oparta o kamienny murek. W cieniu pinii z podkurczonymi kolanami obserwuje refleksy słońca na morzu. Nigdy nie widziała czegoś równie pięknego.

Myriam leży na brzuchu, czytając powieść. Paul, który przed śniadaniem przebiegł siedem kilometrów, przysypia. Louise buduje zamki z piasku. Rzeźbi olbrzymiego żółwia, którego Adam bez przerwy niszczy, a ona go cierpliwie odbudowuje. Zmęczona upałem Mila ciągnie ją za rękę.

– Chodź, Louise, chodź do wody.

Niania się opiera. Mówi, żeby zaczekała. Żeby siedziała spokojnie.

– Pomóż mi skończyć żółwia, dobrze? – Pokazuje dziecku muszelki, które zebrała, i delikatnie układa je na skorupie olbrzymiego gada.

Pinia nie daje już wystarczającego cienia, upał staje się coraz bardziej nieznośny. Louise jest złana potem i nie ma już argumentów, by sprzeciwić się dziecku, które ją teraz błaga. Mila bierze ją za rękę, ale Louise nie chce wstać. Chwyta dziewczynkę za nadgarstek i odpycha tak brutalnie, że Mila upada. Louise krzyczy:

– Puścisz mnie wreszcie czy nie?!

Paul otwiera oczy. Myriam podbiega do płaczącej Mili i pociesza ją. Obrzucają Louise wściekłym rozczarowanym wzrokiem. Niania cofnęła się zawstydzona. Już mają zamiar domagać się wyjaśnień, lecz ona mruczy powoli:

– Nie mówiłam państwu, ale nie umiem pływać.

Paul i Myriam milczą. Gestem każą się uspokoić Mili, która zaczęła chichotać. Mili kpi sobie:

– Louise jest dzidzią. Nawet nie umie pływać.

Paul czuje się zakłopotany i to zakłopotanie budzi w nim złość. Ma pretensje do Louise, że przywlekła tutaj swoje ubóstwo, swoje słabości. Że zatruwa im dzień swoją udręczoną twarzą. Zabiera dzieci do wody, a Myriam na nowo pogrąża się w lekturze.

Louise zepsuła im ranek swoją melancholią, toteż przy stole na tarasie małej tawerny nikt się nie odzywa. Nie skończyli jeszcze jeść, gdy nagle Paul wstaje i bierze na ręce Adama. Idzie do sklepiku na plaży. Wraca, podskakując, bo piasek parzy go w stopy. Trzyma w ręku paczuszkę, którą wymachuje przed Louise i Myriam.

– Proszę – mówi.

Kobiety się nie odzywają, a Louise posłusznie prostuje ręce, gdy Paul zakłada jej powyżej łokcia rękawki do pływania.

– Jest pani taka drobna, że nawet rękawki dla dzieci pasują!

Przez cały tydzień Paul chodzi z Louise popływać. Oboje wstają wcześnie i gdy Myriam siedzi z dziećmi nad małym basenem w pensjonacie, Louise i Paul schodzą na pustą jeszcze plażę. Gdy docierają do mokrego piasku, chwytają się za ręce i długo idą w wodzie, w stronę horyzontu. W końcu ich stopy łagodnie odrywają się od piasku i ciała zaczynają się unosić. Wtedy Louise nieodmiennie wpada w panikę, której nie jest w stanie ukryć. Wydaje cichy okrzyk, którym daje do zrozumienia Paulowi, że ma jeszcze mocniej ścisnąć jej rękę.

Na początku Paul jest skrępowany, dotykając skóry Louise. Kiedy uczy ją pływać, jedną ręką podtrzymuje jej kark, a drugą pośladki. Przychodzi mu do głowy idiotyczna przelotna myśl i śmieje się z niej w duchu: „Louise ma pośladki”. Louise ma ciało, które drży w rękach Paula. Ciało, którego nie dostrzegał ani nawet nie podejrzewał, że je ma, bo zaliczał Louise do świata dzieci czy podwładnych. Bo z pewnością jej nie dostrzegał. A przecież Louise jest niebrzydka. W rękach Paula niania przypomina laleczkę. Kilka kosmyków blond włosów wysunęło się spod czepka, który kupiła jej Myriam. Lekka opalenizna uwidoczniła maleńkie piegi na policzkach i na nosie. Po raz pierwszy Paul zauważa lekki jasny puszek na jej twarzy, jak puch okrywający świeżo wyklute kurczęta. Ale jest w niej jakaś pruderia, coś dziecinnego, jakaś rezerwa, która nie pozwala Paulowi żywić do niej tak szczerzego uczucia, jakim jest pożądanie.

Louise patrzy na swoje stopy zanurzające się w piasku i obmywane przez wodę. Myriam opowiadała im na statku, że Sifnos zawdzięcza swoją dawną świetność kopalniom srebra i złota, których złoża znajdują się pod ziemią. I Louise jest przekonana, że złote drobinki, które widzi pod wodą, na skałach, to odłamki tych szlachetnych metali. Chłodna woda zakrywa jej uda. Teraz zatapia jej wargi sromowe. Morze jest spokojne, przezroczyste. Ani jedna fala nie zaskakuje Louise i nie ochlapuje jej piersi. Dzieci siedzą na brzegu pod czujnym okiem rodziców. Kiedy woda sięga jej do pasa, Louise nie może oddychać. Patrzy na błękitne nierzeczywiste niebo. Dotyka na swoich chudych ramionach żółto-niebieskich rękawków z podobiznami trytona i langusty. Błagalnie wpatruje się w Paula.

– Nie ma czego się bać – zaklina się Paul. – Jeśli tylko dotyka pani dna, nic pani nie grozi.

Ale Louise jest jak skamieniała. Czuje, że zaraz się przewróci. Że wciągnie ją głębina, że nie będzie mogła wynurzyć głowy, a jej nogi będą uderzały w próżni aż do wyczerpania.

Pamięta, że gdy była dzieckiem, jeden z jej kolegów z klasy wpadł do stawu na skraju wsi. To był mały zbiornik błotnistej wody, od której zapachu latem dostawała mdłości. Dzieci chodziły się tam bawić, mimo że rodzice im zabraniali, mimo komarów, które przyciągała stojąca woda. Teraz zanurzona w błękitnie Morza Egejskiego Louise przypomina sobie tę czarną śmierdzącą wodę i dziecko znalezione z twarzą w błocie. Przed nią Mila uderza nogami w wodę, unosi się na powierzchni.

Są pijani i wspinają się po kamiennych schodach na taras przylegający do pokoju dzieci. Śmieją się, Louise czasem wczepia się w ramię Paula, by pokonać stopień wyższy od pozostałych. Odpoczywa, siedząc pod wiśniową bugenwillą, obserwuje plażę w dole, gdzie młodzi ludzie tańczą, pijąc koktajle. Bar organizuje imprezę na piasku. „Full moon party”. Paul tłumaczy dla niej tę nazwę. Święto na cześć pomarańczowego księżyca w pełni, którego piękno omawiali przez cały wieczór. Nigdy nie widziała podobnego księżyca, tak pięknego, że warto by go ukraść. Księżyc, który nie jest zimny i szary jak księżyc z jej dzieciństwa.

Z tarasu położonej wysoko restauracji podziwiali zatokę Sifnos i zachód słońca w kolorze lawy. Paul pokazał jej chmury jakby wycięte z koronki. Turyści robili zdjęcia i gdy Louise chciała wstać, wyciągając też swoją komórkę, Paul delikatnie położył jej rękę na ramieniu, żeby usiadła.

– Nie wyjdzie. Lepiej, by zachowała pani ten obraz w sobie.

Po raz pierwszy jedzą kolację we trójkę. Właścicielka pensjonatu zaproponowała, że popilnuje dzieci. Są w tym samym wieku co jej dzieci, z którymi nie rozstają się od początku pobytu. Zaskoczyła Myriam i Paula. Oczywiście na początku Louise odmówiła. Powiedziała, że nie może zostawić dzieci samych, że musi położyć je spać. Że na tym polega jej praca.

– Przez cały dzień pływać, spać nie problem – powiedziała właścicielka, która słabo mówiła po francusku.

Więc poszli do restauracji w milczeniu, czując się trochę niezręcznie. Przy stole wszyscy wypili więcej niż zwykle. Myriam i Paul bali się tej kolacji. O czym będą rozmawiać? Co będą mieli sobie do powiedzenia? Przekonywali się, że powinni to zrobić, że Louise będzie zadowolona. „Żeby poczuła, że doceniamy jej pracę, rozumiesz?” Więc rozmawiają o dzieciach, o krajobrazie, o kąpielu na następny dzień, o postępach Mili w pływaniu. Podtrzymują rozmowę. Louise chciałaby coś opowiedzieć. Opowiedzieć cokolwiek, wszystko jedno co, jakąś własną historię, ale nie ma odwagi. Bierze głęboki wdech, wyciąga głowę, żeby coś powiedzieć, a potem się wycofuje i milczy. Piją, aż cisza staje się spokojna, tęskna.

Paul, który siedzi koło niej, obejmuje ją wówczas ręką. Ouzo sprawia, że robi się jowialny. Ściska jej ramię swoją wielką dłonią, uśmiecha się do niej jak do starego przyjaciela, do kolegi z dzieciństwa. A ona wpatruje się zachwycona w twarz mężczyzny. W jego opaloną skórę, w duże białe zęby, we włosy, które pojaśniały od wiatru i soli. Paul potrząsa nią trochę jak przyjacielem, który jest nieśmiały albo ma jakieś zmartwienie, jakby chciał, żeby się rozluźniła bądź wzięła się w garść. Gdyby miała odwagę, położyłaby dłoń na ręce Paula, ścisnęłaby ją w swoich chudych palcach, ale nie ma odwagi.

Jest zafascynowana łatwością, z jaką Paul nawiązuje kontakty. Żartuje z kelnerem, który postawił im *digestif*. W ciągu kilku dni nauczył się wystarczającej liczby słów po grecku, żeby rozśmieszać sprzedawców czy dostawać zniżki. Ludzie go rozpoznają. Chcą się z nim bawić na plaży inne dzieci, a on, śmiejąc się, spełnia ich życzenia. Nosi je na barana, rzuca się z nimi do wody. Je z niewiarygodnym apetytem. Myriam chyba to irytuje, ale łakomstwo, które skłania go do zamawiania wszystkich dań z karty, Louise

uznaje za rozbrajające. „Weźmiemy też to. Trzeba spróbować, nie?” I bierze palcami kawałki mięsa, papryki czy sera, które pożera z niewinną radością.

Po powrocie na taras hotelowy co chwilę parszają śmiechem, zasłaniając usta, a Louise kładzie palec na wargach. Nie wolno zbudzić maluchów. Ten przebłysk odpowiedzialności wydaje im się nagle śmieszny. Przez cały dzień kierowali się wyłącznie troską o dzieci, a teraz sami zachowują się jak dzieci. Tego wieczoru ogarnia ich dziwne poczucie lekkości. Alkohol uwalnia ich od narastających lęków, napięć, które wywołuje między nimi potomstwo, między mężem i żoną, matką i nianią.

Louise wie, jak ulotna jest ta chwila. Widzi, że Paul łakomie patrzy na ramię żony. W jasnoniebieskiej sukience skóra Myriam wydaje się jeszcze bardziej złota. Zaczynają tańczyć, kołysząc się, przestępując z nogi na nogę. Są niezdarni, niemal skrępowani, Myriam chichocze, jakby od bardzo dawna nikt nie trzymał jej w ten sposób w talii. Jakby czuła się śmieszna, że ktoś jej tak pragnie. Kładzie policzek na ramieniu męża. Louise wie, że przestaną tańczyć, pożegnają się, będą udawać śpiących. Chciałyby ich zatrzymać, wczepić się w nich, drapać paznokciami kamienną ziemię. Chciałyby wsadzić ich pod klosz jak zastygłych uśmiechniętych tancerzy przytwierdzonych do podstawy katarynki. Myśli sobie, że mogłyby ich oglądać godzinami i nigdy by jej to nie znudziło. Że wystarczyłoby, gdyby mogła patrzeć, jak żyją, a sama pozostać w cieniu, dbając, by wszystko funkcjonowało idealnie, by mechanizm nigdy się nie zaciął. Żywi teraz głębokie przekonanie, palące i bolesne, że jej szczęście jest w ich rękach. Że ona należy do nich, a oni do niej.

Paul chrząka. Szepnął coś, przyciskając wargi do karku żony. Coś, czego Louise nie usłyszała. Mocno trzyma Myriam za rękę i jak dwójka grzecznych dzieci życzą Louise dobrej nocy. A Louise patrzy, jak wchodzi po kamiennych schodach prowadzących do ich pokoju. Niebieska linia ciał staje się niewyraźna, niknie, trzaskają drzwi. Zasłony są zaciągnięte. Louise pogrąża się w obscenicznym śnie. Mimo woli słyszy, starając się to odepchnąć, wbrew sobie. Słyszy skamlenie Myriam, jęki laleczki. Słyszy szelest pościeli i odgłos łóżka uderzającego o ścianę.

Louise otwiera oczy. Adam płacze.

## *Rose Grinberg*

Pani Grinberg opisz ten krótki przejazd windą co najmniej ze sto razy. Pięć pięter po chwili oczekiwania na parterze. Dwuminutowy przejazd, który stał się najbardziej wstrząsającym momentem w całym jej życiu. Pechowym momentem. Mogła jeszcze, nie przestanie sobie powtarzać, zmienić bieg wydarzeń. Gdyby zwróciła większą uwagę na oddech Louise. Gdyby nie zamknęła okien i okiennic z myślą o drzemce. Będzie z tego powodu płakać do telefonu i córkom nie uda się jej uspokoić. Policjantów będzie irytowało, że przypisuje sobie tak duże znaczenie, a ona jeszcze bardziej się rozszłocha, gdy stwierdzą sucho: „Zresztą i tak nie mogłaby pani nic zrobić”. Opowie wszystko dziennikarzom, którzy będą relacjonować proces. Powie o tym adwokatce oskarżonej, którą uzna za zarozumiałą i zaniedbaną, i powtórzy to przed sądem, kiedy zostanie wezwana na świadka.

Louise – będzie mówić za każdym razem – była inna niż zwykle. Ona, taka uśmiechnięta, taka miła, stała nieruchomo przed przeszklonymi drzwiami. Siedzący na stopniu Adam wydawał przenikliwe okrzyki, a Mila podskakiwała, popychając brata. Louise się nie ruszała. Jedyne drżała jej trochę dolna warga. Miała złożone ręce i spuszczone wzrok. Hałas, jaki robiły dzieci, tym razem jakby do niej nie dochodził. Mimo że tak przejmowała się sąsiadami i dobrymi manierami, nie zwróciła się do swoich podopiecznych ani słowem. Jakby ich nie słyszała.

Pani Grinberg bardzo ceniła Louise. Wręcz podziwiała tę elegancką kobietę, która wzorowo zajmowała się dziećmi. Dziewczynka, Mila, zawsze była uczesana w porządku zaplecione warkocze albo w kok z kokardą. Adam zdawał się uwielbiać Louise.

– Teraz, gdy to zrobiła, może nie powinnam tego mówić, ale wtedy myślałam sobie, że mają szczęście.

Winda przyjechała na parter i Louise chwyciła Adama za kołnierz i powlekła do kabiny, a Mila poszła za nimi, podśpiewując. Pani Grinberg wahała się, czy wsiąść do windy. Przez kilka sekund zastanawiała się, czy nie udać, że wraca do holu, żeby sprawdzić skrzynkę na listy. Krępowała ją ponura mina Louise. Obawiała się, że pięć pięter będzie się w nieskończoność dłużyć. Ale Louise przytrzymała drzwi sąsiadce, która stanęła przy wyjściu z torbą z zakupami między nogami.

– Czy robiła wrażenie pijanej?

Pani Grinberg stanowczo zaprzecza. Louise wyglądała normalnie. Nie pozwoliłaby jej wsiąść do windy z dziećmi, gdyby choć przez sekundę myślała... Adwokatka z tłustymi włosami wyśmiewa ją. Przypomina sądowi, że Rose cierpi na zawroty głowy i ma problemy ze wzrokiem. Emerytowana nauczycielka muzyki, która niedługo skończy sześćdziesiąt pięć lat, niewiele już widzi. Zresztą mieszka w ciemności, jak kret. Ostre światło wywołuje u niej straszne migreny. Z tego właśnie powodu Rose zamknęła okiennice. Z tego właśnie powodu nic nie słyszała.

Ma ochotę zwyzywać tę adwokatkę przed sądem. Ma wielką ochotę ją uciszyć, złamać jej szczękę. Jak jej nie wstyd? Czy nie ma żadnego poczucia przyzwoitości? Od pierwszych dni procesu adwokatka nazywała Myriam „nieobecną matką”, „wyzyskiwaczką”. Opisywała ją jako kobietę zaślepioną ambicjami, egoistyczną

i obojętną do tego stopnia, że biedna Louise została doprowadzona do ostateczności. Obecny na rozprawie dziennikarz wyjaśnia pani Grinberg, że nie ma co się denerwować, bo to nic innego jak „taktyka obrony”. Ale Rose uznaje, że to obrzydliwe. I kropka.

Nikt w kamienicy o tym nie mówi, ale pani Grinberg wie, że wszyscy o tym myślą. Że nocą na wszystkich piętrach leżą w ciemności z otwartymi oczami. Że serca biją szybciej, że płyną łzy. Wie, że ciała przewracają się z boku na bok i miotają się, nie mogąc zasnąć. Para z trzeciego piętra się wyprowadziła. Państwo Massé oczywiście nigdy nie wrócili. Rose pozostała mimo duchów i uporczywego wspomnienia tego krzyku.

Tego dnia po poobiedniej drzemce otworzyła okiennice. I wtedy usłyszała. Większość ludzi przez całe życie nie słyszy podobnych krzyków. Takie krzyki wydaje się na wojnie, w okopach, w innych światach, na innych kontynentach. To nie są tutejsze krzyki. Trwało to co najmniej dziesięć minut, krzyk niemal ciągły, bez przerwy na oddech, bez słów. Ten krzyk stawał się chrapliwy, wypełniała go krew, smarki, wściekłość. „Lekarz” – w końcu wymówiła to jedno słowo. Nie wzywała pomocy, nie powiedziała: „Ratunku”, ale w rzadkich momentach, gdy odzyskiwała świadomość, powtarzała: „Lekarz”.

Miesiąc przed tragedią pani Grinberg spotkała Louise na ulicy. Niania wyglądała na zatroskaną i w końcu opowiedziała jej o swoich problemach finansowych. O właścicielu mieszkania, który ją poganiał, o długach, jakie się nagromadziły, o koncie w banku wiecznie pod kreską. Mówiła jak balon, z którego uchodzi powietrze, coraz szybciej.

Pani Grinberg udała, że nie rozumie. Spuściła wzrok, powiedziała, że „czasy są ciężkie dla wszystkich”. A potem Louise złapała ją za ramię.

– Nie żebrzę. Mogę pracować wieczorem lub wczesnym rankiem. Gdy dzieci śpią. Mogę sprzątać, prasować, co tylko pani chce.

Gdyby nie ścisnęła jej tak mocno nadgarstka, gdyby nie wbiła swoich czarnych oczu w jej wzrok, jakby chciała ją obrazić lub jej zagrozić, Rose Grinberg może by się zgodziła. I niezależnie od tego, co mówią policjanci, dzięki niej wszystko potoczyłoby się inaczej.



Samolot miał duże opóźnienie, więc lądują w Paryżu pod wieczór. Louise uroczyście żegna się z dziećmi. Długo je całuje i ściska w ramionach.

– Do poniedziałku, tak, do poniedziałku. Proszę zadzwonić, gdyby państwo czegoś potrzebowali – mówi do Myriam i Paula, którzy wsiadają do windy, żeby dostać się na parking na lotnisku.

Louise idzie w stronę RER-u. Wagon jest pusty. Siada przy szybie i przeklina pejzaż, perony, po których wałęsają się bandy młodych ludzi, odrapane budynki, balkony, wrogie twarze ochroniarzy. Zamyka oczy i przywołuje wspomnienia greckich plaż, zachodów słońca, kolacji z widokiem na morze. Wywołuje te wspomnienia, jak mistycy domagają się cudów. Gdy otwiera drzwi do swojej garsoniery, zaczynają jej drżeć ręce. Ma ochotę podrzeć kapę leżącą na tapczanie, walnąć pięścią w szybę. Bezkształtna magma w trzewiach, ból pali od środka, Louise z trudem powstrzymuje krzyk.

W sobotę leży w łóżku aż do dziesiątej. Wyciągnięta na tapczanie, z rękami skrzyżowanymi na piersi Louise patrzy na kurz, który zebrał się na zielonej lampie. Nigdy nie wybrałaby nic równie brzydkiego. Wynajęła umeblowane mieszkanie i nie zmieniła wystroju. Musiała coś sobie znaleźć po śmierci Jacques'a, swojego męża, gdy została wyrzucona z domu. Po tygodniach włości potrzebowała gniazda. Znalazła tę garsonierę w Créteil dzięki pielęgniarce ze szpitala Henri-Mondor, która zapałała do niej sympatią. Młoda kobieta zapewniła ją, że właściciel nie żąda wielu gwarancji i zgadza się na płatność gotówką.

Louise wstaje. Przesuwa krzesło, stawia je tuż pod lampą i chwyta ścierkę. Zaczyna czyścić klosz, wczepia się w niego z taką siłą, że o mało nie wrywa go z sufitu. Stoi na palcach i otrzepuje kurz, który spada jej na głowę wielkimi szarymi płatkami. Do jedenastej zdążyła posprzątać wszystko. Umyła szyby, od wewnątrz i z zewnątrz, i nawet okiennice przetarła gąbką z mydłem. Jej buty stoją rzędem wzdłuż ściany, błyszczące i śmieszne.

Może do niej zadzwonią. Wie, że w sobotę jedzą czasami obiad w restauracji. Powiedziała jej o tym Mila. Idą do lokalu, w którym dziewczynka ma prawo zamawiać, co tylko chce, a Adam próbuje odrobinki musztardy lub cytryny pod okiem rozczulonych rodziców. Louise by się to podobało. W restauracji pełnej ludzi, otoczona odgłosem szczękających talerzy i wrzaskami kelnerów, mniej bałaby się ciszy. Usiadłaby między Milą i jej bratem i poprawiłaby dużą białą serwetkę na kolanach dziewczynki. Karmiłaby Adama, łyżeczka po łyżeczce. Słuchaliby, jak Paul i Myriam rozmawiają, wszystko działałoby się za szybko, czułaby się dobrze.

Włożyła niebieską sukienkę, tę, która sięga jej tuż nad kostkę i zapina się z przodu na rząd białych perełek. Chciała być gotowa, na wypadek gdyby jej potrzebowali. Na wypadek gdyby miała gdzieś do nich jechać, bardzo szybko, bo z pewnością nie pamiętają, jak daleko mieszka i jak dużo czasu zabierają jej codziennie dojazdy. Siedząc w kuchni, bębni czubkami paznokci w stół pokryty laminatem.

Pora obiadowa mija. Przez czyste szyby wśliznęły się chmury, niebo pociemniało. Silny podmuch wiatru zatrząsł platanami i zaczyna padać deszcz. Louise się niecierpliwi. Nie dzwonią.

Jest teraz za późno, żeby wyjść. Mogłaby pójść po chleb albo zaczerpnąć powietrza.

Mogłaby się po prostu przejść. Ale na tych wyludnionych ulicach nie ma nic do roboty. Jedyna kawiarnia w okolicy przyciąga pijaków i zdarza się, że już o piętnastej mężczyźni biją się przy ogrodzeniu pustego parku. Powinna była zdecydować się wcześniej, wsiąść do metra, powłóczyć się po Paryżu pośród ludzi, którzy robią zakupy przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zgubiłaby się w tłumie i szłaby za śpieszącymi się pięknymi kobietami mijającymi eleganckie sklepy. Powąłęsałaby się w okolicy Madeleine, ocierając się o stoliki, przy których ludzie piją kawę. Powiedziałyby: „Przepraszam” do tych, którzy by ją potrącali.

Paryż w jej oczach jest gigantyczną witryną. Lubi zwłaszcza spacerować w pobliżu Opery, w dół rue Royale i skręcić potem w rue Saint-Honoré. Idzie wolno, obserwuje wystawy i przechodzące kobiety. Chciałaby mieć wszystko. Zamszowe botki, kozuszki, torebki z wężowej skóry, sukienki portfelowe, koszulki z wykończeniem z koronki. Chciałaby mieć jedwabne bluzki, różowe kaszmirowe kardigany, rajstopy bezszwowe, dopasowane żakiety. Wyobraża sobie wtedy życie, w którym miałyby środki, żeby mieć wszystko. W którym pokazywałaby słodkiej jak miód sprzedawczyni to, co jej się podoba.

Nadchodzi niedziela, a wraz z nią dalszy ciąg nudy i lęku. Ciemna ponura niedziela na tapczanie. Zasnęła w niebieskiej sukience z syntetycznego materiału, który nie dość, że straszliwie się zmiął, to jeszcze się od niego spociła. W nocy kilka razy otworzyła oczy, nie wiedząc, czy minęła godzina czy cały miesiąc. Czy śpi u Myriam i Paula czy obok Jacques'a, w domu w Bobigny. Zamykała powieki i znowu pogrążała się w ciężkim delirycznym śnie.

Louise zdecydowanie nie znosi weekendów. Gdy mieszkały jeszcze razem, Stéphanie skarżyła się, że nic nie robią w niedzielę, że nie ma prawa do tych zabaw, które Louise wymyśla dla innych dzieci. Jak tylko się dało, uciekała z domu. Całe piątkowe noce spędzała z nastolatkami z dzielnicy. Wracała rano blada, z podkrążonymi zaczerwienionymi oczami. Wygłodniała. Przechodziła przez salonik ze spuszczoną głową i rzucała się na lodówkę. Jadła oparta o jej drzwi, nawet nie siadając, zanurzając palce w słoikach z obiadami dla Jacques'a ugotowanymi przez Louise. Raz ufarbowała sobie włosy na czerwono. Przekłuła sobie nos. Zaczęła znikać na całe weekendy. A potem któregoś dnia nie wróciła. Nic nie trzymało jej już w domu w Bobigny. Ani liceum, które dawno rzuciła, ani Louise.

Matka oczywiście zgłosiła jej zniknięcie. „W tym wieku często zdarzają się ucieczki. Proszę trochę poczekać, a sama wróci”. Nie powiedziano jej nic więcej. Nie szukała jej. Później dowiedziała się od sąsiadów, że Stéphanie jest na południu Francji, że się zakochała. Że dużo jeździ. Sąsiedzi nie mogli się nadziwić, że Louise nie pyta o szczegóły, że nie stawia pytań, że nie każe im powtarzać tych skąpych informacji, które posiadali.

Stéphanie zniknęła. Przez całe życie miała wrażenie, że zawadza. Jej obecność przeszkadzała Jacques'owi, jej śmiech budził dzieci, których pilnowała Louise. Krępą sylwetką o grubych udach przywierała w wąskim korytarzu do ściany, by przepuścić innych. Bała się, że zablokuje przejście, że ktoś ją popchnie, że zajmie krzesło, z którego będzie chciał skorzystać ktoś inny. Gdy się odzywała, źle się wysławiała. Śmiała się i ludzie się obrażali, choć jej śmiech był niewinny. W końcu opanowała sztukę bycia

niewidzialną i zgodnie z logiką, bez hałasu, bez uprzedzenia, jakby to było w sposób oczywisty jej przeznaczone, zniknęła.

W poniedziałek rano Louise wychodzi z domu przed świtem. Idzie do RER-u, przesiada się na stacji Auber, czeka na peronie, idzie rue Lafayette, a potem skręca w rue d'Hauteville. Louise jest żołnierzem. Idzie naprzód za wszelką cenę, jak zwierzę, jak pies, któremu złe dzieci połamały nogi.

Wrzesień jest ciepły i pełen światła. W środę po szkole Louise wyciąga dzieci z domu i zabiera je do parku, by się pobawiły czy pooglądały rybki w akwarium. Pływają łódką po jeziorze w Lasku Bulońskim i Louise opowiada Mili, że unoszące się na powierzchni wodorosty to tak naprawdę włosy pokonanej czarownicy żądnej zemsty. Pod koniec miesiąca jest tak ciepło, że Louise w radosnym nastroju postanawia je zabrać do ogrodu botanicznego.

Przed stacją metra stary Arab proponuje Louise, że pomoże jej zejść po schodach. Dziękuje mu i chwytą wózek, w którym siedzi Adam. Starszy człowiek idzie za nią. Pyta, ile lat mają jej dzieci. Ma już mu powiedzieć, że to nie jej dzieci, gdy Arab pochyła się do maluchów.

– Są bardzo ładne – mówi.

Metro jest tym, co dzieci lubią najbardziej. Gdyby Louise ich nie trzymała, biegałyby po peronie, wpadłyby do wagonu, deptając po nogach pasażerów, żeby tylko w pełnej ekscytacji usiąść przy szybie z szeroko otwartymi oczami. Wstają i Adam naśladuje swoją siostrę, która łapie się poręczy i udaje, że kieruje pociągiem.

W ogrodzie niania biega razem z nimi. Śmieją się, a ona je rozpieszcza, kupuje im lody i baloniki. Robi im zdjęcia, gdy leżą na dywanie z suchych liści w kolorze żywej żółci i krwistej czerwieni. Mila pyta, dlaczego niektóre drzewa zmieniły kolor na świetlisty i złoty, a inne, takie same, rosnące obok lub naprzeciwko, zdają się gnąć i z zielonych robią się od razu ciemnobrązowe. Louise nie jest w stanie tego wytłumaczyć.

– Spytamy mamusię – mówi.

Na karuzelach wszyscy troje wrzeszczą ze strachu i z radości. Louise ma zawroty głowy i trzyma mocno na kolanach Adama, gdy kolejka wjeżdża w ciemne tunele i z zawrotną szybkością pokonuje zbrocza. Na niebie unosi się balon, Myszka Miki zamieniła się w statek powietrzny.

Siadają na trawie, żeby zjeść kanapki, i Mila śmieje się z Louise, która boi się dużych pawi spacerujących kilka metrów dalej. Niania zabrała stary wełniany koc, który Myriam rzuciła pod łóżko, a ona wyprała go i naprawiła. Zasypiają we trójkę na trawie. Kiedy Louise się budzi, Adam leży przytulony do niej. Jest jej zimno. Dzieci musiały ściągnąć z niej koc. Odwraca się i nie widzi Mili. Woła ją. Zaczyna wrzeszczeć. Ludzie się odwracają. Pytają:

– Wszystko w porządku, proszę pani? Potrzebna pani pomoc?

Nie odpowiada.

– Mila, Mila – wrzeszczy, biegnąc z Adamem na rękę.

Okraża karuzele, biegnie na strzelnicę. Łzy napływają jej do oczu, ma ochotę potrząsnąć przechodniami, odepchnąć nieznanym, którzy się tu tłoczą, trzymając mocno za rękę dzieci. Wraca w stronę małego gospodarstwa. Szczeka drży jej tak bardzo, że nie może już nawet wołać dziewczynki. Straszliwie boli ją głowa i czuje, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Za chwilę upadnie na ziemię, nie będzie zdolna wykonać żadnego gestu, niema, całkowicie bezsilna.

Potem dostrzega ją na końcu alejki. Mila je na ławce loda, pochyła się nad nią jakaś kobieta. Louise przypada do dziecka.

– Mila! Czyś ty całkiem oszalała?! Jak mogłaś tak po prostu sobie pójść?!

Nieznajoma, kobieta koło sześćdziesiątki, przyciska do siebie dziewczynkę.

– To skandal. Co pani robiła? Jak mogła zostać sama? Mogłabym poprosić ją o numer do rodziców. Nie sądzę, by byli zadowoleni.

Ale Mila wyrywa się z uścisku nieznajomej. Odpycha ją i obrzuca niechętnym wzrokiem, po czym rzuca się pod nogi Louise. Niania pochyla się i podnosi ją, całuje w lodowatą szyję, głaska po włosach. Patrzy na bladą twarz dziecka i przeprasza za swoje zaniedbanie.

– Moja mała, mój aniołek, mój kotek.

Pieści ją, obsypuje pocałunkami, przyciska do piersi.

Widząc, że dziecko tuli się do niskiej blondynki, starsza pani się uspokaja. Nie wie, co powiedzieć. Obserwuje je, z wyrzutem potrząsając głową. Z pewnością miała nadzieję, że wywoła skandal. Byłaby to dla niej rozrywka. Miałyby coś do opowiedzenia, gdyby niania wpadła w złość, gdyby trzeba było zadzwonić do rodziców, gdyby padły groźby, które potem zostałyby wprowadzone w czyn. Nieznajoma w końcu wstaje z ławki i odchodzi, mówiąc:

– Dobrze, następnym razem proszę bardziej uważać.

Louise patrzy za odchodzącą kobietą, która odwraca się dwa lub trzy razy. Uśmiecha się do niej z wdzięcznością. W miarę jak przygarbiona sylwetka się oddala, Louise przyciska do siebie Milę coraz mocniej, zgniata pierś dziewczynki, która prosi:

– Przestań, Louise, dusisz mnie.

Dziecko próbuje się wyswobodzić z uścisku, wyrywa się, kopie, ale niania trzyma je mocno. Przykłada wargi do ucha Mili i mówi spokojnym lodowatym głosem:

– Nigdy więcej się nie oddalaj, słyszysz? Chcesz, żeby ktoś cię ukradł? Jakiś niedobry pan? Następnym razem na próżno będziesz sobie krzyczeć i płakać, nikt nie przyjdzie. Wiesz, co on ci zrobi? Nie? Nie wiesz? Zabierze cię i schowa, będzie cię trzymał tylko dla siebie i już nigdy nie zobaczysz swoich rodziców.

Louise już ma postawić dziecko na ziemi, gdy nagle czuje straszny ból w ramieniu. Wrzeszczy i próbuje odepchnąć dziewczynkę, która gryzie ją aż do krwi. Zęby zagłębiają się w jej ciało, ranią je, Mila wczepia się w ramię Louise jak oszalone zwierzę.

Tego wieczoru nie opowiada Myriam o ucieczce Mili ani o ugryzieniu. Mila też milczy, mimo że niania jej nie ostrzegała ani nie groziła. Teraz Louise i Mila mają wzajemnie żal do siebie. Nigdy nie czuły się tak zjednoczone jak za sprawą tej tajemnicy.

## Jacques

Jacques uwielbiał jej mówić, żeby była cicho. Nie znosił jej głosu, który działał mu na nerwy. „Zamkniesz się wreszcie?” W samochodzie nie mogła się powstrzymać od gadania. Bała się jazdy i mówienie ją uspokajało. Snuła nudne monologi, robiąc przerwy tylko na oddech między dwoma zdaniem. Paplała, wymieniając nazwy ulic, przywołując wspomnienia, jakie się z nimi łączyły.

Czuła, że jej mąż się gotuje. Wiedziała, że pogłównia radio, aby zamilkła. Że otwiera okno i zaczyna palić, nucąc, żeby ją upokorzyć. Bała się gniewu małżonka, ale musiała także przyznać, że nieraz ją podniecał. Cieszyła się, że cały się skręca, że doprowadza go do takiej wściekłości, iż był gotów zatrzymać się na poboczu, chwycić ją za kark i zagrozić szeptem, że uciszy ją na zawsze.

Jacques był chamski, hałaśliwy. Starzejąc się, stał się zgorzkniały i próżny. Wieczorem, po powrocie z pracy, przez co najmniej godzinę wylewał swoje żale na tę czy inną osobę. Gdyby wierzyć jego słowom, wszyscy chcieli go okraść, zmanipulować, wyciągnąć korzyści z jego położenia. Kiedy pierwszy raz zwolniono go z pracy, podał pracodawcę do sądu. Postępowanie kosztowało go wiele czasu i masę pieniędzy, ale ostateczne zwycięstwo dało mu takie poczucie siły, że spodobały mu się spory i sądy. Potem myślał, że zbije majątek, procesując się ze swoim ubezpieczycielem po banalnym wypadku samochodowym. Później zajął się sąsiadami z pierwszego piętra, merostwem, zarządcą kamienicy. Całe dni zajmowało mu pisanie nieczytelnych pełnych gróźb listów. Analizował strony internetowe poświęcone pomocy prawnej w poszukiwaniu najmniej nawet istotnego przepisu, którym mógłby się podeprzeć. Jacques łatwo wpadał w złość, a jego zła wola nie miała granic. Zazdrościł sukcesów innym, odmawiał im wszelkich zasług. Zdarzało mu się wręcz spędzać popołudnia w sądzie gospodarczym, żeby napawać się rozpaczą innych. Cieszył się z nagłych bankructw i nieszczęśliwych wypadków.

– Nie jestem taki jak ty – mówił z dumą do Louise – nie mam duszy wycieraczki, żeby zbierać gówna i rzygowiny smarkaczy. Tylko czarnuchy wykonują jeszcze taką pracę.

Uważał, że jego żona jest zbyt potulna. I o ile podniecało go to nocą w łóżu małżeńskim, o tyle przez resztę czasu doprowadzało do rozpachy. Bez przerwy dawał Louise rady, a ona udawała, że ich słucha: – „Powinnaś powiedzieć, żeby ci oddali pieniądze, i tyle”. „Nie powinnaś zgadzać się pracować ani minuty dłużej, jeśli ci nie zapłacą”. „Idź na zwolnienie lekarskie, nie będą mogli ci nic zrobić”.

Jacques był zbyt zajęty, żeby szukać pracy. Własne kłopoty zajmowały mu cały czas. Rzadko wychodził z domu, rozkładał papiery na niskim stoliku przy zawsze włączonym telewizorze. W tamtym czasie nie znosił już obecności dzieci i kazał Louise pracować w mieszkaniach pracodawców. Irytował go kaszel dziecięcy, płacz niemowląt, a nawet śmiech. Przede wszystkim odstręczała go sama Louise. Do furii doprowadzały go jej pożałowania godne zajęcia, które zawsze skupiały się wokół maluchów. „Ty i twoje babskie sprawy”, powtarzał. Myślał, że nie warto o nich wspominać. Nikt nie powinien słuchać opowieści o dzieciach i starcach, powinny być przeżywane w ukryciu. To nieprzyjemne momenty w życiu, wiek zależności i powtarzania tych samych gestów.

Wiek, w którym odrażające pozbawione wstydu ciało, zimna śmierzcząca mechanika przysłała wszystko. Ciała, które domagają się picia i miłości. „Może to obrzydzić bycie człowiekiem”.

W tamtym czasie kupił na kredyt komputer, nowy telewizor i fotel do masażu, którego oparcie mógł obniżyć, żeby się zdrzemnąć. Spędzał całe godziny przed błękitnym ekranem komputera, którego astmatyczny oddech wypełniał pomieszczenie. Siedząc w nowym fotelu naprzeciw nowiutkiego telewizora, naciskał nerwowo guziki pilota jak dzieciak, którego ogłupiła zbyt duża ilość zabawek.

To musiała być sobota, bo jedli razem obiad. Jacques utyskiwał, jak zawsze, ale z mniejszą energią. Louise postawiła pod stołem miednicę z lodowatą wodą, w której Jacques zanurzył stopy. Louise jeszcze widzi w koszmarach snach fioletowe nogi Jacques'a, opuchnięte chore kostki cukrzyka, które bez przerwy musiała mu masować. Kilka dni wcześniej zauważyła jego woskową cerę i przygaszony wzrok, spostrzegła, że ma kłopoty, by dokończyć zdanie na jednym oddechu. Ugotowała ossobuco. Po trzecim kęsie, gdy Jacques miał właśnie coś powiedzieć, wymiotował wszystko na talerz. Wymiotował jednym ciągiem, jak noworodek, dlatego Louise od razu wiedziała, że to coś poważnego. Że nie przejdzie. Wstała i widząc bezradną twarz Jacques'a, powiedziała:

– To nic takiego. To nic.

Mówiła bez przerwy, oskarżając się, że dołała za dużo wina do sosu, który był kwaśny, wygłaszając głupie teorie na temat kwasoty żołądka. Mówiła i mówiła, dawała rady, obwiniała się, a potem przeproszała. Jej drżący chaotyczny słowotok tylko zwiększał lęk, jaki ogarnął Jacques'a, który czuł się tak, jakby był w swoim cieple, stał u szczytu schodów, nie trafił w pierwszy stopień i patrzył, jak spada głową w dół, a potem leży zakrwawiony, ze złamanym kręgosłupem. Gdyby zamilkła, może by się rozplakał, prosił o pomoc, a może nawet o odrobinę czułości. Ale sprzątając talerze, ściągając obrus, czyszcząc podłogę, Louise bez przerwy mówiła.

Jacques zmarł po trzech miesiącach. Wysechł jak zapomniany na słońcu owoc. W dzień pogrzebu padał śnieg i światło było niemal niebieskie. Louise została sama.

Pokiwała głową, gdy zmartwiony notariusz wyjaśnił jej, że Jacques zostawił same długi. Wpatrywała się w wole, które uciskał kołnierzyk koszuli, i udawała, że godzi się z sytuacją. Po Jacques'u odziedziczyła tylko przegrane spory, procesy w toku, faktury do zapłacenia. Bank dał jej miesiąc na opuszczenie domku w Bobigny, który miał zostać zajęty. Louise sama spakowała pudła. Troskliwie poukładała w nich te kilka rzeczy zostawionych przez Stéphanie. Nie wiedziała, co zrobić ze stosami dokumentów, które zgromadził Jacques. Rozważała, czyby ich nie spalić w ogródku, i pomyślała sobie, że przy odrobinie szczęścia ogień mógłby ogarnąć ściany domu, ulicę, a nawet całą dzielnicę. Tym sposobem cała ta część jej życia poszłaby z dymem. Wcale by jej to nie zmartwiło. Stałaby tu, dyskretnie i nieruchomo, obserwując, jak płomienie pożerają jej wspomnienia, długie spacerunki pustymi ciemnymi ulicami, jej pełne nudy niedziele z Jakiem i Stéphanie.

Ale Louise wzięła walizkę, zamknęła drzwi na klucz i wyszła, zostawiając w sionce pudła ze wspomnieniami, ubrania swojej córki i kombinacje męża.

Tej nocy spała w pokoju hotelowym, za który zapłaciła tydzień wcześniej. Robiła

sobie kanapki, które jadła przed telewizorem. Ssała biszkopty figowe, które rozpuszczały się jej na języku. Samotność okazała się jak olbrzymia szczelina i Louise patrzyła, jak w nią wpada. Samotność, która kleiła jej się do ciała i do ubrań, zaczęła rzeźbić jej rysy, a w końcu narzuciła gesty staruszki. Samotność, która zaskakiwała ją o zmroku, gdy zapada noc i słycać odgłosy domów zamieszkałych przez kilka osób. Zapada zmrok i dochodzi do niej gwar; śmiechy, dyszenia, nawet westchnienia nudy.

W tym pokoju w chińskiej dzielnicy straciła poczucie czasu. Była zagubiona, otepiała. Cały świat o niej zapomniał. Spała godzinami i budziła się ze spuchniętymi oczami i bólem głowy mimo chłodu, który utrzymywał się w pokoju. Wychodziła jedynie w razie absolutnej konieczności, gdy za bardzo doskwierał jej głód. Szła ulicą niczym pośród dekoracji filmowych, w których jej nie było, jak niewidzialny widz obserwujący ludzkie ruchy. Zdawało się, że każdy ma gdzie pójść.

Samotność działała jak narkotyk, a ona nie była pewna, czy chce się bez niego obejść. Błąkała się po ulicach ogłupiała, z tak szeroko otwartymi oczami, że aż ją bolały. W swojej samotności zaczęła widzieć ludzi. Widzieć ich naprawdę. Istnienie innych wydawało się namacalne, wibrujące, bardziej realne niż kiedykolwiek. Obserwowała bardzo uważnie gesty par siedzących w kawiarnianych ogródkach. Krzywe spojrzenia opuszczonych starców. Mizdrzenie się studentek, które udawały, że się uczą, siedząc na poręczy ławki. Na placach przy wyjściu z metra rozpoznawała dziwne ruchy tych, którzy się niecierpliwią. Czekala z nimi na przyjście osoby, z którą byli umówieni. Codziennie spotykała towarzyszy szaleństwa, ludzi mówiących do siebie, wariatów, kloszardów.

W tamtym czasie w mieście pełno było szaleńców.



Nadchodzi zima, dni są do siebie podobne. Listopad jest deszczowy i lodowaty. Na zewnątrz chodniki pokrywa gołoledź. Nie da się wyjść. Louise próbuje znaleźć dzieciom rozrywkę. Wymyśla zabawy, śpiewa piosenki. Budują dom z tektury. Ale dzień zdaje się ciągnąć bez końca. Adam ma gorączkę i bez przerwy jęczy. Louise nosi go na rękach, kołysze niemal przez godzinę, aż malec zasypia. Mila, która kręci się w kółko w salonie, też robi się nerwowa.

– Chodź do mnie – mówi do niej Louise.

Mila podchodzi bliżej i niania wyjmuje z torebki małą białą kosmetyczkę, o której dziecko tak często marzyło. Mila uważa, że Louise jest najpiękniejszą z kobiet. Przypomina tę blondwłosą wymuskaną stewardesę, która poczęstowała ją cukierkami podczas lotu do Nicei. Mimo że Louise przez cały dzień się krząta, myje naczynia i biega z przedszkola do domu, zawsze wygląda nienagannie. Ma starannie spięte do tyłu włosy. Czarny tusz, którego nakłada na rzęsy co najmniej trzy grube warstwy, sprawia, że przypomina zdziwioną laleczkę, a do tego ma miękkie, pachnące kwiatami ręce. Palce, na których nigdy nie łuszczy się lakier.

Louise nieraz maluje sobie paznokcie w obecności Mili, a mała z zamkniętymi oczami wdycha zapach zmywacza i taniego lakieru, który niania rozprowadza energicznym ruchem, nigdy nie zahaczając o skórki. Dziewczynka patrzy zafascynowana, jak Louise macha potem rękami w powietrzu i dmucha na palce.

Mila zgadza się, by Louise ją całowała, bo lubi czuć zapach talku na jej policzkach, oglądać z bliska drobinki złota, które błyskają na powiekach. Lubi patrzeć, jak nakłada szminkę. Jedną ręką Louise trzyma przed sobą lustro, zawsze idealnie czyste, i rozciąga usta w dziwnym grymasie, który Mila naśladuje potem w łazience.

Louise grzebie w kosmetyczce. Bierze dłonie dziewczynki i smaruje je kremem różanym, który nabiera z maleńkiego słoiczka.

– Ładnie pachnie, prawda?

Na oczach zdumionego dziecka nakłada na małe paznokietki wulgarny różowy lakier, który bardzo silnie czuć acetonem. Ten zapach jest dla Mili zapachem kobiecości.

– Zdejmij buty, dobrze?

I pociąga lakierem paznokcie u grubiotkich palców u nóg, które ledwie przestały być palcami dziecka. Wysypuje zawartość kosmetyczki na stół. Wzbija się pomarańczowy kurz i zapach talku. Mila śmieje się z radości. Louise teraz nakłada jej szminkę, niebieski cień na powieki, a na policzki pomarańczową pastę. Każe jej opuścić głowę i tapiruje włosy, zbyt sztywne i delikatne, aż w końcu robi z nich grzywę.

Śmieją się tak bardzo, że nie słyszą Paula, który zamyka drzwi i wchodzi do salonu. Mila uśmiecha się z otwartymi ustami, wyciągniętymi ramionami.

– Popatrz, tato, popatrz, co zrobiła Louise!

Paul wpatruje się w nią. Tak bardzo się cieszył, że wcześniej wraca, że zobaczy swoje dzieci, a teraz robi mu się niedobrze. Wydaje mu się, że niespodziewanie stał się świadkiem ponurego chorego przedstawienia. Jego córka, jego maleństwo przypomina transwestytę, skończoną steraną piosenkarkę z niemodnego kabaretu. Nie może otrząsnąć się ze zdziwienia. Jest wściekły, kompletnie wyprowadzony z równowagi. Nienawidzi Louise za to, że przyszło mu oglądać to widowisko. Mila, jego aniołek, jego błękitna

ważka jest tak brzydka jak zwierzę w cyrku, tak śmieszna jak pies, którego histeryczna starsuszka ubrała na spacer.

– Co to ma być? Co pani odbiło? – wrzeszczy Paul.

Chwyta Milę za rękę, stawia ją na taborecie w łazience. Ściera jej makijaż z twarzy.

Mała wrzeszczy:

– To boli! – Łka, a szminka, coraz bardziej lepka, klejąca, tylko się rozmazuje na delikatnej skórze dziecka. Paul ma wrażenie, że jeszcze mocniej oszpeca, brudzi Milę, i jego złość rośnie.

– Louise, uprzedzam panią, nie chcę nigdy więcej widzieć czegoś podobnego. Mam wstręt do tego rodzaju rzeczy. Nie mam ochoty, by moja córka uczyła się wulgarności. Jest o wiele za mała, żeby przebierać się za... Rozumie pani, co mam na myśli.

Louise stoi w drzwiach łazienki z Adamem na rękach. Mimo krzyków ojca, mimo zamętu niemowlę nie płacze. Patrzy na Paula pełnym wyrzutu nieufnym wzrokiem, jakby dawało mu do zrozumienia, że wybrało swój obóz i jest to obóz Louise. Niania słucha Paula. Nie spuszcza wzroku, nie przeprosza.

Stéphanie mogła się nie urodzić. Louise nieraz o tym myśli. Mogła nie pozwolić jej żyć. Zabić ją w zarodku. Nikt by się nie zorientował. Nikt nie robiłby jej wyrzutów. Gdyby ją zabiła, społeczeństwo byłoby dzisiaj może nawet jej wdzięczne. Wykazałaby się postawą obywatelską, zdrowym rozsądkiem.

Louise miała dwadzieścia pięć lat, gdy pewnego ranka obudziła się z ciężkimi obolałymi pierściami. Smutna nowina oddzieliła ją od świata. Czowała, że coś jest nie w porządku. Pracowała wtedy u pana Francka, malarza, który mieszkał z matką w prywatnej kamienicy w czternastej dzielnicy. Louise niewiele rozumiała z twórczości pana Francka. W salonie, na ścianach w korytarzu i w sypialniach stawała przed olbrzymimi portretami zniekształconych kobiet, o ciałach odrętwiałych z bólu lub zastygłych w ekstazie, którym malarz zawdzięczał sławę. Louise nie byłaby w stanie powiedzieć, czy uznawała je za piękne, ale nawet się jej podobały.

Geneviève, matka pana Francka, złamała sobie szyjkę kości udowej, wysiadając z pociągu. Nie mogła chodzić i na peronie straciła rozum. Żyła na leżąco, przez większość czasu naga, w jasnym pokoju na parterze. Tak trudno było ją ubrać, walczyła tak zaciekle, że po prostu kładziono ją na posłaniu z pierściami i wszystkim innym na widoku. Porzucone ciało wyglądało przerażająco.

Pan Franck początkowo zatrudniał bardzo drogie wykwalifikowane pielęgniarki. Ale one skarżyły się na kaprysy staruchy. Oglupiały ją lekami. Syn uznał, że są zimne i brutalne. Marzył o przyjaciółce dla matki, o piastunce, pełnej czułości kobiecie, która słuchałaby jej majaczeń, nie wznosząc oczu do nieba, nie wzdychając. Louise była oczywiście młoda, ale zrobiła na nim wrażenie swoją siłą fizyczną. Pierwszego dnia weszła do pokoju i udało jej się samej podnieść ciało ciężkie jak z ołowiu. Umyła staruszkę, cały czas mówiąc, i Geneviève po raz pierwszy nie krzyczała.

Louise spała ze staruchą. Myła ją. Słuchała, jak majaczy w nocy. Podobnie jak niemowlęta, Geneviève bała się zmierzchu. Gdy zapadał zmrok, cienie i cisza sprawiały, że krzyczała ze strachu. Miała wieczorne ataki paniki. Błagała swoją matkę, która nie żyła od czterdziestu lat, by po nią przyszła. Louise, sypiąca obok szpitalnego łóżka, próbowała przemówić jej do rozsądku. Starucha wyzywała ją od dziwek, suk, bękartów. Nieraz próbowała ją uderzyć.

Potem Louise zaczęła sypiać tak mocno jak nigdy wcześniej. Krzyki Geneviève już jej nie przeszkadzały. Wkrótce nie była w stanie odwracać staruchy ani sadzać jej na wózku inwalidzkim. Ręce miała jak obumarłe, strasznie bolały ją plecy. Któregoś popołudnia, gdy zapadł już zmierzch i Geneviève mamrotała rozdzierające modlitwy, Louise poszła na górę, do pracowni pana Francka, by wyjaśnić mu sytuację. Malarz wpadł we wściekłość, czego Louise nie przewidziała. Gwałtownie zamknął drzwi i podszedł do niej, wbijając w nią szare oczy. Przez moment sądziła, że coś jej robi. A on zaczął się śmiać.

– Louise, osoby w takiej sytuacji jak pani, niezamężne, ledwie zarabiające na życie, nie decydują się na dziecko. Szczerze mówiąc, uważam, że jest pani całkowicie nieodpowiedzialna. W swojej naiwności przychodzi pani z tym głupim uśmiechem, żeby mi to oznajmić. I czego się pani spodziewa? Że otworzę szampana? – Chodził tam i z powrotem po dużym pomieszczeniu pośród niedokończonych płócien, z rękami za

plecami. – Sądzi pani, że to dobra nowina? Rozum pani odebrało? Coś pani powiem: ma pani szczęście, że trafiła na takiego pracodawcę jak ja, który próbuje pani pomóc i poprawić pani byt. Znam takich, którzy by panią wyrzucili, i to natychmiast. Powierzam pani swoją matkę, najważniejszą dla mnie osobę na świecie, i orientuję się, że jest pani kompletnie odmóżdżona, niezdolna wykazać się zdrowym rozsądkiem. Nie obchodzi mnie, jak spędza pani wolne wieczory. Jest mi obojętne, jak się pani prowadzi. Ale życie to nie zabawa. Co robi pani z dzieckiem?

A tak naprawdę pana Francka obchodziło to, co Louise robi w sobotnie wieczory. Zaczął jej zadawać coraz bardziej natarczywe pytania. Miał ochotę nią potrząsnąć, bić ją po twarzy, żeby się przyznała. Żeby opowiedziała mu, co robi, gdy jest gdzie indziej, gdy on nie ma jej na oku, gdy nie siedzi przy łóżku Geneviève. Chciał wiedzieć, z jakich pieszczot narodziło się to dziecko, w jakim łóżku Louise oddawała się rozkoszy, rozpuście, radości. Bez przerwy pytał ją, kto jest ojcem, jak wygląda, gdzie go poznała i co on zamierza zrobić. Ale Louise na jego pytania niezmiennie odpowiadała:

– To nikt.

Pan Franck wszystkim się zajął. Powiedział, że sam zabierze ją do lekarza i będzie czekał podczas zabiegu. Obiecał nawet, że jak tylko będzie po wszystkim, podpisze z nią prawdziwą umowę, będzie jej przelewał pieniądze na konto w banku na jej nazwisko i będzie miała prawo do płatnego urlopu.

W dniu zabiegu Louise zasnęła i nie zdążyła na wizytę. Stéphanie zwyciężyła, drażąc w niej, rozciągając ją, rozrywając jej młodość. Wykiełkowała jak grzyb na wilgotnym drewnie. Louise nie wróciła do pana Francka. Nigdy nie zobaczyła już staruchy.

Louise zamknięta w mieszkaniu państwa Massé ma nieraz wrażenie, że oszaleje. Przed kilkoma dniami na policzkach i nadgarstkach pojawiły jej się czerwone plamy. Musi obmywać ręce i twarz lodowatą wodą, by złagodzić dojmujące pieczenie. W te dłużące się zimowe dni ogarnia ją uczucie olbrzymiej samotności. W przypływie paniki wychodzi z mieszkania, zamyka za sobą drzwi i mimo zimna zabiera dzieci na skwerek.

Skwerki w zimowe popołudnia. Drobny deszcz omiata suche liście. Lodowaty żwirek lepi się do kolan maluchów. Na ławkach w ustronnych alejkach widuje się tych, których świat już nie chce. Uciekają z małych mieszkań, ze smutnych salonów, z foteli, które zapadają się z beczynności i nudy. Wolą trząść się na świeżym powietrzu, przygarbieni, z założonymi rękami. O szesnastej wydaje się, że pusty dzień ciągnie się bez końca. W połowie popołudnia człowiek zdaje sobie sprawę, ile czasu zmarnował, obawia się nadchodzącego wieczoru. O tej porze wstydy się, że jest bezużyteczny.

Skwerki w zimowe popołudnia są odwiedzane przez włóczęgów, kloszardów, bezrobotnych i ludzi starych, chorych, zagubionych, niepewnych. Przez tych, którzy nie pracują, przez tych, którzy niczego nie produkują. Przez tych, którzy nie zarabiają pieniędzy. Wiosną oczywiście wracają zakochani, spotykające się ukradkiem pary znajdują schronienie pod lipami, w ukwieconych alkowach, turyści fotografują pomniki. Zimą jest inaczej.

Wokół lodowatej zjeżdżalni kręcą się nianie ze sforą dzieci. Maluchy ubrane w puchowe kurtki, które krępują im ruchy, biegają jak grube lalki japońskie, zasmarkane, z sinymi palcami. Wydychają białą parę i zachwycają się nią. Przypięte do wózków niemowlęta patrzą na starsze dzieci. Może niektóre z nich czują melancholię, niecierpliwość. Pewnie nie mogą się już doczekać, kiedy będą mogły się ogrzać, wspinając na drewniane poręcze. Z niecierpliwością myślą o tym, że wymkną się spod kontroli kobiet, które chwytają je pewnym lub brutalnym, łagodnym lub pełnym irytacji gestem. Kobiet w tunikach na lodowatym zimnie.

Są także matki, matki z błędnym wzrokiem. Ta, którą niedawny poród trzyma na skraju świata i która na tej ławce czuje ciężar jeszcze zwiotczałego brzucha. Nosi pełne bólu i wydzielin ciało, które pachnie kwaśnym mlekiem i krwią. Ciało, które wlecze ze sobą, nie dbając o nie ani nie dając mu wytchnienia. Są matki uśmiechnięte, rozpromienione, tak rzadko spotykane, że wszystkie dzieci patrzą na nie z zachwytem. Matki, które nie pożegnały się dziś rano, nie zostawiły ich w ramionach innej kobiety. Matki, które jeden dzień urlopu zachęcił do wyjścia, a teraz z dziwnym entuzjazmem korzystają z banalnego zimowego dnia w parku.

Są tu też mężczyźni, ale w pobliżu ławek na skwerku, w pobliżu piaskownicy, w pobliżu maluchów kobiety tworzą zwarty mur obronny nie do przebycia. Z nieufnością patrzą na mężczyzn, którzy podchodzą zbyt blisko, interesują się kobiecym światem. Przegania się tych, którzy uśmiechają się do dzieci, przyglądają się ich okrągłym policzkom i małym nóżkom. Babcie narzekają: „Tyle teraz tych pedofilów. Za moich czasów tego nie było”.

Louise nie spuszcza wzroku z Mili. Dziewczynka biega od zjeżdżalni do huśtawki. Nie zatrzymuje się, żeby nie dopadł jej chłód. Ma przemoczone rękawiczki i wyciera je o różowy płaszczyk. Adam śpi w wózku. Louise opatulila go kocem, delikatnie głaska

skórę na jego karku, między swetrem a wełnianą czapką. Lodowate słońce o metalicznym blasku sprawia, że mruży oczy.

– Poczęstujesz się?

Młoda dziewczyna usiadła obok niej z rozłożonymi udami. Podaje jej pudełeczko pełne miodowych ciasteczek. Louise patrzy na nią. Ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i uśmiecha się nieco wulgarnie. Jej długie ciemne włosy są brudne i rozczochrane, ale widać, że mogłaby być ładna. W każdym razie pociągająca. Ma apetyczne krągłości, trochę tłuszczu na brzuchu i grube uda. Je ciastko z otwartymi ustami, głośno oblizuje oblepione miodem palce.

– Dziękuję. – Louise odmawia gestem dłoni.

– U nas zawsze częstujemy nieznajomych. Tylko tutaj widziałam, że ludzie jedzą sami.

Mniej więcej czteroletni chłopczyk podchodzi do młodej kobiety, a ona wpycha mu do ust ciastko. Chłopczyk się śmieje.

– To dla ciebie dobre – mówi do niego. – Ale to tajemnica, zgoda? Nic nie powiemy mamie.

Chłopczyk ma na imię Alphonse i Mila lubi się z nim bawić. Louise codziennie przychodzi na skwerek i codziennie odmawia jedzenia tłustych ciastek, którymi częstuje ją Wafa. Nie pozwala, by Mila je jadła, ale Wafa nic sobie z tego nie robi. Jest bardzo gadatliwa, przysuwa się do Louise na ławce i opowiada jej o swoim życiu. Mówi przede wszystkim o mężczyznach.

Wafa przywodzi na myśl dużego kota, może nieszczególnie subtelnego, lecz bardzo zaradnego. Nie ma jeszcze dokumentów, ale nie wydaje się, żeby to ją martwiło. Przyjechała do Francji dzięki staremu mężczyźnie, którego masowała w podejrzanym hotelu w Casablance. Mężczyzna przywiązał się do jej delikatnych dłoni, potem także do jej ust, pośladków, a wreszcie do całego ciała, które mu oddała, idąc za głosem instynktu i za radą matki. Starzec zabrał ją do Paryża, gdzie zajmował nędzne mieszkanie, żyjąc z zasiłku.

– Przestraszył się, że zajdę w ciążę, i dzieci nakłoniły go, żeby mnie wyrzucił, mimo że chciał, żebym została.

Wobec milczenia Louise Wafa mówi tak, jakby spowiadała się księdzu lub zeznawała na policji. Opowiada jej ze szczegółami o życiu, które nigdy nie zostanie spisane. Gdy opuściła starego, zajęła się nią dziewczyna, która założyła jej konto na portalu randkowym dla młodych muzułmanek bez dokumentów. Pewnego wieczoru umówił się z nią facet w McDonalddie na przedmieściu. Uznał, że jest piękna. Zaczął się do niej zalecać. Próbował nawet ją zgwałcić. Udało jej się go uspokoić. Zaczęli rozmawiać o pieniądzach. Jusuf zgodził się ją poślubić za dwadzieścia tysięcy euro. „To niedrogo za dokumenty francuskie”, wyjaśnił.

Znalazła tę pracę, to prawdziwy łut szczęścia, u francusko-amerykańskiego małżeństwa. Dobrze ją traktują, choć są bardzo wymagający. Wynajęli jej służbówkę sto metrów od ich mieszkania.

– Płacą czynsz, ale w zamian nie mogę im nigdy odmówić... Uwielbiam tego małego – mówi, pozerając Alphonse'a wzrokiem.

Louise i Wafa milczą. Na skwerze wieje lodowaty wiatr i wiedzą, że niedługo trzeba będzie iść.

– Biedny maluch, popatrz na niego, ubrałam go tak, że ledwo może się ruszać. Jeśli się przeziębí, jego matka mnie zabije.

Wafa czasem się boi, że zestarzeje się w jednym z tych parków. Że na tych starych lodowatych ławkach poczuje, jak trzaska jej w kolanach, że nie będzie już nawet miała siły podnieść dziecka. Alphonse urośnie. Nie będzie chodził już na skwerek w zimowe popołudnia. Będzie szukał słońca. Pojedzie na wakacje. Może nawet kiedyś będzie spał w jednym z pokoi w Grand Hotelu, gdzie Wafa masowała mężczyzn. Na tarasie wyłożonym żółto-niebieskimi kafelkami jedna z jej sióstr czy kuzynek będzie obsługiwać mężczyznę, którego ona wychowała.

– Widzisz, wszystko się odwraca. Jego dzieciństwo i moja starość. Moja młodość i jego dorosłe życie. Przeznaczenie jest przebiegłe jak wąż, zawsze stara się, byśmy byli po złej stronie sceny.

Pada deszcz, trzeba wracać.

Paulowi i Myriam zima upływa w zastraszającym tempie. Przez te kilka tygodni rzadko się widują. Spotykają się w łóżku, do którego jedno wchodzi, gdy drugie już śpi. Dotykają się stopami pod kołdrą, całują się w szyję i śmieją, gdy to drugie mruczy jak zwierzę, któremu zakłócono sen. Dzwonią do siebie w ciągu dnia, zostawiają sobie wiadomości. Myriam przykleja karteczki z wyznaniem miłosnymi na lustrze w łazience. Paul wysyła jej w środku nocy filmy wideo z prób.

Życie stało się ciągiem zadań, zobowiązań, z których trzeba się wywiązać, spotkań, których nie można opuścić. Myriam i Paul są zawałeni pracą. Lubią to powtarzać, jakby wycieńczenie było znakiem zwiastującym sukces. Ich życie występuje z brzegów, ledwie jest w nim miejsce na sen, a już w ogóle nie ma na kontemplację. Biegają z jednego miejsca do drugiego, przebierają buty w taksówkach, piją drinki z ludźmi, którzy mogą im pomóc w karierze. Oboje stają się szefami firmy, która hula, ma jasne cele, przychody i koszty.

Po całym domu walają się listy zrobione przez Myriam na papierowej serwetce, na kartce samoprzylepnej albo na ostatniej stronie książki. Ciągłe ich szuka. Boi się je wyrzucić, jakby mogła się przez to pogubić w zadaniach do wykonania. Zachowała nawet bardzo stare listy i czyta je z tym większą nostalgią, że sama już nieraz nie wie, do czego odnoszą się te niejasne notatki.

- *Apteka*
- *Opowiedzieć Mili historię Nilsa*
- *Zarezerwować Grecję*
- *Oddzwonić do M.*
- *Przejrzeć wszystkie notatki*
- *Pójść jeszcze raz do tego sklepu. Kupić tę sukienkę?*
- *Przeczytać jeszcze raz Maupassanta*
- *Zrobić mu niespodziankę?*

Paul jest szczęśliwy. Życie wreszcie zdaje się zaspakajać jego apetyt, jego szaloną energię, radość życia. On, chłopak, który wyrósł na świeżym powietrzu, może wreszcie rozwinąć skrzydła. W ciągu kilku miesięcy jego kariera nabrała tempa, tak że po raz pierwszy w życiu robi dokładnie to, co mu się podoba. Jego praca nie polega już na usługiwaniu innym, wykonywaniu poleceń i słuchaniu w milczeniu rozhisteryzowanego producenta lub zdziecinniałych piosenkarzy. Do przeszłości należą dni spędzone na czekaniu na zespoły, które nie informują, że spóźnią się sześć godzin. Podobnie jak sesje nagraniowe z piosenkarzami variétés wracającymi po latach na scenę albo z tymi, którzy by wydobyć z siebie jedną nutę, potrzebują litrów alkoholu i dziesiątek kresek. Paul spędza noce w studiu spragniony muzyki, nowych pomysłów, dobrej zabawy. Nigdy nie zdaje się na przypadek, całymi godzinami poprawia dźwięk werbla, aranżację perkusji. „Louise jest na miejscu!”, powtarza żonie, gdy Myriam się niepokoi, że ich nie ma.

Gdy Myriam zaszła w ciążę, szalał z radości, ale mówił przyjaciółom, że nie chce, by jego życie się zmieniło. Myriam uważała, że ma rację, i z jeszcze większym podziwem patrzyła na swojego tak wysportowanego, tak przystojnego, tak niezależnego faceta. Obiecał jej, że będzie czuwał, by ich życie nadal było radosne, dalej dostarczało im niespodzianek. „Będziemy podróżowali z małym pod pachą. Zostaniesz wielką



adwokatką, a ja będę producentem uwielbianych artystów i nic się nie zmieni”. Udawali, walczyli.

W pierwszych miesiącach po narodzinach Mili życie zamieniło się w nieco żalną komedię. Myriam ukrywała podkrążone oczy i melancholię. Bała się przyznać, że ciągle jest śpiąca. W tamtym czasie Paul zaczął pytać: „O czym myślisz?” i za każdym razem chciało jej się płakać. Zapraszali do domu przyjaciół, a Myriam musiała się powstrzymywać, żeby ich nie wyrzucić, nie przewrócić stołu, nie zamknąć się na klucz w sypialni. Koledzy śmiali się, pili, Paul im dolewał. Prowadzili zażarte dyskusje, a Myriam bała się, że obudzą jej córeczkę. Zaczęłaby chyba wyc z zmęczenia.

Po przyjsciu na świat Adama było jeszcze gorzej. W nocy po powrocie z porodówki Myriam zasnęła w pokoju z przezroczystą kołyską koło łóżka. Paul nie mógł zasnąć. Wydawało mu się, że w mieszkaniu unosi się dziwny zapach. Taki sam jak w sklepach zoologicznych, na bulwarach, gdzie zabierali czasem Milę w weekendy. Zapach wydzielin i stęchlizny, wyschniętego moczu w kuwecie. Ten zapach przyprawiał go o mdłości. Wstał, wyniósł śmieci. Otworzył okno. Potem zorientował się, że to Milla powrzucała co tylko się dało do toalety, z której teraz wylewała się woda i stąd brał się ten zgniły odór roznoszący się po mieszkaniu.

W tamtym czasie Paul czuł się jak w pułapce, przytłoczony obowiązkami. Przygaś, a przecież wszyscy podziwiali jego lekkość, donośny śmiech, jego wiarę w przyszłość. On, wielki jasnowłosy dryblas, za którym oglądały się dziewczyny, a on ich nie zauważał. Przestał mieć szalone pomysły, proponować weekendy w górach albo wypadki samochodem, by zjeść ostrygi na plaży. Jego entuzjazm ostygł. Przez kilka miesięcy po narodzinach Adama unikał domu. Wymyślał fikcyjne spotkania i pił piwo, sam, ukradkiem, w odległej dzielnicy. Jego koledzy także zostali ojcami, większość opuściła Paryż i przeprowadziła się na przedmieścia, na prowincję albo do któregoś z cieplejszych krajów na południu Europy. Na kilka miesięcy Paul stał się niedojrzały, nieodpowiedzialny, śmieszny. Miał tajemnice i pragnienia ucieczki. Zresztą nie pobrażał sobie. Wiedział, jak bardzo jego postawa jest banalna. Chciał tylko nie wracać do domu, być wolny, jeszcze pożyć, bo tak mało przeżył i zdał sobie z tego sprawę za późno. Ubranie ojca wydawało mu się jednocześnie za duże i zbyt smutne.

Ale teraz, gdy to się dokonało, nie mógł powiedzieć, że już tego nie chce. Były dzieci, kochane, ubóstwiane, nigdy nie kwestionowane, lecz wszędzie wkradały się wątpliwości. Dzieci, ich zapach, ich gesty, ich pragnienie, by przebywać z nim, to wszystko wzruszało go tak bardzo, że nie byłby w stanie tego opisać. Miał nieraz ochotę, by razem z nimi być dzieckiem, by dostosować się do nich, wtopić się w dzieciństwo. Coś umarło i nie była to tylko młodość czy beztroska. Nie był już bezużyteczny. Ktoś go potrzebował i musiał się z tym pogodzić. Stając się ojcem, zyskał zasady i pewniki, których przysięgał sobie nigdy nie mieć. Jego hojność stała się względna. Jego zachwyty ostygły. Jego świat się skurczył.

Teraz w domu jest Louise i Paul znowu zaczął umawiać się z żoną. Któregoś popołudnia wysłał jej wiadomość. „Place des Petits-Pères”. Nie odpowiedziała i uznał jej milczenie za coś wspaniałego. Jakby tego wymagała grzeczność, milczenie zakochanej. Dotarł na miejsce trochę przed czasem z drżącym sercem i z odrobiną niepokoju.

„Przyjdzie, oczywiście, że przyjdzie”. I przysłała, i spacerowali razem po bulwarach, tak jak kiedyś.

Wie, że Louise jest im niezbędna, ale nie może jej już znieść. Jej uroda lalki, wkurzający wyraz twarzy irytuje go i denerwuje.

– Jest tak doskonała, tak delikatna, że czasami robi mi się niedobrze – wyznał któregoś dnia żonie.

Nienawidzi dziewczęcej sylwetki Louise, zwyczaju drobiazgowego analizowania każdego gestu dzieci. Gardzi jej mętnymi teoriami na temat wychowania i metodami z innej epoki. Wyśmiewa się ze zdjęć, które zaczęła im po dziesięć razy dziennie przysyłać na telefony komórkowe: na fotografiach dzieci podnoszą z uśmiechem puste talerze, a Louise komentuje: „Wszystko zjadłem”.

Od incydentu z makijażem Paul niemal przestał się do niej odzywać. Tamtego wieczoru uparł się nawet, by ją zwolnić. Zadzwoił do Myriam, żeby z nią o tym porozmawiać. Była w biurze, nie miała czasu się tym zajmować. Więc poczekał, aż wróci, i gdy koło jedenastej żona otworzyła drzwi, opowiedział jej całą scenę i o tym, jak Louise na niego spojrzała, o jej lodowatym milczeniu i arogancji.

Myriam przemówiła mu do rozsądku. Zbagatelizowała całą sprawę. Zarzuciła mu, że był zbyt surowy, że Louise mogła poczuć się obrażona. Zresztą one obie zawsze sprzymierzają się przeciw niemu, jak dwie niedźwiedzice. Gdy chodzi o dzieci, traktują go czasem z wyższością, która go złości. Wykorzystują swoją pozycję matek. Robią z niego dziecko.

Sylvie, matka Paula, podśmiewała się z nich. „Odgrywacie wielkich państwa w stosunku do tej waszej guwernantki. Nie sądzicie, że trochę przesadzacie?” Paul się obraził. Rodzice wychowali go w nienawiści do pieniędzy, do władzy i w trochę naiwnym szacunku do ludzi stojących niżej. On zawsze pracował na luzie, pracował z ludźmi, którym czuł się równy. Zawsze był na ty ze swoim szefem. Nigdy nie wydawał rozkazów. Louise jednak zrobiła z niego szefa. Słyszy, jak sam daje żonie żalosne rady:

– Nie idź na zbyt duże ustępstwa, bo będzie żądać coraz więcej – mówi, wyciągając rękę i głaszcząc ją od nadgarstka do ramienia.

Myriam bawi się w kąpielni ze swoim synem. Trzyma go między udami, przyciska do siebie i tuli tak mocno, że Adam w końcu zaczyna się wyrywać i płakać. Nie może się powstrzymać, by nie obsypywać pocałunkami jego pulchnego ciała, idealnego ciała amorka. Patrzy na niego i zalewa ją szczypiąca fala macierzyńskiej miłości. Myśli sobie, że niedługo nie będzie już miała odwagi przytulać się tak naga do niego. Że nie będzie wypadało. A potem, szybciej, niż jej się wydaje, zestarzeje się, a on, to roześmiane i rozpieszczane dziecko, stanie się mężczyzną.

Rozbierając go, zauważyła dwa dziwne ślady na ręce i na plecach, na wysokości ramienia. Dwa czerwone prawie niewidoczne znaki, w których można jeszcze dostrzec coś, co przypomina ślady po zębach. Całuje z czułością te rany. Przyciska syna do siebie. Przeprasza go i pociesza po tym nieszczęściu, które zdarzyło się pod jej nieobecność.

Następnego dnia rano Myriam pyta o to Louise. Niania ledwie weszła do mieszkania. Nie zdążyła nawet jeszcze zdjąć płaszcza, gdy Myriam pokazuje jej nagie ramionko Adama. Louise nie wydaje się zdziwiona.

Unosi brwi, wiesz płaszcz i pyta:

– Czy pan Paul odprowadził Milę do przedszkola?

– Tak, właśnie wyszli. Louise, widziała to pani? To ślady po ugryzieniu, prawda?

– Tak, wiem. Posmarowałam to odrobiną kremu, żeby się lepiej goiło. Milla go ugryzła.

– Jest pani pewna? Była pani przy tym? Widziała to pani?

– Oczywiście, że byłam. Bawili się we dwójkę w salonie, gdy przygotowywałam kolację. I nagle usłyszałam wrzask Adama. Szlochał, biedny, i na początku nie wiedziałam dlaczego. Milla ugryzła go przez ubrania, dlatego nie od razu się zorientowałam.

– Nie rozumiem – powtarza Myriam, całując łysą główkę Adama. – Pytałam kilkakrotnie, czy to ona. Powiedziałam jej nawet, że jej nie ukarzę. Przysięgła mi, że nie wie, skąd się wzięło to ugryzienie.

Louise wzdycha. Spuszcza głowę. Zdaje się wahać.

– Obiecałam, że nic nie powiem, a myśl o tym, że złamię obietnicę daną dziecku, bardzo mnie martwi.

Zdejmuje czarny sweterek, rozpina bluzkę i pokazuje swoje ramię. Myriam pochyla się i nie może powstrzymać okrzyku zaskoczenia i niesmaku. Wpatruje się w brązowy ślad na ramieniu Louise. Blizna jest stara, ale wyraźnie widać ślady ząbków, które wbiły się w ciało i przecięły je.

– Milla to pani zrobiła?

– Proszę posłuchać, obiecałam Mili, że nic nie powiem. Proszę, aby pani jej o tym nie wspominała. Gdyby uznała, że zawiodłam jej zaufanie, byłaby chyba jeszcze bardziej niespokojna, nie uważa pani?

– Aha.

– Jest trochę zazdrosna o brata, to całkiem normalne. Niech mi pani pozwoli się tym zająć, zgoda? Zobaczysz pani, że wszystko będzie dobrze.

– Tak. Może. Ale naprawdę tego nie rozumiem.

– Nie trzeba starać się wszystkiego zrozumieć. Dzieci są jak dorośli. Tu nie ma nic

do rozumienia.

Jakże Louise sposepniała, gdy Myriam oznajmiła jej, że jadą na tydzień w góry do rodziców Paula! Gdy Myriam sobie to przypomina, przechodzą ją dreszcze. W ponurym wzroku Louise widać było burzę. Tego wieczoru niania wyszła, nie żegnając się z dziećmi. Jak duch, potwornie dyskretna, trzasnęła drzwiami, a Mila z Adamem powiedzieli:

– Mamo, Louise zniknęła.

Gdy kilka dni później mieli wyjeżdżać, przyszła po nich Sylvie. To była niespodzianka, na którą Louise nie była przygotowana. Radosna, nieobliczalna babcia wkroczyła do mieszkania z krzykiem. Rzuciła torebkę na ziemię i runęła na łóżko razem z dziećmi, obiecując im tydzień rozrywek, zabaw i obżarstwa. Myriam śmiała się z wygłupów teściowej, gdy nagle odwróciła głowę. Z kuchni patrzyła na nich Louise. Niania była trupio blada, jej podkrążone oczy robiły wrażenie zapadniętych. Wydawało się, że coś mamrocze. Myriam podeszła do niej, ale Louise już przykucnęła, żeby zamknąć walizkę. Potem Myriam pomyślała sobie, że z pewnością jej się przywidziało.

Myriam usiłuje zachować rozsądek. Nie ma żadnych powodów, by czuć wyrzuty. Nie jest nic winna niani. A jednak, mimo że nie potrafi sobie tego wyjaśnić, ma wrażenie, że zabiera Louise swoje dzieci, że ją czegoś pozbawia. Że ją karze.

Może Louise poczuła się urażona, że dowiedziała się tak późno i nie mogła sobie zorganizować żadnych ferii. Albo jest po prostu niezadowolona, że dzieci spędzą czas z Sylvie, do której jest wrogo nastawiona. Gdy Myriam skarży się na teściową, niania zwykle się unosi. Staje po stronie Myriam z przesadną zapalczywością, oskarżając Sylvie o to, że jest szalona, histeryczna, ma zły wpływ na dzieci. Zachęca swoją pracodawczynię, aby się nie dawała, aby odsunęła babcie od biednych maluchów. W takich chwilach Myriam z jednej strony czuje, że ktoś ją wspiera, a z drugiej jest trochę skrepowana.

W samochodzie, gdy Paul ma ruszyć, zdejmuje zegarek, który nosi na lewym nadgarstku.

– Schowasz mi go do torebki? – pyta żonę.

Sprawił sobie ten zegarek przed dwoma miesiącami, gdy podpisał umowę ze słynnym piosenkarzem. To używany rolex za bardzo rozsądną cenę, załatwiony przez kolegę. Paul długo się wahał, zanim go kupił. Miał na niego wielką ochotę, uznawał, że jest dokładnie taki, jaki ma być, ale trochę wstydził się tego fetyszyzmu, tej zachcianki. Gdy po raz pierwszy go założył, wydał mu się jednocześnie wspaniały i olbrzymi. Uważał, że jest ciężki i rzucający się w oczy. Bez przerwy opuszczał rękaw marynarki, by go ukryć. Ale bardzo szybko przyzwyczaił się do ciężaru na lewej ręce. W sumie ten drogi gadżet, jedyny, jaki kiedykolwiek posiadał, był raczej dyskretny. A poza tym miał prawo zrobić sobie przyjemność. Nikomu go nie ukradł.

– Dlaczego zdejmujesz zegarek? – pyta go Myriam, która wie, jak bardzo jest do niego przywiązany. – Zepsuł się?

– Nie, działa bez zarzutu, ale znasz moją matkę. Nie zrozumiałyby, a ja nie mam ochoty spędzić wieczoru na kłótniach.

Wczesnym wieczorem docierają do lodowatego domu, w którym połowa pomieszczeń jest jeszcze w remoncie. Sufit w kuchni grozi zawaleniem, a w łazience wiszą gołe kable elektryczne. Myriam nie znosi tego miejsca. Boi się o dzieci. Chodzi za

nimi z paniką w oczach, wyciągając ręce, gotowa złapać je, gdyby się potknęły. Krąży czujnie po całym domu. Przerywa im zabawy. „Mila, chodź, włóż drugi sweter”. „Nie sądzicie, że Adam ma kłopoty z oddychaniem?”

Któregoś ranka budzi się przemarznięta, chucha na lodowate dłonie Adama. Niepokoi ją bladość Mili, toteż każe jej chodzić po domu w czapce. Sylvie woli się nie odzywać. Chciałaby zwrócić dzieciom wolność i fantazję, których je pozbawiono. Przy niej nie obowiązują żadne reguły. Nie obsypuje ich czczymi prezentami, jak rodzice, którzy próbują wynagrodzić dzieciom swoją nieobecność. Nie zwraca uwagi na to, co mówi, i bez przerwy naraża się na reprimendy ze strony Paula i Myriam.

Żeby zdenerwować synową, nazywa wnuki „ptaszkami, które wypadły z gniazda”. Lubi użalać się nad nimi, bo mieszkają w mieście, gdzie panuje brak kultury i zanieczyszczenie. Chciałaby poszerzyć horyzonty dzieci skazanych na los ludzi przeciętnych, jednocześnie służalczych i autorytarnych. Na los tchórzy.

Sylvie stara się opanować. Powstrzymuje się, jak może, by nie podejmować tematu wychowania dzieci. Przed kilkoma miesiącami ostro się ścięły z Myriam. Była to jedna z tych kłótni, których nie zapomina się wraz z upływem czasu, a słowa rzucone wtedy powracają echem za każdym razem, gdy się widzą, mimo że było to dość dawno. Wszyscy trochę wypili. W sumie o wiele za dużo. Myriam, w sentymentalnym nastroju, szukała u Sylvie współczucia. Skarżyła się, że rzadko widuje dzieci, że cierpi z powodu życia w zawrotnym tempie, gdzie nie ma nic za darmo. Ale Sylvie jej nie pocieszyła. Nie położyła dłoni na ramieniu Myriam. Wręcz przeciwnie, przypuściła na synową regularny szturm. Najwyraźniej broń miała przyszykowaną już od dawna, gotową do użycia przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Zarzuciła jej, że za dużo czasu poświęca na pracę, mimo że sama Sylvie pracowała przez całe dzieciństwo Paula i zawsze chwaliła się swoją niezależnością. Powiedziała jej, że jest nieodpowiedzialna, że jest egoistką. Wyliczyła na palcach wyjazdy służbowe, z których Myriam nie zrezygnowała, chociaż Adam był chory, a Paul kończył nagrywać album. To jej wina, mówiła, że dzieci są niezdolne, apodyktyczne, kapryśne. Jej i tej Louise, beznadziejnej niani, ersatzu matki, na którą Myriam całkowicie się zdaje, żeby jej zrobić przyjemność, z tchórzostwa. Myriam się rozplakała. Zdumiony Paul się nie odzywał, a Sylvie wznosiła ręce do nieba, powtarzając: „A teraz jeszcze płacze! Spójrzcie na nią. Płacze i powinniśmy się nad nią litować, bo nie jest w stanie znieść prawdy”.

Ilekcóż Myriam widzi Sylvie, przytłacza ją wspomnienie tamtego wieczoru. Miała wtedy wrażenie, że została osaczona, rzucona na ziemię i zadźgana nożem. Leżała z wnętrznościami na wierzchu przed swoim mężem. Nie miała siły się bronić przeciwko oskarżeniom, z których część była prawdziwa, o czym wiedziała, ale uznawała, że taki już jej los, jak i wielu innych kobiet. Sylvie w żadnym momencie nie okazała jej wyrozumiałości czy czułości. Nie udzieliła ani jednej rady jak matka matce czy kobieta kobiecie.

Przy śniadaniu Myriam nie spuszcza wzroku z telefonu. Rozpaczliwie próbuje ściągnąć maile, ale sieć działa zbyt wolno, dlatego Myriam jest tak wściekła, że ma ochotę rzucić telefonem o ścianę. W histerii grozi Paulowi, że wróci do Paryża. Sylvie unosi brwi wyraźnie poirytowana. Marzyła o innej kobiecie dla swojego syna, łagodniejszej, bardziej

wysportowanej, pełnej fantazji. O dziewczynie, która kochałaby przyrodę, wycieczki górskie i nie skarżyłaby się na niewygodę w tym uroczym domku.

Przez długi czas Sylvie zanudzała ludzi, opowiadając bez przerwy te same historie ze swojej młodości, historie o dawnej walce, o towarzyszach rewolucji. Z wiekiem nauczyła się panować nad sobą. Przede wszystkim zrozumiała, że inni mają gdzieś jej mętne teorie na temat świata sprzedawczyków, skończonych idiotów żywiących się ekranami i mięsem z rzeźni. Ona w ich wieku marzyła tylko o tym, by zrobić rewolucję.

– Byliśmy mimo wszystko trochę naiwni – mówi jej mąż Dominique, który martwi się, że jest smutna.

– Może naiwni, ale nie tacy tępi.

Wie, że mąż nie rozumie jej ideałów, z których wszyscy się śmieją. Grzecznie słucha opowieści o jej rozczarowaniach i lękach. Sylvie załamuje ręce, widząc, kim stał się jej syn – „Miał w sobie tyle wolności, gdy był małym chłopcem, pamiętasz?” – a teraz jest człowiekiem żyjącym pod pantoflem żony, niewolnikiem jej żądzy pieniądza i jej próżności. Długo wierzyła w rewolucję, której dokonają przedstawiciele obu płci i w jej wyniku narodzi się świat inny niż ten, w którym dorastają jej wnuki. Świat, w którym ludzie będą mieli czas, by żyć.

– Kochanie, jesteś naiwna. Kobiety – mówi Dominique – są takimi samymi kapitalistami jak inni.

Myriam chodzi tam i z powrotem po kuchni, nie odrywając się od telefonu. Żeby rozluźnić atmosferę, Dominique proponuje spacer. Pogodniejsza Myriam okrywa dzieci trzema warstwami swetrów, szalików i rękawiczek. Gdy tylko wychodzą z domu i stają na śniegu, maluchy zaczynają biegać zachwycone, Sylvie przynosi stare sanki, które należały do Paula i jego brata Patricka, gdy byli dziećmi. Myriam, starając się zachować spokój, patrzy z zapartym tchem, jak maluchy zjeżdżają po zboczach. „Skręcają sobie kark – myśli i chce jej się płakać. – Louise by mnie zrozumiała”, powtarza sobie cały czas.

Paul wpada w entuzjazm, zachęca Milę, która macha do niego, wołając:

– Patrz, tato, popatrz, jak umiem zjeżdżać na sankach!

Jedzą obiad w uroczej gospodzie, w której trzaska ogień w kominku. Siadają z boku przy oknie, promienie złotego słońca liżą różowe policzki dzieci. Mila jest rozgadana i dorośli śmieją się z wygłupów dziewczynki. Adam wyjątkowo je z apetytem.

Tego wieczoru Myriam i Paul odprowadzają do pokoju padające ze zmęczenia dzieci. Mila i Adam są spokojni, zmordowani, pełni nowych wrażeń i radości. Rodzice zostają z nimi dłuższą chwilę. Paul usiadł na podłodze, a Myriam na brzegu łóżka córki. Delikatnie poprawia kołdry, głaszcze dzieci po głowie. Po raz pierwszy od dawna rodzice intonują razem kołysankę, której słów nauczyli się na pamięć po przyjeździe na świat Mili i mieli zwyczaj śpiewać ją w duecie, gdy była niemowlęciem. Dzieciom opadają powieki, lecz oni śpiewają dalej, bo chcą towarzyszyć im w snach. Bo nie chcą ich opuścić.

Paul nie ma odwagi wyznać tego żonie, ale tej nocy czuje ulgę. Odkąd tu przyjechał, z jego piersi zniknął jakiś ciężar. W półśnie, zdrętwiały z zimna, myśli o powrocie do Paryża. Wyobraża sobie swoje mieszkanie jako akwarium zarośnięte gnijącymi algami, stęchły dół, w którym zwierzęta z wyliniałą sierścią kręcą się w kółko, rycząc.

Po powrocie prędko zapomina o czarnych myślach. Louise ustawiła w salonie

bukiet dali. Kolacja jest gotowa, pościel pachnie proszkiem do prania. Po tygodniu spędzonym w lodowatych łóżkach i jedzeniu przy kuchennym stole posiłków przygotowanych naprędce z radością wracają do komfortu domowego. „Nie moglibyśmy obejść się bez niej”, myślą. Reagują jak rozpieszczone dzieci, jak koty domowe.



Kilka godzin po wyjeździe Paula i Myriam Louise wraca i znowu idzie w górę rue d'Hauteville. Wchodzi do mieszkania państwa Massé, otwiera zamknięte przez Myriam okiennice. Zmienia całą pościel, sprząta szafki i wyciera półki. Trzepie stary berberyjski dywan, którego Myriam nie chce się pozbyć, odkurza.

Skończywszy, siada na kanapie i drzemie. Przez tydzień nie wychodzi z domu, całymi dniami przesiaduje w salonie przy włączonym telewizorze. Nigdy nie kładzie się na łóżku Paula i Myriam. Żyje na kanapie. Żeby nie wydawać pieniędzy, je to, co znajdzie w lodówce, odrobinę też napoczyna zapasy ze spiżarni, pewnie Myriam nie ma pojęcia, ile tego jest.

Po wiadomościach idą programy o gotowaniu, turnieje, reality show, jeden talk-show, który ją rozśmiesza. Zasypia przy audycji o śledztwach kryminalnych. Pewnego wieczoru śledzi sprawę mężczyzny, którego ciało znaleziono w domu na skraju małego miasteczka w górach. Okiennice były zamknięte od miesięcy, listy wysypywały się ze skrzynki, ale nikt nie zadał sobie pytania, co się stało z właścicielem domu. Dopiero przy okazji ewakuacji całej dzielnicy strażacy w końcu otwarli drzwi i znaleźli ciało. Zwłoki były niemal zmumifikowane z powodu zimna panującego w pomieszczeniu i braku przewiewu. Głos w tle kilkakrotnie podkreślał fakt, że datę zgonu ustalono wyłącznie na podstawie znalezionych w lodówce jogurtów, których termin przydatności do spożycia upłynął kilka miesięcy wcześniej.

Pewnego popołudnia Louise raptownie się zrywa. Zapadła w ciężki sen, z którego człowiek budzi się smutny, dezorientowany, z kulą w żołądku. W sen tak głęboki, tak ponury, że widział w nim własną śmierć, jest zlany lodowatym potem, paradoksalnie wyczerpany. Louise otrząsa się, siada, bije się po twarzy. Tak bardzo boli ją głowa, że z trudem otwiera oczy. Można niemal usłyszeć, jak wali jej serce. Szuka butów. Ześlizguje się na parkiet, płacze z wściekłości. Spóźni się. Dzieci będą na nią czekać, zadzwonią z przedszkola, powiedzą Myriam, że jej nie ma. Jak mogła zasnąć? Jak mogła być taka nieroztropna? Musi wyjść, biec, ale nie może znaleźć kluczy do mieszkania. Szuka ich wszędzie, w końcu znajduje je na kominku. Już jest na schodach, zatraskuje się za nią brama wejściowa. Na ulicy ma wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, pędzi przed siebie zdyszana, jak szalona. Kładzie rękę na brzuchu, strasznie kłuje ją pod żebrzem, ale nie zwalnia.

Przy pasach nie ma nikogo. Zwykle stoi tam ktoś, kto pomaga przejść na drugą stronę, ktoś w kamizelce odblaskowej z niedużą tabliczką w ręce. Albo ten szczerbaty młody mężczyzna, który jak Louise podejrzewa, wyszedł właśnie z więzienia, albo ta wysoka czarnoskóra kobieta, która zna imiona dzieci. Pod przedszkolem również nie ma nikogo. Louise jest sama, jak idiotka. Czuje w ustach kwaśny smak, który szczypie ją w język, jest jej niedobrze. Dzieci nie ma. Idzie teraz ze spuszczoną głową, tonie we łzach. Dzieci mają ferie. Jest sama. Zapomniała. W panice uderza się w czoło.

Wafa dzwoni do niej kilka razy dziennie, „tylko tak, żeby pogadać”. Któregoś wieczoru proponuje, że wpadnie do Louise. Jej pracodawcy także wyjechali na ferie i po raz pierwszy może robić, co jej się podoba. Louise zastanawia się, co Wafa w niej widzi. Trudno jej uwierzyć, że ktoś może szukać z takim zapałem jej towarzystwa. Ale jeszcze prześladowuje ją koszmar z poprzedniego dnia, więc się zgadza.

I umawia się z koleżanką przed kamienicą państwa Massé. W sieni Wafa mówi głośno o niespodziance, która kryje się tu, w dużej plecionej plastikowej torbie. Louise daje jej znak, żeby była cicho. Boi się, że ktoś je usłyszy. Uroczyście pokonuje piętra i otwiera drzwi do mieszkania. Salon wydaje jej się potwornie smutny, przyciska do oczu dłoń. Ma ochotę zawrócić, wypchnąć Wafę na schody, znowu usiąść przed telewizorem, który wypluwa uspokajającą papkę obrazów. Ale Wafa już położyła plastikową torbę na kuchennym stole i wyciąga z niej torebki z przyprawami, kurczaka i jedno z tych szklanych pudełek, w których trzyma swoje ciastka z miodem.

– Ugotuję ci coś, dobrze?

Po raz pierwszy w życiu Louise siada na kanapie i patrzy, jak ktoś dla niej gotuje. Nie pamięta, by nawet w dzieciństwie ktoś przygotowywał jedzenie tylko dla niej, tylko żeby jej zrobić przyjemność. Gdy była mała, zjadała resztki po innych. Rano podawano jej letnią zupę, odgrzewaną w kolejne dni aż do ostatniej kropli. Musiała zjeść ją do końca mimo tłuszczu zastygającego na brzegach talerza, mimo smaku skwaśniałych pomidorów, zepsutych kości.

Wafa podaje jej wódkę, do której dolewa zmrożony sok jabłkowy.

– Lubię alkohol, gdy jest słodki – mówi, stukając się szklanką z Louise.

Wafa nie usiadła, podnosi bibeloty, ogląda półki biblioteczeki. Jedno zdjęcie budzi jej zainteresowanie.

– To ty? Ładnie ci w tej pomarańczowej sukience.

Louise z rozpuszczonymi włosami uśmiecha się na zdjęciu. Siedzi na murku i obejmuje ramionami siedzące po obu stronach dzieci. Myriam nalegała, żeby ustawić to zdjęcie na jednej z półek w salonie. „Należy pani do rodziny”, powiedziała niani.

Louise świetnie pamięta moment, w którym Paul zrobił to zdjęcie. Myriam weszła do sklepu z ceramiką i nie mogła się zdecydować. Louise pilnowała dzieci w wąskiej uliczce handlowej. Mila stanęła na murku. Próbowwała złapać szarego kota. W tym właśnie momencie Paul powiedział: „Louise, dzieci, spójrzcie na mnie. Jest bardzo piękne światło”. Mila usiadła obok Louise i Paul krzyknął: „Teraz się uśmiechnijcie!”.

– W tym roku – opowiada Louise – znowu pojedziemy do Grecji. Tam, na Sifnos – dodaje, pokazując zdjęcie końcem polakierowanego paznokcia. Jeszcze o tym nie rozmawiali, ale Louise jest pewna, że znowu pojedą na swoją wyspę, będą pływać w przejrzystej wodzie i jeść w porcie kolacje przy świecach. – Myriam robi listy – wyjaśnia Wafie, która siedzi na podłodze u stóp przyjaciółki.

Listy, które poniewierają się w salonie, a nawet w pościeli, i Myriam napisała na nich, że niedługo znowu wyjadą. Będą razem spacerowali po zatoczkach. Będą łapali kraby, jeżowce i strzykwy, a Louise będzie patrzyła, jak kurczą się w wiaderku. Będzie pływać coraz dalej, w tym roku dołączy do niej Adam.

A potem nadejdzie koniec pobytu. W przeddzień wyjazdu pójda pewnie do tej restauracji, którą Myriam tak lubi – jej właścicielka kazała dzieciom wybierać ryby, gdy jeszcze żywe leżały na ladzie. Tam wypiją trochę wina i Louise oznajmi im, że podjęła decyzję, iż nie wraca. „Nie wsiądę jutro do samolotu. Zamieszkać tutaj”. Oczywiście będą zaskoczeni. Nie potraktują jej poważnie. Zaczną się śmiać, bo od alkoholu będzie im szumiało w głowie, albo poczują się skrepowani. A potem, widząc determinację niani,

zaniepokoją się naprawdę. Będą próbowali przemówić jej do rozsądku. „Niech się pani zastanowi, Louise, to nie ma sensu. Nie może pani tutaj zostać. Z czego pani będzie żyć?” I wtedy Louise się roześmieje.

– Oczywiście myślałam o zimie. – Wtedy pewnie wyspa zmienia swoje oblicze. Ta sucha skała, kępy lebiodki i ostów muszą złowrogo wyglądać w listopadowym świetle. Pewnie tam wysoko jest ciemno, gdy spadają pierwsze ulewy. Ale nie ustępuje, nikt nie skłoni jej do powrotu. Może przeniesie się na inną wyspę, nie wróci jednak do przeszłości. – Albo nie powiem nic. Zniknę nagle, ot tak – mówi, strzelając palcami.

Wafa słucha, jak Louise opowiada o swoich planach. Bez trudu wyobraża sobie niebieski horyzont, brukowane uliczki, poranne kąpiele. Straszliwie za tym tęskni. Opowieść Louise budzi w niej wspomnienia, szczypiący zapach Atlantyku wieczorem nad urwiskiem, wschody słońca, które cała rodzina oglądała podczas ramadanu. Louise nagle zaczyna się śmiać i przerywa marzenia, w których pograżyła się Wafa. Śmieje się jak nieśmiała dziewczynka, zasłaniając zęby palcami, i wyciąga rękę do przyjaciółki, która siada koło niej na kanapie. Wznoszą toast, stukając się szklankami. Przypominają teraz młode dziewczyny, koleżanki szkolne, które jakiś wspólny żart czy wyznany sekret uczynił współniczkami. Dwójkę dzieci zagubionych w scenografii dla dorosłych.

Wafa ma odruchy matki lub siostry. Przynosi jej szklankę wody, robi kawę, namawia do jedzenia. Louise prostuje nogi i kładzie je skrzyżowane na stole. Wafa patrzy na brudne podeszwy stóp Louise leżące koło szklanki i myśli sobie, że przyjaciółka musi być pijana, skoro zachowuje się w ten sposób. Zawsze podziwiała maniery Louise. Jej wyważone grzeczne gesty, dzięki którym mogłaby uchodzić za osobę z wyższych sfer. Wafa opiera nagie stopy na brzegu stołu. I zadziornie pyta:

– Może poznasz kogoś na tej swojej wyspie? Jakiegoś pięknego Greka, który się w tobie zakocha.

– Och, nie – odpowiada Louise – pojedę tam właśnie po to, żeby się już nikim nie zajmować. Żeby spać, kiedy będę miała ochotę, jeść to, co zechcę.

Na początku planowali, że nie będą nic urządzać z okazji ślubu Wafy. Pójdą tylko do merostwa, podpiszą dokumenty, a Wafa będzie co miesiąc przelewać Jusufowi tyle, ile się należy, aż dostanie francuskie papiery. Ale przyszły małżonek w końcu zmienił zdanie. Przekonał swoją matkę, która tylko na to czekała, że przyzwoitość wymaga, by zaprosić paru przyjaciół. „Mimo wszystko to mój ślub. A poza tym nigdy nic nie wiadomo, może to uspokoi służby imigracyjne”.

Umówili się w piątek rano pod merostwem w Noisy-le-Sec. Louise, która po raz pierwszy ma być świadkiem, zjawia się w niebieskim kołnierzyku uczennicy i kolczykach. Składa podpis u dołu kartki, którą podaje jej mer, i ślub wygląda niemal na prawdziwy. Wiwaty, okrzyki: „Niech żyją państwo młodzi!” i oklaski wydają się wręcz szczerze.

Mała grupka zmierza do restauracji Gazela z Agadiru, którą prowadzi przyjaciel Wafy i w której zdarzało się jej pracować w charakterze kelnerki. Louise obserwuje ludzi, którzy stoją, gestykują, klepią się energicznie po ramieniu. Przed restauracją bracia Jusufa zaparkowali czarną limuzynę, do której przyczepili dziesiątki złotych plastikowych kokardek.

Właściciel restauracji włączył muzykę. Nie przejmuje się sąsiadami, wprost przeciwnie, uważa, że w ten sposób zrobi sobie reklamę, że ludzie idący ulicą spojrzą przez szybę na nakryte stoły i będą zazdrościć wesołym biesiadnikom. Louise obserwuje kobiety, widzi przede wszystkim ich szerokie twarze, ciężkie ręce, obfite biodra podkreślone zbyt obcisłymi paskami. Mówią głośno, śmieją się, nawołują się z jednego końca sali na drugi. Otaczają Wafę, którą usadzono przy głównym stole i która, jak domyśla się Louise, nie ma prawa się stamtąd ruszyć.

Louise przydzielono miejsce w głębi sali, daleko od okna wychodzącego na ulicę, obok mężczyzny, którego Wafa przedstawiła jej tamtego ranka. „To Hervé, opowiadałam ci o nim. Wyremontował mi służbówkę. Pracuje niedaleko naszej dzielnicy”. Wafa specjalnie posadziła ją przy nim. Bo Louise zasługuje na tego rodzaju mężczyznę. To taki typ, którego nikt nie chce, ale Louise go weźmie, tak jak bierze stare ubrania, przeczytane pisma z brakującymi kartkami, a nawet gofry napoczęte przez dzieci.

Hervé jej się nie podoba. Drażnią ją wymowne spojrzenia Wafy. Nienawidzi uczucia, że ktoś ją szpieguje, zwabia w pułapkę. A poza tym ten człowiek jest taki banalny. Niewiele w nim może się podobać. Po pierwsze jest tylko ciut wyższy od Louise. Ma umięśnione, ale krótkie nogi i wąskie biodra. Prawie nie ma szyi. Gdy mówi, chowa nierzad głowę w ramionach jak nieśmiały żółw. Louise nie spuszcza wzroku z jego rąk leżących na stole, z rąk robotnika, z rąk biedaka, palacza. Zauważyła, że Hervé ma braki w uzębieniu. Nie jest elegancki. Pachnie ogórkami i winem. Od razu pomyślała, że wstydziłaby się go przedstawić Myriam i Paulowi. Byliby rozczarowani. Jest pewna, że pomyśleliby, że ten mężczyzna nie jest jej wart.

Hervé wprost przeciwnie, przygląda się Louise z apetytem starca patrzącego na młodą dziewczynę, która okazała mu nikłe zainteresowanie. Uważa, że jest taka elegancka, taka delikatna. Patrzy na jej cienką szyję, na dyskretne kolczyki. Obserwuje ręce, które położyła na kolanach i teraz wyłamuje, na małe białe rączki z różowymi paznokciami, na dłonie, które wyglądają tak, jakby nie cierpiały, nie harowały. Louise

przypomina mu porcelanowe laleczki siedzące na półkach w mieszkaniach staruszek, którym zdarzało się mu pomagać albo remontować im mieszkania. Tak jak te zabawki Louise ma niemal nieruchomą twarz, czasami zastyga w czarującej pozie. W taki sposób patrzy pustym wzrokiem, że Hervé ma ochotę przywołać ją do rzeczywistości.

Opowiada jej o swojej pracy. Jest kierowcą i dostawcą, ale nie na pełen etat. Jest też złotą rączką, pomaga w przeprowadzkach. Trzy razy w tygodniu pilnuje parkingu w banku przy boulevard Haussmann.

– Dzięki temu mam czas na czytanie – mówi – głównie kryminałów, ale nie tylko. Louise nie wie, co odpowiedzieć, gdy Hervé interesuje się, co ona czyta.

– Może w takim razie słuchasz muzyki? Lubisz muzykę?

On uwielbia muzykę, fioletowymi krótkimi palcami wykonuje taki gest, jakby szarpał struny gitary. Mówi o dawnych czasach, o przeszłości, kiedy to słuchało się muzyki całą paczką, kiedy piosenkarze byli jego idolami. Miał długie włosy, uwielbiał Jimiego Hendrixa.

– Pokażę ci zdjęcie – mówi.

Louise zdaje sobie sprawę, że nigdy nie słuchała muzyki. Nigdy nie miała do niej zamiłowania. Zna tylko wyliczanki, piosenki o ubogich rymach przekazywane z pokolenia na pokolenie. Któregoś wieczoru Myriam zastała ją, gdy podśpiewywała jakąś piosenkę z dziećmi. Powiedziała Louise, że ma bardzo piękny głos. „Szkoda, mogłaby pani śpiewać”.

Louise nie zauważyła, że większość zaproszonych nie pije alkoholu. Na środku każdego stołu stoi butelka napoju gazowanego i wielka karafka z wodą. Hervé ukrył butelkę wina na podłodze, po swojej prawej stronie, i dolewa Louise, gdy tylko ma pusty kieliszek. Pije wolno. W końcu przyzwyczała się do ogłuszającej muzyki, do wrzasków zebranych, do niezrozumiałych przemówień młodych chłopców, którzy przyklejają wargi do mikrofonu. Uśmiecha się nawet, obserwując Wafę, i zapomina, że to wszystko jest tylko maskaradą, oszustwem, mistyfikacją.

Pije i trudy życia, nieśmiałość, która nie pozwala jej oddychać, całe to nieszczęście tonie w kieliszkach, gdy popija wino koniuszkami warg. Banalność restauracji i Hervégo, wszystko to przybiera nowy kształt. Hervé ma łagodny głos i umie milczeć. Patrzy na nią i uśmiecha się, wbijając oczy w stół. Kiedy nie ma nic do powiedzenia, nie mówi nic. Jego pozbawione rzęs oczka, mocno przeredzone włosy, fioletowa skóra i maniery nie drażnią już tak bardzo Louise.

Zgadza się, by Hervé ją odprowadził, idą więc razem aż do metra. Żegna się z nim i schodzi w dół, nie odwracając się. W drodze powrotnej Hervé myśli o niej. Louise chodzi za nim jak natrętna melodia angielskiej piosenki, a on nic nie rozumie i mimo upływu lat dalej kaleczy swoje ulubione refreny.

Jak każdego ranka o siódmej trzydzieści Louise otwiera drzwi do mieszkania. Paul i Myriam stoją w salonie. Wyglądają, jakby na nią czekali. Twarz Myriam przywodzi na myśl wygłodniałe zwierzę, które przez całą noc miało się w klatce. Paul włącza telewizor i wyjątkowo pozwala dzieciom obejrzeć kreskówkę, zanim pójdą do przedszkola.

– Siedźcie tu i nie ruszajcie się – rozkazuje dzieciom, które z otwartymi ustami wpatrują się jak zahipnotyzowane w grupę rozhisteryzowanych króliczków.

Dorośli zamykają się w kuchni. Paul prosi Louise, by usiadła.

– Zrobić państwu kawy? – proponuje niania.

– Nie, dziękujemy, tak jest dobrze – odpowiada sucho Paul. Za nim stoi Myriam ze spuszczonego wzrokiem. Podniosła rękę do ust. – Louise, dostaliśmy list, który wprowadził nas w zakłopotanie. Muszę przyznać, że jesteśmy bardzo zdenerwowani tym, czego się dowiedzieliśmy. Pewnych rzeczy nie można tolerować.

Powiedział to jednym tchem, ze wzrokiem wbitym w kopertę, którą trzyma w dłoniach.

Louise wstrzymuje oddech. Nie czuje już nawet języka i musi zagryźć wargi, żeby się nie rozpłakać. Chciałaby zrobić tak jak dzieci, zatkać sobie uszy, krzyczeć, rzucić się na podłogę, wszystko, byle tylko ta rozmowa się nie odbyła. Usiłuje rozpoznać list, który Paul trzyma w palcach, ale nie widzi nic, ani adresu, ani treści.

Nagle jest przekonana, że to list od pani Grinberg. Stara jędza pewnie szpiegowała ją pod nieobecność Paula i Myriam, a teraz bawi się w donosicielkę. Obrzuciła Louise oszczerstwami, żeby przerwać swoją samotność. Z pewnością poinformowała ich, że niania spędziła tu ferie. Że odwiedziła ją Wafa. A może nawet nie podpisała tego listu, żeby był jeszcze bardziej tajemniczy i pełen jadu. A poza tym pewnie coś nazmyślała, przelała na papier fantazje staruszki, swoje starcze lubieżne wymysły. Louise tego nie zniesie. Nie zniesie wzroku Myriam, pełnego niesmaku wzroku swojej szefowej, która pomyśli, że spała w ich łóżku, że sobie z nich zakpiła.

Louise zeszywniała. Zaciska palce z nienawiści i chowa dłonie pod kolanami, żeby ukryć ich drżenie. Jej twarz i szyja pobladły. Przesuwa z wściekłością ręką po włosach. Paul, który czekał na reakcję, mówi dalej:

– To list z urzędu skarbowego, Louise. Żądają, byśmy potrącili pani z pensji kwotę, którą jest im pani winna, podobno od miesięcy. Nigdy nie odpowiedziała pani na żadne wezwanie do zapłaty! – Paul przysiągłby, że dostrzegł ulgę w oczach niani. – Zdaję sobie sprawę, że to dla pani upokarzające, ale proszę sobie wyobrazić, że nam też nie jest miło. – Podaje list Louise, która siedzi nieruchomo. – Niech pani zobaczy.

Louise bierze kopertę i wilgotnymi drżącymi rękami wyjmuje z niej kartkę. Wzrok jej się mąci, udaje, że czyta, lecz nic z tego nie rozumie.

– Jeśli skarbówka posunęła się tak daleko, to znaczy, że nie ma innego wyjścia, rozumie pani? Nie może pani tego tak zaniedbywać – tłumaczy Myriam.

– Przykro mi – mówi Louise. – Przykro mi, załatwię to, obiecuję pani.

– Mogę pani pomóc w razie potrzeby. Proszę przynieść wszystkie dokumenty, żebyśmy mogły znaleźć jakieś rozwiązanie.

Louise pociera policzek otwartą dłonią, błędząc wzrokiem. Wie, że powinna coś

powiedzieć. Chciałaby objąć Myriam, przycisnąć do siebie, poprosić o pomoc. Chciałaby powiedzieć jej, że jest samotna, taka samotna, i że tyle rzeczy się wydarzyło, tyle rzeczy, o których nie mogła nikomu opowiedzieć, ale jej by opowiedziała. Jest zmieszana, roztrzęsiona. Nie wie, jak się zachować.

Robi dobrą minę do złej gry. Twierdzi, że to nieporozumienie. Wspomina coś o zmianie adresu. Zwała winę na Jacques'a, swojego męża, który był nieostrożny i wiele rzeczy przed nią zataił. Zaprzecza, wbrew faktom, wbrew temu, że sprawa jest oczywista. Jej wywód jest tak chaotyczny i tak żałosny, że Paul wywraca oczami.

– Dobrze, dobrze. To pani sprawy, więc niech je pani załatwi. Nigdy więcej nie chcę już dostawać tego rodzaju listów.

Listy ścigały ją z domu Jacques'a do kawalerki, a wreszcie aż tutaj, do jej królestwa, do domu, który funkcjonuje tylko dzięki niej. Przysłali tu niezapłacone rachunki za leczenie Jacques'a, wezwania do zapłaty podatku od nieruchomości z odsetkami karnymi i innych zaległości, Louise nie wie nawet za co. Naiwnie myślała, że dadzą sobie spokój, jeśli nie będzie się odzywać. Jeśli będzie udawać martwą, bo przecież ona jest nikim, nic nie ma. Jakie to może mieć dla nich znaczenie? Po co mieliby ją prześladować?

Wie, gdzie są te listy. Stos kopert, których nie wyrzuciła, leży pod licznikiem elektrycznym. Chciałaby je spalić. Zresztą nic nie rozumie z tych niekończących się zdań, z tabel, które zajmują całe strony, z kolumn liczb, których wysokość stale rośnie. Jak wtedy gdy odrabiała lekcje ze Stéphanie. Gdy robiła jej dyktanda. Gdy próbowała pomagać jej w rozwiązywaniu zadań z matematyki. Córnka wyśmiewała się z niej: „Czy ty w ogóle masz o tym pojęcie? Jesteś beznadziejna”.

Tego wieczoru, gdy ubrała dzieci w piżamy, Louise zatrzymuje się dłużej w ich pokoju. Myriam czeka na nią w drzwiach wyprostowana.

– Może pani już iść. Zobaczymy się jutro.

Louise tak bardzo chciałaby zostać. Spać tutaj, w nogach łóżka Mili. Byłaby cichutko, nikomu by nie przeszkadzała. Louise nie chce wracać do swojej kawalerki. Co wieczór wychodzi trochę później i idzie ulicą ze spuszczonego wzrokiem, okutana szalikiem. Boi się, że spotka właściciela mieszkania, starego rudego faceta o oczach nabiegłych krwią. Skąpcu, który zaufał jej tylko dlatego, że „na wynajęcie białej mieszkania w tej dzielnicy właściwie nie ma co liczyć”. Pewnie dziś tego żałuje.

W kolejce zaciska zęby, żeby się nie rozpłakać. Lodowaty przenikliwy deszcz wsiąka jej w płaszcz i we włosy. Ciężkie krople spadają z bram, ześlizgują jej się po szyi, wywołują dreszcze. Gdy dochodzi do rogu pustej przecież ulicy, czuje, że ktoś ją obserwuje. Odwraca się, ale nie ma nikogo. Potem w mroku między dwoma samochodami dostrzega kucającego mężczyznę. Widzi jego nagie uda, wielkie dłonie leżące na kolanach. W jednej ręce trzyma gazetę. Patrzy na nią. Nie wygląda na kogoś, kto miałby wrogie zamiary czy czułby się skępowany. Louise się cofa, robi się jej niedobrze. Ma ochotę wrzeszczeć, wziąć kogoś na świadka. Mężczyzna sra na jej ulicy, pod jej nosem. Mężczyzna, który najwyraźniej już się tego nie wstydzi i pewnie jest przyzwyczajony do załatwiania się bez żadnego obciachu i godności.

Louise biegnie do bramy swojej kamienicy i roztrzęsiona wchodzi po schodach.

Wszędzie sprząta. Zmienia pościel. Chciałaby się umyć, długo stać pod strumieniem ciepłej wody, żeby się ogrzać, ale przed kilkoma dniami prysznic się zepsuł i nie da się z niego korzystać. Prawie się zawalił, gdy rozpadło się spróchniałe drewno pod brodzikiem. Odtąd myje się w umywalce, rękawicą kąpielową. Przed trzema dniami myła sobie głowę, siedząc na laminowanym krześle.

Leży w łóżku, ale nie może zasnąć. Nie przestaje myśleć o tym mężczyźnie w mroku. Nie może oprzeć się wrażeniu, że niedługo ją to czeka. Że znajdzie się na ulicy. Że będzie musiała opuścić nawet to ohydne mieszkanie i będzie srać na ulicy, jak zwierzę.



Następnego dnia rano Louise nie daje rady wstać. Przez całą noc miała gorączkę, tak wysoką, że aż szczykała zębami. Spuchło jej gardło, ma afty. Nie jest w stanie nawet przełknąć śliny. Już o wpół do ósmej telefon zaczyna dzwonić. Nie odbiera. A przecież widzi imię Myriam na wyświetlaczu. Otwiera oczy, wyciąga rękę w stronę aparatu i wyłącza go. Wtula twarz w poduszkę.

Telefon znowu dzwoni.

Tym razem Myriam zostawia wiadomość. „Dzień dobry, Louise, mam nadzieję, że u pani wszystko w porządku. Dochodzi już ósma. Miła rozchorowała się wczoraj wieczorem, ma gorączkę. Mam dziś ważną rozprawę, mówiłam pani, że występuję dzisiaj w sądzie. Mam nadzieję, że wszystko w porządku i że nic się nie stało. Proszę oddzwonić, jak tylko odsłucha pani tę wiadomość. Czekamy na panią”. Louise rzuca telefon w nogi łóżka i owija się kołdrą. Próbuje zapomnieć, że chce się jej pić i strasznie sikać. Nie chce się stąd ruszyć.

Przysunęła łóżko do ściany, żeby maksymalnie skorzystać z letniego kaloryfera. Gdy tak leży, niemal dotyka nosem szyby. Patrząc na nagie drzewa na ulicy, nie widzi żadnego wyjścia. Ma dziwną pewność, że nie warto się bić. Że może tylko dać się nieść, porwać, pograżyć, zachować bierność wobec okoliczności. Poprzedniego dnia zebrała koperty. Otworzyła je po kolei i potargała. Wrzuciła kawałki do zlewu, odkręciła kran. Strzępy papieru nasiąkły, zbiły się i utworzyły ohydny papkę. Patrzyła, jak papka rozpuszcza się we wrzącej wodzie. Telefon dzwoni raz za razem. Louise rzuciła komórkę pod poduszkę, ale przenikliwy dzwonek nie daje jej zasnąć.

W domu Myriam w panice przestępuje z nogi na nogę, jej toga wisi na fotelu w paski.

– Już więcej nie przyjdzie – mówi do Paula. – Nie po raz pierwszy jakaś niania znika z dnia na dzień. Często słyszałam takie historie. – Myriam próbuje jeszcze raz się dodzwonić, ale wobec milczenia Louise czuje się kompletnie bezradna. Ma pretensje do Paula. Oskarża go, że był zbyt surowy, że potraktował Louise tak, jakby była zwykłym pracownikiem. – Upokorzyliśmy ją – stwierdza.

Paul próbuje przemówić żonie do rozsądku. Może Louise ma jakiś problem, pewnie coś się stało. Nigdy nie ośmieliłaby się ich tak zostawić, bez słowa wyjaśnienia. Jest tak bardzo przywiązana do dzieci, że nie mogłaby odejść bez pożegnania.

– Zamiast wymyślać niestworzone rzeczy, lepiej poszukaj jej adresu. Sprawdź w umowie. Jeśli do godziny się nie odezwie, pojedę do niej.

Myriam przykucnęła i przekopuje szuflady, gdy dzwoni telefon. Louise przeprosza ledwie słyszalnym głosem. Jest taka chora, że nie była w stanie wstać z łóżka. Zasnęła dopiero nad ranem i nie słyszała telefonu. Powtarza co najmniej dziesięć razy: „Bardzo przepraszam”. Myriam jest zbита z tropu tym prostym wyjaśnieniem. Trochę jej wstyd, że sama nie wpadła na to, że może chodzić o banalny problem zdrowotny. Jakby Louise była niezawodna, jakby jej ciała nie imażo się zmęczenie ani choroba.

– Rozumiem – odpowiada Myriam. – Niech pani odpoczywa, jakoś sobie poradzimy.

Paul i Myriam dzwonią do znajomych, kolegów z pracy, do rodziny. Ktoś wreszcie daje im numer telefonu studentki, która może wybawić ich z kłopotu i na szczęście zgadza

się natychmiast przyjechać. Młoda dziewczyna, ładna dwudziestoletnia blondynka, nie budzi zaufania Myriam. Po wejściu do mieszkania wolno zdejmuje botki na obcasach. Myriam zauważa ohydny tatuaż na szyi. Dziewczyna potakuje, gdy Myriam wydaje jej instrukcje, ale nie robi wrażenia, by coś z nich rozumiała, jakby chciała się pozbyć nerwowej uciążliwej szefowej. Udaje koleżankę Mili, która drzemie na kanapie. Odgrywa niepokój matki, chociaż sama jest jeszcze dzieckiem.

Ale Myriam kompletnie załamuje się dopiero wieczorem, po powrocie do domu. W mieszkaniu panuje straszliwy bałagan. Po całym salonie poniewierają się zabawki. W zlewie leżą brudne naczynia. Purée z marchewki zaschło na stoliku. Dziewczyna wstaje z ulgą, jak więźniarka, którą wypuszcza się z ciasnej celi. Chowa do kieszeni banknoty i biegnie do drzwi z komórką w ręce. Później Myriam znajduje na balkonie około dziesięciu niedopałków skręcanych papierosów, a na niebieskiej komodzie w pokoju dziecięcym lód czekoladowy, który się rozpuścił i zniszczył farbę.

Przez trzy dni Louise ma koszmary. Nie zasypia, ale tkwi w dziwnym letargu, miesza jej się w głowie, czuje się coraz gorzej. W nocy przepełnia ją wewnętrzny krzyk, który rozrywa jej wnętrzności. W koszuli klejącej się do piersi, ze zgrzytającymi zębami drapie materac kanapy. Ma wrażenie, że ktoś przygniata jej twarz obcasem, że ma usta pełne ziemi. Rzuca się jak ryba wyjęta z wody. Jest zupełnie wycieńczona. Budzi się, by się czegoś napić i pójść do toalety, po czym wraca do swojej nory.

Budzi się wreszcie ze snu jak człowiek, który wypływa z głębiny na powierzchnię, gdy znalazł się za daleko od brzegu, gdy brakuje mu tlenu i woda jest już tylko czarną lepką mazią, a on się modli, żeby wystarczyło mu powietrza i sił, by wydostać się na powierzchnię i łapczywie nabrać powietrza do płuc.

W notesiku w kwiatki zanotowała nazwę, której użył lekarz ze szpitala Henri-Mondor, „melancholia urojeniowa”. Louise uznała, że ładnie to brzmi, i w jej smutek nagle wkradła się nuta poezji, ucieczki. Zapisała to swoim dziwnym pismem złożonym z koślawych grubych dużych liter. Słowa na kartkach notesika przypominają chwiejne budowle z drewnianych klocków, które Adam wznosi jedynie po to, by z przyjemnością patrzeć, jak się walą.

Po raz pierwszy myśli o starości. O ciele, które zaczyna szwankować, o ruchach, które sprawiają ból aż do kości. O rosnących kosztach leczenia. I czuje lęk przed ponurą starością na leżąco, w chorobie, w mieszkaniu z brudnymi szybami. Stało się to jej obsesją. Nienawidzi tego miejsca. Prześladowuje ją zapach pleśni, który wydobywa się z kabiny prysznicowej. Czuje go nawet w ustach. Wszystkie łączenia, wszystkie szczeliny pokrył zielonkawy mech i na próżno z wściekłością szoruje te miejsca, mech odrasta w nocy, jeszcze gęstszy niż przedtem.

Wzbiera w niej nienawiść. Nienawiść sprzeczna z jej służalczymi odruchami i dziecięcym optymizmem. Nienawiść, która wszystko maści. Louise pogrąża się w smutnym chaotycznym śnie. Dręczy ją myśl, że za dużo widziała, za dużo słyszała z prywatności innych, z prywatności, do której sama nigdy nie miała prawa. Nigdy nie miała własnego pokoju.

Po dwóch nocach pełnych lęku czuje się gotowa wrócić do pracy. Schudła, jej blada zapadnięta twarz dziewczynki wydłużyła się jakby pod wpływem ciosów. Czesze się, maluje. Uspokaja się, nakładając malwowy cień na powieki.

O wpół do ósmej otwiera drzwi do mieszkania przy rue d’Hauteville. Mila w niebieskiej piżamie biegnie do niani. Rzuca się jej w ramiona i mówi:

– Louise, to ty! Wróciłaś!

Adam wyrywa się z objęć matki. Usłyszał głos Louise, rozpoznał zapach talku, cichy odgłos kroków na parkiecie. Odpycha rączkami pierś matki, która uśmiechnięta powierza swoje dziecko czulej opiece Louise.

W lodówce Myriam są pojemniki. Małe pojemniki ułożone jeden na drugim. Są miseczki przykryte folią aluminiową. Na plastikowych półkach leżą plasterki cytryny, zeschnięty kawałek ogórka, ćwiartka cebuli, której zapach zalewa kuchnię, gdy tylko otworzy się drzwi do lodówki. Kawałeczek sera, który kompletnie stwardniał. Myriam znajduje w pojemnikach kilka groszków, które straciły już okrągły kształt i soczystą zieleń. Trzy makarony. Łyżeczkę bulionu. Postrzępiony kęs indyka, za mały nawet dla wróbelka, mimo to Louise zadała sobie trud, aby go schować.

Dla Paula i Myriam to temat do żartów. Ta mania Louise, opór przed wyrzucaniem jedzenia, na początku ich śmieszy. Niania wyskrobuje do czysta konserwy, każe dzieciom wylizywać opakowania po jogurtach. Jej pracodawcy uważają to za śmieszne i rozbijające.

Paul pokpiwa sobie, gdy Myriam w środku nocy wynosi worek z niedojedzonymi resztkami czy zabawką Mili, której nie chce im się naprawiać.

– Boisz się, że Louise cię skrzyczy, przyznaj się! – I śmiejąc się, goni ją na klatce schodowej.

Bawi ich, gdy Louise pilnie studiuje zostawione w skrzynce na listy reklamy pobliskich sklepów, które oni odruchowo wyrzucają. Niania zbiera bony zniżkowe, z dumą je pokazuje Myriam, która się wstydzi, że uważa to za idiotyczne. Zresztą Myriam daje Louise za wzór swojemu mężowi i dzieciom.

– Louise ma rację. Nie wolno nic marnować. Są dzieci, które nie mają co jeść.

Ale po kilku miesiącach ta mania staje się powodem napięć. Myriam zarzuca Louise, że ma obsesję. Skarży się na bezkompromisowość niani i jej paranoję.

– Jak chce, niech grzebie w śmieciach, nie muszę się przed nią tłumaczyć – zapewnia Paula, który jest przekonany, że trzeba się wyzwolić spod władzy Louise.

Myriam wykazuje się stanowczością. Zabrania Louise dawać dzieciom przeterminowane produkty.

– Tak, nawet o jeden dzień. To wszystko, nie ma dyskusji.

Niedługo po wyzdrowieniu Louise któregoś wieczoru Myriam późno wraca do domu. W mieszkaniu panuje ciemność, a Louise czeka na nią przy drzwiach w płaszczu, z torebką w ręce. Szybko mówi do widzenia i biegnie do windy. Myriam jest zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać albo się tym przejmować.

– Louise jest obrażona, i co z tego?

Mogłaby się rzucić na kanapę i zasnąć w ubraniu i w butach. Ale idzie do kuchni, żeby nalać sobie kieliszek wina. Ma ochotę usiąść na chwilę w salonie, napić się bardzo zimnego białego wina, odprężyć się, paląc papierosa. Gdyby się nie bała, że zbudzi dzieci, wzięłaby nawet kąpiel.

Wchodzi do kuchni i zapala światło. Całe pomieszczenie wygląda na jeszcze bardziej czyste niż zwykle. W powietrzu unosi się silny zapach mydła. Drzwi do lodówki zostały wyczyszczone. Nic nie leży na ladzie. Na okapie nie ma najmniejszych śladów tłuszczu, uchwyty szafek zostały wytarte gąbką. A blask szyby, przed którą stoi, jest porażający.

Myriam ma właśnie otworzyć lodówkę, gdy nagle go zauważa. Tutaj, na środku stolika, przy którym dzieci jedzą z nianią. Na talerzu leży szkielet kurczaka. Lśniący

szkielet, na którym nie pozostał nawet najmniejszy kawałek mięsa, jest całkiem goły. Jakby ogryzł go sęp lub uparty skrupulatny owad. W każdym razie jakieś złe zwierzę.

Wpatruje się w brązowy szkielet, w okrągły grzbiet, szpiczaste kości, w gładki, czysty kręgosłup. Udka wyrwano, ale zostały powykrzywiane skrzydełka z rozciągniętymi stawami, które mogą się zerwać. Błyszczące żółtawe chrząstki przypominają zaschniętą ropę. Przez odstępy między kosteczkami Myriam widzi pustą klatkę piersiową, czarną i bezkrwistą. Nie ma już mięsa, nie ma już organów, nie ma nic, co mogłoby gnić na szkielecie, a jednak Myriam wydaje się, że to padlina, wstrętna padlina, która gnije na jej oczach, tu, w jej kuchni.

Jest pewna, że rano wyrzuciła kurczaka. Mięso nie nadawało się już do jedzenia, nie chciała, by dzieci się pochorowały. Świetnie pamięta, jak potrząsała garnkiem nad workiem na śmieci, a ptak wypadł otoczony galaretowatym tłuszczem. Spadł z suchym trzaskiem na dno kosza i Myriam powiedziała: „Fuj”. Zemdlilo ją od tego zapachu wczesnym rankiem.

Podchodzi do ptaka, którego nie ma odwagi dotknąć. To nie może być pomyłka, przeoczenie ze strony Louise. A tym bardziej żart. Nie, szkielet pachnie migdałowym płynem do mycia naczyń. Louise porządnie go splukała, wyczyściła i położyła tu jak zemstę. Jak złowrogi totem.

Później Mila opowiedziała wszystko matce. Śmiała się i podskakiwała, wyjaśniając, jak Louise nauczyła ich jeść palcami. Stojąc z Adamem na krzesłach, obierali kość. Mięso było suche i Louise pozwoliła im popić jedzenie dużą ilością fanty, żeby się nie udławili. Bardzo uważała, by nie zniszczyć szkieletu, nie spuszczała kurczaka z oczu. Powiedziała im, że to taka zabawa i że dostaną nagrodę, jeśli będą ściśle przestrzegać reguł. I potem dostali wyjątkowo po dwa kwaskowe cukierki.

## *Hector Rouvier*

Minęło dziesięć lat, ale Hector Rouvier doskonale pamięta ręce Louise. Właśnie jej dłoni dotykał najczęściej. Pachniały zgniecionymi płatkami kwiatów, a paznokcie były zawsze polakierowane. Hector ścisnął je, tulił do siebie, czuł je na swoim karku, gdy oglądał film w telewizji. Ręce Louise zanurzały się w ciepłej wodzie i szorowały chude ciało Hectora. Sprawiały, że mydło pieniało się na głowie, ześlizgiwały się pod jego pachy, myły jego penisa, brzuch, pośladki.

Leżąc w łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę, podnosił górę od piżamy, pokazując Louise, że chce, by go pogłaskała. Końcami paznokci przejeżdżała po plecach chłopca, którego skóra wpadała w popłoch, drżała, a on zasypiał uspokojony i trochę zawstydzony, niejasno odgadując dziwne podniecenie, w które wprawiły go palce Louise.

W drodze do szkoły Hector bardzo mocno ścisnął ręce niani. Im był starszy, im bardziej jego dłonie rosły, tym bardziej bał się, że połamie kości Louise, jej herbatnikowo-porcelanowe kości. Palce niani trzaskały w dłoniach dziecka i Hector myślał nieraz, że to on bierze Louise za rękę, by przeprowadzić ją przez ulicę.

Louise nigdy nie była surowa, nie. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek się złościła. Jest pewien, że nigdy nie podniosła na niego ręki. Zachował w pamięci jedynie zamazane bezkształtne obrazy, mimo że spędził z nią tyle lat. Twarz Louise wydaje mu się odległa, nie jest pewien, czy poznałby ją dziś, gdyby spotkał ją przypadkowo na ulicy. Ale pamięta dotyk jej miękkiego delikatnego policzka, zapach pudru, który nakładała rano i wieczorem, beżowe rajstopy muskające jego twarz; pamięta dziwny sposób, w jaki go całowała, używając do tego nieraz zębów, gryząc go leciutko, jakby chciała okazać nagłą dzikość swojej miłości, swoje pragnienie, by posiadać go całego. To wszystko doskonale pamięta.

Nie zapomniał też jej talentów cukierniczych. Ciastek, które przynosiła do szkoły, i tego, jak cieszyła się z łakomstwa chłopca. Smaku jej sosu pomidorowego, sposobu przyprawiania steków, które podawała niemal surowe, zupy grzybowej – te wspomnienia często przywołuje. Mitologia dzieciństwa, świata sprzed mrożonek zjadanych przed ekranem komputera.

Pamięta także, a przynajmniej tak mu się wydaje, że miała do niego anielską cierpliwość. Z rodzicami rytuał kładzenia się spać często kończył się źle. Anne Rouvier, jego matka, traciła cierpliwość, gdy Hector płakał, błagał, by zostawiła otwarte drzwi, prosił, żeby opowiedziała mu jeszcze jedną bajkę, przyniosła szklankę wody, przysięgał, że widział potwora albo że dalej jest głodny.

– Ja też boję się zasypiać – wyznała mu Louise.

Z wyrozumiałością podchodziła do jego koszmarów, była w stanie godzinami głaskać go po głowie i swoimi długimi, pachnącymi różami palcami towarzyszyć mu w drodze do snu. Przekonała swoją pracodawczynię, by w dzieciennym pokoju zostawiała zapaloną lampkę. „Nie musi aż tak się bać”.

Tak, jej odejście było dla niego tragedią. Straszliwie za nią tęsknił i zniechęcił młodą dziewczynę, która ją zastąpiła, studentkę, która przychodziła po niego do szkoły, mówiła do niego po angielsku i jak mawiała jego matka, „stymulowała go intelektualnie”.

Miał pretensje do Louise, że go opuściła, że złamała swoje buńczuczne obietnice, że nie dotrzymała przysięgi o wiecznej miłości, chociaż się zarzekała, że liczy się tylko on i nikt nie będzie mógł go zastąpić. Któregoś dnia już jej nie było, a Hector nie miał odwagi pytać. Nie umiał oplakiwać tej kobiety, która go opuściła, bo mimo że miał dopiero osiem lat, wyczuwał, że ta miłość jest śmieszna, że naraziłby się na kpiny i że ci, którzy się nad nim użalali, trochę udawali.

Hector spuszcza głowę. Milknie. Matka siedzi na krześle obok i kładzie mu rękę na ramieniu. Mówi: „Dobrze, mój skarbie”. Ale Anne jest niespokojna. W obecności policjantów zachowuje się tak, jakby była winna. Zastanawia się, co mogłaby im wyznać, za jaki popełniony dawno temu błąd mogliby kazać jej zapłacić. Zawsze taka była, niewinna, ze skłonnością do paranoi. Nie była w stanie przejść przez odprawę celną, nie pocąc się. Kiedyś zdyszana, trzeźwa i ciężarna dmuchała balonik w przekonaniu, że zostanie zatrzymana.

Pani nadkomisarz, ładna kobieta, która związała w koński ogon gęste ciemne włosy, siada na biurku naprzeciwko. Zwraca się do Anne z pytaniem, jak nawiązała kontakt z Louise i z jakiego powodu zatrudniła ją w charakterze opiekunki do dzieci. Anne odpowiada spokojnie. Chce tylko zadowolić policjantkę, naprowadzić ją na jakiś trop, a przede wszystkim dowiedzieć się, o co Louise jest oskarżona.

Przyjaciółka poleciła jej Louise. Wyrażała się o niej w samych superlatywach, zresztą ona też zawsze była zadowolona z niani.

– Hector, jak sama pani widzi, był do niej bardzo przywiązany.

Pani nadkomisarz uśmiecha się do nastolatka. Wraca za biurko, otwiera dokumenty i pyta:

– Czy pamięta pani telefon od pani Massé? To było nieco ponad rok temu, w styczniu.

– Od pani Massé?

– Tak. Proszę sobie przypomnieć. Louise podała pani dane jako osoby, u której pracowała, i Myriam Massé chciała się dowiedzieć, co pani o niej myśli.

– To prawda, pamiętam. Powiedziałam jej, że Louise była wyjątkową nianią.

Od ponad dwóch godzin siedzą w tym zimnym pomieszczeniu, w którym nie ma na czym oka zawiesić. Pokój jest posprzątany. Nie poniewierają się tu żadne zdjęcia. Na ścianach nie ma plakatów ani listów gończych. Pani nadkomisarz przerywa czasem w środku zdania, przeprosza i wychodzi z pokoju. Anne i jej syn widzą przez przeszkłone drzwi, jak odbiera komórkę, szepcze coś na ucho koledze albo pije kawę. Nie mają ochoty ze sobą rozmawiać, choćby dla rozrywki. Siedząc obok siebie, unikają się, udają, że zapomnieli, iż nie są sami. Wzdychają tylko głośno, wstają, żeby obejść dookoła krzesło. Hector sprawdza komórkę. Anne trzyma w rękach czarną skórzaną torebkę. Nudzą się, ale są za bardzo grzeczni i za bardzo lękliwi, żeby okazać w obecności policjantki najmniejszą oznakę zniecierpliwienia. Wykończeni, ulegli, czekają, aż zostaną zwolnieni.

Pani drukuje dokumenty, które im podaje.

– Proszę podpisać w tym i w tym miejscu.

Anne pochyla się nad kartką i nie podnosząc wzroku, pyta bezbarwnym głosem:

– Co zrobiła Louise? Co się stało?

– Jest oskarżona o zamordowanie dwójki dzieci.

Pani nadkomisarz ma podkrążone oczy. Fioletowe spuchnięte wory pod oczami czynią jej spojrzenie bardziej wyrazistym i co dziwne, dodają jej urody.

Hector wychodzi na ulicę w czerwcowym upale. Dziewczyny są piękne, a on ma ochotę urosnąć, być wolny, być mężczyzną. Cięży mu te osiemnaście lat, chciałby zostawić je za sobą, tak jak zostawił ogłupioną, przemarzniętą matkę pod bramą komisariatu. Zdaje sobie sprawę, że przed chwilą w obecności policjantki poczuł najpierw nie zaskoczenie czy zdumienie, ale olbrzymią bolesną ulgę. Wręcz wielką radość. Jakby zawsze wiedział, że coś mu groziło, jakaś bezbarwna, diabelska niejasna groźba. Groźba, którą tylko on był w stanie dostrzec oczami i sercem dziecka. Los chciał, że nieszczęście dotknęło kogoś innego.

Pani nadkomisarz zdawała się go rozumieć. Przed chwilą obserwowała jego obojętną twarz i uśmiechnęła się do niego. Tak jak uśmiecha się do ocalałych.



Przez całą noc Myriam myśli o szkielecie leżącym na stole w kuchni. Gdy tylko zamyka oczy, widzi szkielet kurczaka tuż obok, w swoim łóżku.

Wypiła duszkiem kieliszek wina z ręką na stoliku, obserwując szkielet kątem oka. Ogarniał ją wstręt na myśl, że miałyby go dotknąć, poczuć. Opanowało ją dziwne uczucie, że coś mogłoby się wtedy stać, że ptak mógłby ożyć i skoczyć jej do oczu, wczepić się jej we włosy, popchnąć ją na ścianę. Wypaliła papierosa w oknie w salonie, potem wróciła do kuchni. Włożyła gumowe rękawiczki i wrzuciła szkielet do kosza. Wyrzuciła też talerz i ścierkę, która leżała obok. Biegiem wyniosła czarne worki i gwałtownie zamknęła za sobą drzwi do śmietnika.

Weszła do łóżka. Serce tak waliło jej w piersi, że z trudem oddychała. Próbowwała zasnąć, a potem, nie mogąc już wytrzymać, zadzwoniła do Paula i płacząc, opowiedziała mu o kurczaku. Uznał, że dramatyzuje. Śmiał się z całej historii jak ze słabego horroru.

– Chyba nie powiesz mi, że doprowadziłaś się do takiego stanu z powodu drobiu?  
– Próbuje ją rozśmieszyć, pozbawić sytuację całej grozy. Myriam się rozłącza. Paul chce się do niej dodzwonić, ale jej telefon nie odpowiada.

Nie może spać, dręczą ją oskarżycielskie myśli, a potem poczucie winy. Zaczyna mieć pretensje do Louise. Myśli, że jest szalona. Może nawet niebezpieczna. Że zije ponurą nienawiścią do swoich pracodawców, pała żądzą zemsty. Wyrzuca sobie, że nie miała świadomości, do jakiej agresji jest zdolna Louise. Zauważyła już, że niania może wpaść w złość z różnych powodów. Kiedyś Milla zgubiła w przedszkolu sweterek i Louise nie była w stanie tego przeboleć. Codziennie przypominała Myriam o tym niebieskim sweterku. Przysięgła sobie, że go znajdzie, napastowała nauczycielkę, woźną i panie ze stołówki. Gdy przyszła w poniedziałek rano, Myriam ubierała właśnie Milę. Mała miała na sobie niebieski sweterek.

– Znalazła go pani? – spytała niania z zachwytem.

– Nie, ale kupiłam taki sam.

Louise wpadła we wściekłość.

– To po co ja sobie zadaję tyle trudu, żeby go znaleźć?! I co to ma być? Pozwalamy się okradać, nie dbamy o swoje rzeczy, ale to nie szkodzi, bo mamusia odkupi Mili sweterek?

A potem Myriam zaczyna oskarżać siebie. „To moja wina – myśli – posunęłam się za daleko. Ona mówi mi w ten sposób, że jestem rozrzutna, lekkomyślna, niedbała. Louise musiała uznać wyrzucenie tego kurczaka za afront, pewnie ma kłopoty finansowe. Zamiast jej pomóc, upokorzyłam ją”.

Budzi się o świcie, ma wrażenie, że prawie nie spała. Gdy wstaje z łóżka, od razu zauważa, że w kuchni się świeci. Wychodzi z sypialni i widzi Louise siedzącą pod małym oknem wychodzącym na podwórze. Niania trzyma w rękach filiżankę, którą Myriam kupiła jej na imieniny. Jej twarz spowija obłok pary. Louise przypomina staruszkę, drżącego ducha w bladym świetle poranka. Jej włosy i skóra straciły barwę. Myriam odnosi wrażenie, że ostatnio Louise chodzi ciągle ubrana tak samo, niebieska bluzka z okrągłym kołnierzykiem wywołuje w niej nagle mdłości. Tak bardzo chciałaby nie musieć się do niej odzywać. Chciałaby sprawić, żeby Louise zniknęła z jej życia, bez żadnego wysiłku, jednym gestem, mrugnięciem oka. Ale Louise nadal tu jest i uśmiecha

się do niej.

Swoim cienkim głosikiem pyta:

– Zrobić pani kawy? Wygląda pani na zmęczoną.

Myriam wyciąga rękę i bierze gorącą filiżankę.

Myśli o długim dniu, który ją czeka, będzie bronić człowieka przed sądem przysięgłych. W kuchni, stojąc naprzeciw Louise, zdaje sobie sprawę ze śmieszności tej sytuacji. Wszyscy podziwiają jej wojowniczość, Pascal chwala odwagę, z jaką stawia czoło przeciwnikom, a ona czuje ucisk w gardle na widok tej małej blondynki.

Niektóre nastolatki marzą o planie filmowym, stadionach piłkarskich, pełnych salach koncertowych. Myriam zawsze marzyła o sędzie przysięgłych. Już jako studentka starała się jak najczęściej oglądać procesy. Jej matka nie rozumiała, jak mogą ją pasjonować ponure historie gwałtów, precyzyjne, przygnębiające, beznamienne wywody na temat kazirodztwa czy zabójstwa. Myriam przygotowywała się do egzaminu adwokackiego, gdy rozpoczął się proces Michela Fournireta, seryjnego mordercy, którego sprawę pilnie śledziła. Wynajęła pokój w Charleville-Mézières i codziennie dołączała do grupy niepracujących kobiet, które przychodziły zobaczyć potwora. Przed budynkiem sądu rozbito wielki namiot i licznie zgromadzona publiczność mogła uczestniczyć na żywo w rozprawach dzięki olbrzymim ekranom. Trzymała się nieco z boku. Nie rozmawiała z nikim. Czuła się skrępowana, gdy te kobiety o zarumienionych twarzach, z krótkimi włosami i bardzo krótko obciętymi paznokciami witały furgonetkę wiozącą oskarżonego, obrzucając go obelgami i plując. Ona, taka zasadnicza, nieraz sztywna, była zafascynowana widokiem szczerzej nienawiści, wołaniem o zemstę.

Myriam wsiada do metra i przyjeżdża do sądu przed czasem. Pali papierosa, trzymając w palcach czerwoną wstążkę, którą przepasane są grube akta. Od ponad miesiąca pomaga Pascalowi przygotować proces. Podejrzany, dwudziestoczteroletni mężczyzna, jest oskarżony o to, że razem z trzema współnikami postanowił ukarać dwóch obywateli Sri Lanki. Będąc pod wpływem alkoholu i kokainy, we czterech pobili dwóch kucharzy, nielegalnych imigrantów, nieznaną policji. Zadali jeden cios, potem drugi i bili jednego aż do śmierci, bili, dopóki nie zdali sobie sprawy, że się pomylili, że wzięli jednego czarnoskórego za innego. Nie potrafili wyjaśnić, jak to się stało. Nie mogli też zaprzeczyć, bo wszystko nagrało się na monitoringu.

W czasie pierwszego spotkania mężczyzna opowiedział adwokatom całe swoje życie, była to opowieść pełna kłamstw i oczywistej przesady. Mimo wiszącej nad nim groźby dożywocia próbował podrywać Myriam. Zrobiła wszystko, by zachować „właściwy dystans”. Tym wyrażeniem zawsze posługuje się Pascal, bo to właśnie, jego zdaniem, jest kluczem do zwycięstwa. Metodycznie, posługując się dowodami, próbowała oddzielić prawdę od fałszu. Wyjaśniła mu głosem nauczycielki, używając prostych, ale ostrych słów, że kłamstwo jest złą techniką obrony i że teraz nic nie traci, mówiąc prawdę.

Na rozprawę kupiła młodemu człowiekowi nową koszulę i doradziła mu, by odpuścił sobie niesmaczne żarty i ukradkowy uśmiech, który nadawał mu pyszałkowaty wygląd. „Musimy udowodnić, że pan też jest ofiarą”.

Myriam udaje się skoncentrować i dzięki pracy zapomina o koszmarnej nocy.

Przesłuchuje dwóch biegłych, którzy zostali wezwani na rozprawę, by omówić profil psychologiczny jej klienta. Jedna z ofiar zeznaje za pomocą tłumacza. Idzie to mozolnie, ale obecni na sali są wyraźnie poruszeni. Oskarżony siedzi nieruchomo ze spuszczoneym wzrokiem.

W czasie przerwy w rozprawie, gdy Pascal rozmawia przez telefon, Myriam siedzi na korytarzu, patrząc pustym wzrokiem, i nagle ogarnia ją panika. Z pewnością nie dość poważnie potraktowała tę historię długów. Nie chciała być niedyskretna, a może zlekceważyła całą sprawę, w każdym razie nie przyjrzała się dokładnie pismu z urzędu skarbowego. Powinna była zachować te dokumenty, myśli sobie. Dziesiątki razy prosiła Louise, aby je przyniosła. Niania mówiła, że zapomniała, że jutro będzie pamiętać, obiecuje. Myriam próbowała dowiedzieć się czegoś więcej. Pytała ją o Jacques'a, o te długi, które jak się wydawało, wlekły się za nią latami. Chciała ustalić, czy Stéphanie wie o jej kłopotach. Na pytania zadawane łagodnym wyrozumiałym głosem Louise odpowiadała całkowitym milczeniem. „Pewnie jest jej wstyd”, pomyślała Myriam. To sposób na zachowanie granicy między naszymi dwoma światami. Wtedy zrezygnowała z pomagania jej. Miała okropne wrażenie, że jej ciekawość jest jak ciosy zadawane kruchemu ciału Louise, które od kilku dni zdaje się płowieć, blednąć, niknąć. W ciemnym korytarzu, w którym panuje irytujący gwar, Myriam czuje się bezradna, dopada ją ciężkie głębokie zmęczenie.

Tego ranka zadzwonił Paul. Zachowywał się miło i pojednawczo. Przeprosił za swoją głupią reakcję. Za to, że nie potraktował jej poważnie.

– Zrobimy, jak zechcesz – powtórzył. – W tej sytuacji nie możemy dalej jej zatrudniać. – I dodał pragmatycznie: – Poczekamy do lata, wyjedziemy na wakacje, a po powrocie damy jej do zrozumienia, że już jej nie potrzebujemy.

Myriam odpowiedziała słabym głosem, bez przekonania. Wciąż pamięta radość dzieci, gdy zobaczyły nianię po kilku dniach choroby. Pamięta smutne spojrzenie, które rzuciła jej Louise, jej księżycową twarz. Słyszy jeszcze niejasne i trochę śmieszne przeprosiny, jej wstyd, że nie wywiązała się z powierzonego zadania. „To się więcej nie powtórzy – mówiła. – Obiecuję pani”.

Oczywiście wystarczyłoby położyć temu kres, zakończyć to. Ale Louise ma klucze do ich mieszkania, wszystko wie, wrosła w ich życie tak głęboko, że wyrzucenie jej z niego wydaje się niemożliwe. Odepchną ją, a ona wróci. Pożegnają się z nią, a ona zapuka do drzwi, wejdzie mimo wszystko, będzie im grozić jak zraniony kochanek.

## *Stéphanie*

Stéphanie miała dużo szczęścia. Gdy poszła do gimnazjum, pracodawczyni Louise, pani Perrin, zaproponowała, że zapisze dziewczynę do liceum w Paryżu mającego znacznie lepszą opinię niż to w Bobigny, do którego miała trafić. Pani Perrin chciała zrobić przysługę biednej Louise, która tak ciężko pracuje i tak bardzo się stara.

Ale Stéphanie nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Zaledwie kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego zaczęły się kłopoty. Zakłócała porządek w klasie. Parskała śmiechem, rzucała różnymi przedmiotami przez całą salę, wulgarnie odpowiadała nauczycielom. Pozostali uczniowie uważali ją jednocześnie za zabawną i męczącą. Ukrywała przed Louise uwagi w dzienniczku, ostrzeżenia, wezwania do dyrektora. Zaczęła wagarować i palić przed południem skręty, leżąc na ławce na skwerku w piętnastej dzielnicy.

Pewnego wieczoru pani Perrin wezwała nianię, by podzielić się z nią swoim głębokim rozczarowaniem. Czuła się zdradzona. Z powodu Louise było jej strasznie wstyd. Nie mogła spojrzeć w oczy dyrektorowi, którego tak długo musiała przekonywać, by wyświadczył jej przysługę i przyjął Stéphanie. Dziewczyna miała się za tydzień stawić przed komisją dyscyplinarną razem z Louise. „To coś jak sąd – wyjaśniła jej sucho pracodawczyni. – Będzie pani musiała jej bronić”.

O piętnastej Louise weszła z córką do sali. Było to okrągłe, słabo ogrzewane pomieszczenie z dużymi oknami, przez zielone i niebieskie szyby wpadało kościelne światło. Przy szerokim drewnianym stole siedziało około dziesięciu osób: nauczyciele, pedagodzy szkolni, przedstawiciele komitetu rodzicielskiego. Po kolei zabierali głos:

– Stéphanie jest nieprzystosowana, niezdiscyplinowana, bezczelna.

– To nie jest zła dziewczyna – dodał ktoś – ale jak już zacznie, nie ma sposobu, by przemówić jej do rozsądku.

Dziwili się, że w obliczu tak dramatycznej sytuacji Louise nigdy nie zareagowała. Nie odpowiadała na prośby nauczycieli o spotkanie. Dzwonili do niej na komórkę. Zostawiali nawet wiadomości, ale pozostały bez echa.

Louise błagała, żeby dali jej córce kolejną szansę. Z płaczem tłumaczyła, jak troskliwie zajmuje się swoimi dziećmi, karze je, gdy jej nie słuchają. Że zabrania im oglądać telewizję, kiedy odrabiają lekcje. Powiedziała, że ma pewne zasady i duże doświadczenie w wychowywaniu dzieci. Pani Perrin miała rację, to rzeczywiście był sąd i to ją sądzono. Ją, złą matkę.

Nauczyciele zgromadzeni wokół wielkiego drewnianego stołu w lodowatej sali, w której siedzieli w płaszczach, patrzyli na nią z ukosa. Powtarzali:

– Nie mamy wątpliwości co do pani starań. Jesteśmy pewni, że robi pani, co może. Szczupła, łagodna nauczycielka francuskiego spytała ją:

– Ile rodzeństwa ma Stéphanie?

– Nie ma rodzeństwa – odpowiedziała Louise.

– Ale mówiła pani o swoich dzieciach, prawda?

– Tak, o dzieciach, którymi się zajmuję. O tych, których codziennie pilnuję. I proszę mi wierzyć, moja pracodawczyni jest bardzo zadowolona ze sposobu, w jaki

wychowuję jej dzieci.

Poproszono, by wyszły z sali, żeby mogli się naradzić. Louise wstała i posłała im uśmiech, jak sądziła, kobiety światowej. W korytarzu liceum naprzeciw boiska do koszykówki Stéphanie dalej się głupio śmiała. Była zbyt okrągła, zbyt wysoka, śmieszna, z końskim ogonem na czubku głowy. Miała na sobie krótkie spodenki z nadrukiem, w których jej uda wyglądały monstrualnie. Uroczysty charakter tego posiedzenia najwyraźniej jej nie onieśmielił, tylko ją znudził. Nie bała się, wręcz przeciwnie, uśmiechała się porozumiewawczo, jakby ci nauczyciele w niemodnych moherowych swetrach i babcinych apaszkach byli jedynie słabymi aktorami.

Gdy tylko wyszły z sali, odzyskała dobry humor i pyszałkowaty wygląd próżniaka. Na korytarzu zaczepiała kolegów wychodzących z klasy, podskakiwała i szeptała coś na ucho nieśmiałej dziewczynie, która powstrzymywała się, by nie parsknąć śmiechem. Louise miała ochotę dać Stéphanie w twarz, potrząsnąć nią z całych sił. Chciałaby uświadomić jej, ile upokorzeń i wysiłków kosztowało ją wychowanie takiej córki jak ona. Chciałaby uzmysłwić jej swój pot i lęki, wyrwać jej z piersi tę głupią bez troskę. Rozbić na kawałeczki to, co zostało w niej z dzieciństwa.

Na gwarnym korytarzu Louise powstrzymywała drżenie. Uciszała tylko Stéphanie, zaciskając coraz mocniej palce na pulchnym ramieniu córki.

– Proszę wejść.

Wychowawca wystawił głowę przez drzwi i dał im znak, żeby wróciły na miejsca. Narada trwała zaledwie dziesięć minut, ale Louise nie zrozumiała, że to zły znak.

Gdy tylko matka z córką znowu usiadły, głos zabrał wychowawca. Stéphanie, wyjaśnił, zakłóca porządek i nikt nie może nad nią zapanować. Na próżno próbowali, stosowali różne metody pedagogiczne, bezskutecznie. To przekracza ich kompetencje. Cięży na nich odpowiedzialność i nie mogą się zgodzić, by cała klasa stała się zakładnikiem jednej uczennicy.

– Może – dodał – Stéphanie lepiej się odnajdzie w dzielnicy, w której mieszka. W środowisku, które jest do niej podobne, gdzie będzie miała punkty odniesienia. Rozumie pani?

Był marzec, zima ciągnęła się w nieskończoność. Odnosiło się wrażenie, że już zawsze będzie zimno.

– Jeśli potrzebna pani pomoc w kwestiach administracyjnych, mamy od tego odpowiednich ludzi – zapewniła ją pedagog szkolna.

Louise nie rozumiała. Stéphanie została wyrzucona.

W autobusie, którym wracały do domu, Louise milczała. Stéphanie chichotała, ze słuchawkami na uszach patrzyła przez okno. Szły szarą ulicą prowadzącą do domu Jacques'a. Gdy mijaly targ, Stéphanie zwolniła, żeby obejrzeć stragany. Louise zaczęła nienawidzić jej lekceważenia, egoizmu nastolatki. Chwyciła ją za rękaw i pociągnęła z niesłychaną siłą i brutalnością. Ogarniała ją coraz potężniejsza, coraz bardziej paląca złość. Miała ochotę wbić paznokcie w miękką skórę córki.

Otworzyła drzwi wejściowe i ledwie zamknęły się za nimi, zaczęła bić Stéphanie. Najpierw uderzyła ją w plecy, potężne ciosy pięściami rzuciły jej córkę na ziemię. Skulona nastolatka krzyczała. Louise biła ją dalej. Używając całej swojej kolosalnej siły,

małymi rączkami wymierzała Stéphanie siarczyste policzki. Ciągnęła ją za włosy, odsuwała ręce, którymi córka w obronnym geście zasłaniała głowę. Uderzała w oczy, wyzywała, drapała do krwi. Gdy Stéphanie przestała się ruszać, Louise plunęła jej w twarz.

Jacques usłyszał hałas i podszedł do okna. Patrzył, jak Louise karze córkę, ale nie próbował ich rozdzielić.

Milczenie i nieporozumienia popsuły wszystko. W mieszkaniu panuje ciężka atmosfera. Przy dzieciach Myriam stara się niczego nie dać po sobie poznać, ale trzyma Louise na dystans. Ledwo się do niej odzywa, wydaje jej precyzyjne polecenia. Idzie za radą Paula, który jej powtarza: „To nasza pracownica, nie przyjaciółka”.

Nie piją już razem herbaty w kuchni, kiedy to Myriam siedziała przy stole, a Louise opierała się o blat. Myriam nie mówi już do niej ciepło: „Anioł z pani” czy: „Drugiej takiej nie ma na świecie”. Nie proponuje już w piątkowe wieczory, by skończyły butelkę różowego wina, które leży na dole lodówki. „Dzieci oglądają film, możemy pozwolić sobie na chwilę odprężenia”, mówiła wtedy Myriam. Teraz gdy jedna otwiera drzwi, druga zamyka je za sobą. Coraz rzadziej przebywają razem w jednym pomieszczeniu i za wszelką cenę starają się nawzajem unikać.

Potem wybucha wiosna, ciepła, wyczekiwana. Dni są coraz dłuższe, na drzewach widać już pierwsze pąki. Ładna pogoda zmienia zwyczaje, zachęca Louise do wyjścia na zewnątrz, do parków, z dziećmi. Pewnego wieczoru pyta Myriam, czy mogłaby skończyć pracę wcześniej.

– Umówiłam się z kimś – wyjaśnia z przejęciem.

Spotyka się z Hervém w dzielnicy, w której on pracuje, i idą razem do kina. Hervé wolałby się napić czegoś w ogródku, ale Louise nalegała. Zresztą film bardzo mu się podobał, toteż idą zobaczyć go drugi raz w następnym tygodniu. W sali Hervé dyskretnie drzemie obok Louise.

W końcu Louise zgadza się pójść z nim do ogródka w pubie przy bulwarach. Hervé jest szczęśliwym człowiekiem, myśli Louise. Z uśmiechem opowiada jej o swoich planach. O wakacjach, które mogliby razem spędzić w Wogezach. Kąpaliby się nago w jeziorach, spaliby w schronisku górskim, którego właściciel jest jego znajomym. I cały czas słuchaliby muzyki. Puszczaliby jej płyty ze swojej kolekcji i jest pewien, że bardzo szybko nie mogłaby się bez nich obyć. Hervé ma ochotę przejść na emeryturę i nie wyobraża sobie, jak by mógł spędzać te lata odpoczynku sam. Rozwiódł się przed piętnastoma laty. Nie ma dzieci i ciąży mu samotność.

Hervé użył wszelkich możliwych sztuczek, nim Louise zgodziła się któregoś wieczoru pójść z nim do domu. Czeka na nią w kawiarni Paradis, naprzeciwko kamienicy państwa Massé. Wsiadają razem do metra i Hervé kładzie zaczerwienioną rękę na kolanie Louise. Ona go słucha, wpatrując się w tę męską rękę, która znalazła sobie miejsce, zaczyna i będzie chciała więcej. W tę dyskretną rękę, która ukrywa swoje zamiary.

Kochają się zwyczajnie, on na niej, ich podbródki czasem się ze sobą zderzają. Hervé jęczy, leżąc na niej, a ona nie wie, czy z rozkoszy, czy też dlatego, że bolą go stawy, a ona mu nie pomaga. Hervé jest taki niski, że Louise czuje jego kostki na swoich. Jego grube kostki, owłosione nogi, i ten dotyk wyda się jej dziwaczny, bardziej inwazyjny niż penis, który czuje w środku. Jacques był taki wysoki i kochał się z nią, jakby ją karał, z wściekłością. Po miłości Hervé poczuł ulgę, jak gdyby spadł z niego ciężar, zrobił się serdeczniejszy.

To tam, w łóżku Hervého, w jego mieszkaniu socjalnym koło Porte Saint-Ouen, gdy spał obok, pomyślała o dziecku. O maleńkim ledwie urodzonym osesku spowitym w ciepły zapach życia, które się zaczyna. O skazanym na miłość dzidziusiu, którego

ubierałaby w pajacyki w pastelowych kolorach i który przechodziłby z jej rąk do rąk Myriam, a potem Paula. O niemowlęciu, które trzymałoby ich razem, połączyłoby ich w tym samym przyptywie czułości. Kazałoby zapomnieć o nieporozumieniach, kłótniach, nadałoby nowy sens codziennym zwyczajom. To dziecko kołysałaby godzinami na kolanach w pokoiku przy słabym świetle lampki, na której obracałyby się w kółko statki i wyspy. Głaskałaby je po łysej główce i delikatnie wkładałaby mały palec do jego ust. Przystawałoby płakać, ssąc nabrzmiałymi dziąsłami polakierowany paznokiec.

Następnego dnia z większą niż zwykle starannością Louise ścieli łożko Paula i Myriam. Przesuwa ręką po prześcieradle. Szuka śladów miłosnych objęć, śladu dziecka, które – jest tego teraz pewna – przyjdzie na świat. Pyta Mili, czy chciałaby mieć braciszka albo siostrzyczkę.

– Dzidziusia, którym obie byśmy się zajmowały, co ty na to?

Louise ma nadzieję, że Mila porozmawia o tym z matką, że podsunie jej tę myśl, która będzie w niej dojrzewać i w końcu zatriumfuje. I pewnego dnia dziewczynka, którą Louise obserwuje z zachwytem, pyta Myriam, czy ma w brzuchu dzidziusia.

– Och, nie, po moim trupie – odpowiada ze śmiechem Myriam.

Louise uważa, że to niedobrze. Nie rozumie, dlaczego Myriam się śmieje, dlaczego tak lekceważąco podchodzi do tej kwestii. Myriam z pewnością mówi to, żeby nie zapeszyć. Udaje obojętność, niemniej o tym myśli. We wrześniu Adam też pójdzie do przedszkola, dom opustoszeje, dla Louise nie będzie już nic do roboty. Musi pojawić się kolejne dziecko, by miała się czym zajmować w dłużące się zimowe dni.

Louise podśluhuje. Mieszkanie jest małe, nie robi tego specjalnie, ale wie wszystko. Tyle że ostatnio Myriam mówi ciszej. Zamyka za sobą drzwi, gdy rozmawia przez telefon. Szepcze z wargami nad ramieniem Paula. Wyglądają, jakby mieli wspólne tajemnice.

Louise opowiada Wafie o dziecku, które ma przyjść na świat. O radości, którą jej da, i o dodatkowej pracy.

– Przy trójce dzieci nie będą się mogli beze mnie obejść.

Louise przeżywa chwile euforii. Przelotnie ogarnia ją mgliste przeczucie, że życie się powiększy, będzie więcej przestrzeni, miłość będzie czystsza, a apetyty większe. Myśli o lecie, które już się zbliża, o rodzinnych wakacjach. Wyobraża sobie zapach przeoranej ziemi i gnijących pestek oliwek na skraju drogi. Korony drzew owocowych w świetle księżycy i nic, żadnego ciężaru, żadnego chowania, żadnego ukrywania.

Znowu zaczyna dobrze gotować, bo w ostatnich tygodniach jej potraw prawie nie dało się jeść. Przygotowuje dla Myriam ryż na mleku z cynamonem, ostro przyprawione zupy i wszystkie rodzaje dań, które mają sprzyjać płodności. Obserwuje z uwagą tygrysicy ciało młodej kobiety. Bada odcień jej skóry, ciężar piersi, blask włosów, wszystkie znaki, które jak sądzi, zwiastują ciążę.

Zajmuje się bielizną ze skupieniem kapłanki, czarownicy wudu. Jak zawsze opróżnia pralkę. Rozwiesza bokserki Paula. Pierze delikatną bieliznę w rękach i w kuchennym zlewie płucze w zimnej wodzie majtki Myriam, jej koronkowe i jedwabne biustonosze. Odmawia modlitwy.

Niestety bez przerwy przeżywa rozczarowania. Nie musi przegrzebywać kosza ze



śmieciami. Nic nie umyka jej uwagi. Zauważyła plamę na spodniach od piżamy rzuconych na podłogę u stóp łóżka po stronie, po której śpi Myriam. Tego ranka dostrzegła na podłodze w łazience maleńką kroplę krwi. Tak maleńką, że Myriam jej nie starła i krew zaschła na zielono-białych płytkach.

Krew bez przerwy powraca, Louise zna jej zapach, krew, której Myriam nie może przed nią ukryć, która co miesiąc jest znakiem śmierci dziecka.

Po dniach euforii następują dni przygnębienia. Świat zdaje się kurczyć, zmniejszać, przygniata jej ciało niczym przytłaczający ciężar. Paul i Myriam zamykają przed nią drzwi, które chciałyby wyważyć. Louise ma tylko jedno pragnienie: tworzyć z nimi jeden świat, odnaleźć swoje miejsce, umościć się w nim, wygrzebać sobie norę, jamę, ciepły kąt. Czasem jest gotowa domagać się swojego kawałka ziemi, a potem zapał opada, ogarnia ją smutek i wstyd jej nawet, że w coś wierzyła.

W pewien czwartkowy wieczór koło dwudziestej Louise wraca do domu. W korytarzu czeka na nią właściciel mieszkania. Stoi pod żarówką, która się spaliła.

– Ach, przyszła pani wreszcie. – Bertrand Alizard niemal rzucił się na nią. Ustawia ekran telefonu komórkowego na twarz Louise, która zakrywa ręką oczy. – Czekałem na panią. Byłem tu kilka razy, wieczorem i po południu. Nigdy pani nie zastałem.

Mówi łagodnym głosem, prężąc tors w stronę Louise, jakby miał ją dotknąć, wziąć za ramię, powiedzieć coś na ucho. Wpatruje się w nią kaprawymi oczami bez rzęs, które trze, zdjawszy wiszące na sznurku okulary.

Louise otwiera drzwi do kawalerki i wpuszcza go do środka. Bertrand Alizard ma na sobie opadające beżowe spodnie i obserwując go od tyłu, Louise zauważa, że nie przeciągnął paska przez dwie szlufki, przez co spodnie wiszą mu w pasie i poniżej pośladków. Przypomina zgarbionego chuderlawego starca, który ukradł ubrania olbrzymowi. Wydawałby się całkowicie bezbronny, z łysą głową, pomarszczonymi policzkami pokrytymi plamami, drżącymi ramionami, całkowicie bezbronny, gdyby nie suche olbrzymie ręce z grubymi jak sierpy paznokciami, ręce rzeźnika, które pociera, by je rozgrzać.

Wchodzi do mieszkania w milczeniu, krok za krokiem, jakby po raz pierwszy odkrywał to miejsce. Ogląda ściany, przejeżdża palcem po nieskazitelnych listwach. Dotyka wszystkiego kościstymi dłońmi, głaszcze narzutę na kanapie, przejeżdża ręką po blacie stołu z laminatu. Mieszkanie wydaje mu się puste, niezamieszkane. Chciałby coś zarzucić swojej lokatorce, powiedzieć, że nie dość, iż nie płaci czynszu, to w dodatku nie dba o mieszkanie. Ale pomieszczenie wygląda dokładnie tak jak w dniu, kiedy po raz pierwszy pokazał jej kawalerkę.

Stojąc z ręką na oparciu krzesła, patrzy na Louise i czeka. Wpatruje się w nią swoimi żółtymi oczami, które już wiele nie widzą, ale nie ma zamiaru spuścić wzroku. Czeką, aż kobieta się odezwie. Aż pogrzebie w torebce, by wyjąć z niej pieniądze na czynsz. Czeką, aż zrobi pierwszy krok, przeprosi, że nie odpowiadała na listy ani na wiadomości, które jej zostawiał. Louise jednak nic nie mówi. Stoi przy drzwiach jak mały przestraszony piesek, który gryzie, gdy chce się go uspokoić.

– Widzę, że zaczęła się pani już pakować. To dobrze. – Alizard wskazuje grubym palcem kilka skrzyń przy wejściu. – Następny lokator pojawi się tu za miesiąc. – Robi kilka kroków i lekko popycha drzwi do kabiny prysznicowej. Porcelanowy brodzik jakby się zapadł, załamały się pod nim spróchniałe deski. – Co tu się stało?

Kuca. Mamrocze coś, zdejmuje marynarkę, którą umieszcza na ziemi, i wkłada okulary. Louise stoi za nim.

Pan Alizard odwraca się i stanowczym głosem powtarza:

– Pytam, co tu się stało!

Louise się wzdryga.

– Nie wiem. To się zdarzyło kilka dni temu. Sądzę, że instalacja jest stara.

– Ależ skąd, sam zamontowałem tę kabinę prysznicową. Powinna pani uważać, że ma szczęście. Przedtem myśliśmy się na klatce. Osobiście zainstalowałem prysznic w kawalerce.

– To się zawaliło.

– Z powodu pani zaniedbania, to oczywiste. Nie sądzi pani chyba, że pokryję koszty naprawy, skoro przez panią prysznic zgnił?

Louise mierzy go wzrokiem i pan Alizard nie wie, co oznacza to niechętne spojrzenie i ta cisza.

– Dlaczego pani do mnie nie zadzwoniła? Od jak dawna żyje pani w takich warunkach? – Alizard znowu kuca, pot zrasza mu czoło.

Louise nie mówi mu, że ta kawalerka jest tylko tymczasowym schronieniem, przerywnikiem, miejscem, w którym ukrywa swoje zmęczenie. Że żyje gdzie indziej. Codziennie bierze prysznic w mieszkaniu Myriam i Paula. Rozbiera się w ich sypialni i delikatnie kładzie ubrania na łóżku małżeńskim. Potem przechodzi nago przez salon, idąc do łazienki. Adam siedzi na ziemi, a ona go mija. Patrzy na uczące się mówić dziecko i wie, że nie zdradzi jej sekretu. Nic nie powie o ciele Louise, o jego pomnikowej bieli, o jej perłowych piersiach, które zaznały tak mało słońca.

Nie zamyka drzwi do łazienki, żeby słyszeć dziecko. Puszczą wodę i długo stoi nieruchomo, tak długo, jak długo jest w stanie wytrzymać pod gorącym strumieniem. Nie ubiera się od razu. Wkłada palce do słoiczków z kremem, które gromadzi Myriam, i masuje sobie łydki, uda, ramiona. Chodzi boso po mieszkaniu owinięta białym ręcznikiem. Swoim ręcznikiem, który codziennie chowa na dnie szafy. Własnym ręcznikiem.

– Zauważyła pani, że coś się zepsuło, i nie próbowała pani jakoś tego naprawić? Woli pani żyć jak Cyganka?

Tę kawalerkę na przedmieściu zostawił sobie z powodów sentymentalnych. Kucając obok prysznic, Alizard dramatyzuje. Wzdycha, odgrywa przedstawienie, łapie się za głowę. Czubkami palców maca czarny mech i potrząsa głową, jakby on jeden zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Głośno liczy koszty naprawy.

– Wyjdzie co najmniej osiemset euro.

Popisuje się wiedzą majsterkowicza, używa pojęć technicznych, utrzymuje, że naprawa tej potwornej awarii potrwa co najmniej dwa tygodnie. Stara się zrobić wrażenie na drobnej blondynce, która nadal milczy.

„Może zapomnieć o kaucji?”, myśli Alizard. Gdy wynajmował jej mieszkanie, nalegał, żeby zapłaciła czynsz za dwa miesiące z góry tytułem gwarancji.

– Przykro to mówić, ale nie można mieć zaufania do ludzi.

Jak daleko sięga pamięcią jako właściciel, nigdy jeszcze nie musiał zwracać tej sumy. Nikt nie jest wystarczająco ostrożny, zawsze coś się znajdzie, jakaś wada, którą on wydobędzie na światło dzienne, jakaś plama, rysa.

Alizard ma smykałkę do interesów. Przez trzydzieści lat jeździł tirem z Francji do Polski. Spał w kabinie, prawie nie jadł, opierał się wszelkim pokusom. Oszukiwał, jeśli

idzie o czas odpoczynku, i pocieszał się, licząc pieniądze, których nie wydał, zadowolony z siebie, z tego, że go stać na takie poświęcenia z myślą o przyszłej fortunie.

Rok po roku kupował kolejne kawalerki na przedmieściach Paryża i remontował je. A teraz wszystkie wynajmuje za horrendalną cenę ludziom, którzy nie mają innego wyjścia. Pod koniec każdego miesiąca obchodzi swoje włości i odbiera czynsz. Wkłada głowę w drzwi, nieraz siłą wkracza do środka, by „rzucić okiem”, „upewnić się, czy wszystko w porządku”. Zadaje niedyskretne pytania, na które lokatorzy odpowiadają z niechęcią, modląc się, żeby sobie wreszcie poszedł, opuścił ich kuchnię, wyjął nos z ich szafki. Ale on się nie rusza i wreszcie pytają, czy się czegoś napije, a on się zgadza i wolno sączy płyn. Opowiada o bólu pleców – „Trzydzieści lat w kabinie ciężarówki niszczy kręgosłup” – i przedłuża rozmowę.

Woli wynajmować kobietom, uważa, że bardziej dbają o mieszkania i jest z nimi mniej problemów. Najbardziej lubi studentki, samotne matki, rozwódki, byle nie za stare, bo się wprowadzają i przestają płacić, a prawo stoi po ich stronie. Kiedyś pojawiła się Louise, blondynka ze smutnym uśmiechem, wyglądająca na zagubioną. Poleciała mu ją jego była lokatorka, pielęgniarka ze szpitala Henri-Mondor, która zawsze płaciła czynsz w terminie.

Przekłęty sentymentalizm. Ta Louise nie miała nikogo. Żadnych dzieci, a mąż zmarł i został pochowany. Kiedy stała przed nim ze zwitkiem banknotów w ręce, uznał, że jest ładna i wygląda elegancko w bluzce z półokrągłym kołnierzykiem. Patrzyła na niego potulna, pełna wdzięczności. Szepnęła: „Byłam bardzo chora”, a jego korciło, żeby zadać jej pytania, zapytać, co robiła po śmierci męża, skąd pochodzi i na co była chora. Ale nie zdążył, bo powiedziała: „Znalazłam właśnie pracę w Paryżu u bardzo porządnej rodziny”. I na tym rozmowa się skończyła.

Teraz Bertrand Alizard ma ochotę pozbyć się tej milczącej niedbalej lokatorki. Nie da się więcej oszukiwać. Nie może już znieść jej przeprosin, uników, opóźnień w płatnościach. Nie wie dlaczego, ale na widok Louise przechodzi go dreszcz. Coś w niej budzi jego niesmak; ten enigmatyczny uśmiech, wyzywający makijaż, sposób, w jaki patrzy na niego z góry, no i nie otwiera ust. Nigdy nie odpowiedziała na jego uśmiech. Nigdy nie zadała sobie trudu, by zauważyć, że włożył nową marynarkę i zaczesał na bok żalony kosmyk rudych włosów.

Alizard podchodzi do zlewu. Myjąc ręce, mówi:

– Przyjdę za tydzień z materiałami i z robotnikiem, który się tym zajmie. Powinna pani skończyć się pakować.

Louise zabiera dzieci na spacer. Spędzają długie popołudnia na skwerze, gdzie przycięto drzewa, a trawnik, który znowu się zazielenił, okupują studenci z dzielnicy. Dzieci cieszą się ze spotkań przy huśtawkach, choć często nie znają swoich imion. Dla nich nie liczy się nic poza nowym przebraniem, nową zabawką, miniaturowym wózkiem, w którym dziewczynka ułożyła swojego dzidziusia.

Louise zaprzyjaźniła się tylko z jedną osobą w dzielnicy. Nie odzywa się do nikogo poza Wafą. Poza tym ogranicza się do grzecznych uśmiechów, dyskretnego kiwnięcia ręką. Odkąd się pojawiła, pozostałe nianie ze skwerku odnoszą się do niej z dystansem. Louise odgrywała guwernantkę, przyzwoitkę, angielską *nurse*. Koleżanki zarzucały jej, że się wywyższa, że ma śmieszne maniery światowej damy. Uchodziła za taką, która poucza innych, ponieważ nie uznawała za stosowne, by odwrócić wzrok, gdy nianie z telefonem przy uchu zapominały wziąć dziecko za rękę, przechodząc przez ulicę. Zdarzało jej się nawet ostentacyjnie zwracać uwagę maluchom, których nikt nie pilnował, gdy kradły zabawki innym dzieciom albo spadały z poręczy.

Mijały miesiące i spędzając długie godziny na ławkach, nianie się poznawały, niemal mimo woli, jak koleżanki z biura pod gołym niebem. Codziennie widują się po szkole, spotykają się w supermarketach, u pediatry albo na karuzeli na placyku. Louise zapamiętała parę imion lub kraje, z których pochodzą. Wie, w którym domu pracują, kim są z zawodu ich pracodawcy. Siedząc pod różanym krzewem, który zakwitł tylko do połowy, słucha niekończących się rozmów telefonicznych prowadzonych przez te kobiety kończące chrupać ciasteczko w czekoladzie.

Wokół zjeżdżalni i piaskownicy rozbrzmiewają języki: baule, diuła, arabski i hindi, słowa miłości wypowiedane są po filipińsku lub rosyjsku. Języki z końca świata mieszają się ze szczebiotem dzieci, a te uczą się pojedynczych słów, które zachwyceni rodzice każą im powtarzać. „On mówi po arabsku, zapewniam cię, posłuchaj”. Potem, z biegiem lat, dzieci zapominają, a gdy w pamięci zaciera się twarz i głos niani, której już nie ma, nikt w domu nie pamięta, jak mówi się „mamo” w języku lingala albo jak nazywały się te egzotyczne potrawy, które przygotowywała dobra niania. „Jak to ona mówiła na tę pieczeń?”

Wokół dzieci, które są do siebie podobne, często noszą takie same ubrania kupione w tych samych sklepach, z etykietkami, na których matki starannie wypisały imiona maluchów, żeby się nie pomylić, uwija się cała chmara kobiet. Młode dziewczyny w czarnych chustach, które muszą być jeszcze bardziej punktualne, łagodniejsze, czystsze od innych. Takie, które co tydzień zakładają inną perukę. Filipinki, które proszą po angielsku dzieci, by nie skakały po kałużach. Te z długim stażem, które znają dzielnicę od wielu lat, są na ty z dyrektorką przedszkola i spotykają na ulicy młodzież, swoich dawnych wychowanków, i wmawiają sobie, że nastolatki je poznały, a nie ukłoniły im się z nieśmiałości. Nowe, które pracują kilka miesięcy, a potem znikają bez pożegnania, pozostawiając po sobie plotki i podejrzenia.

Nianie niewiele wiedzą o Louise. Nawet Wafa, mimo że zdaje się dobrze ją znać, zachowuje dyskrecję, jeśli chodzi o życie przyjaciółki. Próbowaly ją oczywiście podpytać. Biała niania je intryguje. Ileż to razy rodzice stawiali ją za wzór, chwalać jej talenty kucharskie, całkowitą dyspozycyjność, wspominając o bezgranicznym zaufaniu,

jakim darzy ją Myriam? Zastanawiają się, kim jest ta krucha kobieta bez żadnych wad. U kogo pracowała, zanim się tutaj zjawiała? W której dzielnicy Paryża? Czy ma męża? Czy ma dzieci, do których wraca wieczorem po pracy? Czy pracodawcy dobrze ją traktują?

Louise nie odpowiada wcale albo odpowiada półgębkiem i nianie rozumieją jej milczenie. Każda z nich ma sekrety, których nie chce wyznać. Ukrywają straszne wspomnienia zgiętych kolan, upokorzeń, kłamstw. Nie chcą mówić o głosach z trudem słyszalnych przez telefon, o rozmowach telefonicznych, które ciągle coś przerywa, o ludziach, którzy umarli i których już nie zobaczyły, o nieustannych prośbach o pieniądze dla chorego dziecka, które już ich nie poznaje i zapomniało dźwięk ich głosu. Niektóre, Louise o tym wie, kradną jakieś drobiazgi, warte tyle co nic, jakby pobierały podatek od szczęścia innych. Niektóre ukrywają swoje prawdziwe nazwiska. Nie przyszłoby im do głowy, żeby mieć za złe Louise jej rezerwę. Nie mają do niej zaufania i tyle.

Na skwerku żadna nie mówi wiele o sobie, a jeśli już, to za pomocą aluzji. Żadna nie chce, by łzy napłynęły jej do oczu. Wystarczający temat do ożywionych rozmów stanowią pracodawcy. Nianie śmieją się z ich obsesji, zwyczajów, stylu życia. Pracodawcy Wafy są skąpi, chlebodawcy Alby straszliwie nieufni. Matka małego Jules'a ma problemy z alkoholem. Większością z nich – skarżą się nianie – manipulują dzieci, które rodzice rzadko widują, więc bez przerwy im ustępują. Rosalia, Filipinka o bardzo ciemnej karnacji, pali jednego papierosa za drugim. „Pani ostatnio przyłapała mnie na ulicy. Wiem, że mnie pilnuje”.

Gdy dzieci biegają po żwirku czy grzebią w piaskownicy, w której merostwo niedawno przeprowadziło deratyzację, skwerek zamienia się w biuro pośrednictwa pracy i związek zawodowy, w centrum reklamacji i drobnych ogłoszeń. Tu krążą oferty pracy, opowieści o sporach między pracodawcami i pracownikami. Kobiety przychodzą na skargę do Lydie, samozwańczej przewodniczącej, wysokiej pięćdziesięcioletniej kobiety z Wybrzeża Kości Słoniowej, która nosi sztuczne futra i rysuje sobie cienkie brwi czerwoną kredką.

O osiemnastej skwerek zajmują bandy młodocianych. Wszyscy ich znają. Przychodzą z rue de Dunkerque i z Gare du Nord, wiadomo, że zostawiają koło placu zabaw połamane fajki, sikają do kwietników, szukają okazji do bójki. Na ich widok nianie szybko zbierają leżące płaszcze, zapiaszczone koparki, wieszają torebki na wózkach i idą sobie.

Procesja mija ogrodzenie skwerku, po czym kobiety się rozdzielają, jedne wracają w stronę Montmartre'u czy Notre-Dame-de-Lorette, inne, jak Louise i Lydie, podążają w dół Grands Boulevards. Idą obok siebie. Louise trzyma Milę i Adama za ręce. Gdy chodnik jest za wąski, puszcza przodem Lydie zgiętą nad wózkiem, w którym śpi noworodek.

– Wczoraj przyszła jedna młoda kobieta w ciąży. W sierpniu rodzi bliźniaki – opowiada Lydie.

Wszyscy wiedzą, że niektóre matki, te najbardziej przezorne i zapobiegliwe, przychodzą tu dobić targu, jak kiedyś chodziło się do doków czy w głąb jakiegoś zaułka,

by znaleźć gosposię albo złotą rączkę. Matki krążą między ławkami, obserwują nianie, przyglądają się twarzom dzieci, gdy przybiegają między uda tych kobiet, które energicznie wycierają im nosy albo pocieszają je, bo upadły. Nieraz zadają pytania. Prowadzą prywatne śledztwo.

– Mieszka przy rue des Martyrs i rodzi z końcem sierpnia. Ponieważ kogoś szuka, pomyślałam o tobie – kończy Lydie.

Louise podnosi na nią oczy lalki. Słyszy głos Lydie z oddali, słyszy, jak dźwięczy w jej mózgu, ale słowa nie odrywają się od siebie, z tej magmy nie wyłania się żaden dźwięk. Schyla się, bierze Adama na ręce i chwytą pod pachę Milę. Lydie podnosi głos, coś powtarza, sądzi, że może Louise nie dosłyszała, że jest roztargniona, bo całą uwagę skupia na dzieciach.

– Więc co o tym myślisz? Dać jej twój numer telefonu?

Louise nie odpowiada. Rozpędza się i idzie do przodu, brutalna, głucha. Zachodzi drogę Lydie i uciekając, gwałtownym gestem przewraca wózek, w którym nagle obudzone dziecko wybucha płaczem.

– Odbiło ci czy co? – wrzeszczy niania, której wszystkie zakupy wpadły do rynsztoka.

Louise jest już daleko. Wokół Murzynki na ulicy zgromadziła się grupka ludzi, zbierają mandarynki, które toczą się po chodniku, wyrzucają do kosza mokrą bagietkę. Martwią się o dziecko, któremu na szczęście nic się nie stało.

Lydie będzie kilkakrotnie opowiadać tę niewiarygodną historię i będzie się zaklinać: – „Nie, to nie był przypadek. Ona wywróciła wózek. Zrobiła to celowo”.

Ogarnęła ją obsesja dziecka. Myśli wyłącznie o nim. Ten dzidzius, którego będzie kochać szaleńczą miłością, rozwiąże wszystkie jej problemy. Gdy tylko dziecko będzie w drodze, uciszy jędze na skwerku, sprawi, że ohydny właściciel jej mieszkania zmieni zdanie. Dzidzius ochroni miejsce Louise w jej królestwie. Wmawia sobie, że Paul i Myriam nie mają dość czasu dla siebie. Że Mila i Adam są przeszkodą dla dzidziusia. To ich wina, że małżeństwu nie udaje się spotkać. Ich kaprysy męczą rodziców, zbyt lekki sen Adama przerywa ich miłosne uściski. Gdyby dzieci bez przerwy nie kręciły im się pod nogami, marudząc i domagając się czułości, Paul i Myriam mogliby pójść na całość i spłodzić dziecko dla Louise. Pragnie tego dzidziusia z fanatyczną mocą, zaślepieniem opętanej. Chce go tak, jak nigdy niczego nie chciała, do tego stopnia, że czuje ból, że byłaby w stanie zdusić, spalić, unicestwić wszystko, co jest przeszkodą w zaspokojeniu jej pragnienia.

Któregoś wieczoru Louise niecierpliwie wyczekuje Myriam. Gdy wreszcie drzwi się otwierają, Louise rzuca się na nią z błyszczącym wzrokiem. Trzyma za rękę Milę. Niania wygląda na spiętą, skoncentrowaną. Jakby bardzo starała się pohamować, nie podskakiwać ani nie krzyżeć. Myślała o tej chwili przez cały dzień. Plan wydaje się jej doskonały, wystarczy teraz tylko, by Myriam się zgodziła, by nie protestowała i wpadła w ramiona Paula.

– Chciałabym zabrać dzieci do restauracji. Dzięki temu zje pani spokojnie kolację z mężem.

Myriam kładzie torebkę na fotelu, Louise śledzi ją wzrokiem, podchodzi bliżej, staje tuż obok. Myriam czuje na sobie jej oddech. Nie pozwala się jej skupić. Louise jest jak dziecko, które pyta wzrokiem: „Zgodzisz się?”, a całe jego ciało przebiega dreszcz niecierpliwości, podniecenia.

– Och, nie wiem. Nie planowaliśmy tego. Może innym razem.

Myriam zdejmuje marynarkę i zmierza do sypialni. Ale zatrzymuje ją Mila. Na scenę wkracza dziecko, w stu procentach popierając nianię. Błaga łagodnym głosem:

– Mamo, proszę cię. Chcemy iść z Louise do restauracji.

Myriam w końcu ustępuje. Nalega, że zapłaci za kolację, i już szuka pieniędzy w torebce, ale Louise ją powstrzymuje:

– Bardzo panią proszę. Dziś ja ich zapraszam.

W kieszeni na udzie Louise trzyma banknot, który czasem głaszcze czubkami palców. Idą do restauracji. Wcześniej wypatrzyła małe bistro, w którym spotykają się przede wszystkim studenci, amatorzy piwa za trzy euro. Ale tego wieczoru bistro jest niemal puste. Właściciel, Chińczyk, siedzi za ladą w świetle jarzeniówek. Ma na sobie czerwoną koszulę z krzykliwym nadrukiem i rozmawia z kobietą siedzącą nad piwem w skarpetkach opadających jej na grube kostki. W ogródku dwóch mężczyzn pali papierosy.

Louise popycha Milę do restauracji. W sali unosi się zapach zimnego tytoniu, pieczeni i potu, od którego dziewczynce robi się niedobrze. Mila jest bardzo rozczarowana. Siada, ogląda pustą salę, brudne półki, na których stoją butelki keczupu i musztardy. Nie tak to sobie wyobrażała. Myślała, że zobaczy ładne panie, że będzie gwar, muzyka, zakochani. Zamiast tego opiera się o zatłuszczony stół i wpatruje się



w ekran telewizora nad ladą.

Louise z Adamem na kolanach mówi, że nie będzie jeść.

– Wybiorę coś dla was, dobrze? – Mila nie ma nawet czasu odpowiedzieć, bo Louise już prosi o kielbaski z frytkami. – Podzielią się – dodaje.

Chińczyk ledwie się odzywa i zabiera jej z rąk kartę.

Louise zamawia kieliszek wina, które pije wolniutko, spokojnie, próbując rozmawiać z Milą. Przyniosła kartki i kredki, które kładzie na stole. Ale Mila nie ma ochoty rysować. Nie jest też specjalnie głodna i ledwie coś dzióbie na talerzu. Adam wrócił do wózka, trze oczy pięściami.

Louise patrzy na szybę, na zegarek, na ulicę, na ladę, na której opiera się właściciel. Obgryza paznokcie, uśmiecha się, a potem wzrok jej mętnieje, staje się nieobecny. Chciałaby czymś zająć ręce, skupić się cała na jednej myśli, ale jest tylko kawałkiem szkła, jej duszę obciążają kamyczki. Przeciera kilkakrotnie ręką stół, jakby chciała zebrać niewidoczne okruszki albo wygładzić zimną powierzchnię. Zalewają ją niejasne obrazy, bez związku ze sobą, przesuwają się coraz szybciej, wspomnienia łączą się z żałami, twarze z nigdy nie spełnionymi marzeniami. Zapach plastiku na dziedzińcu szpitala, gdzie wyprowadzano ją na spacer. Śmiech Stéphanie, jednocześnie wybuchowy i przytłumiony, jak śmiech hieny. Twarze zapomnianych dzieci, miękkość włosów głaskanych czubkami palców, kredowy smak ciastka z jabłkami, które wyschło na dnie torebki, ale mimo wszystko je zjadła. Słyszy głos Bertranda Alizarda, jego głos, który kłamie, mieszają się z nim inne głosy, głosy wszystkich tych, którzy jej rozkazywali, dawali rady, nakazywali coś, nawet łagodny głos tej kobiety komornika, która – pamięta – miała na imię Isabelle.

Uśmiecha się do Mili, chciałaby ją pocieszyć. Wie, że dziewczynce zbiera się na płacz. Zna to uczucie, ten ciężar na piersi, skrępowanie z powodu miejsca, w którym się znalazła. Wie też, że Mila powstrzymuje łzy, jest powściągliwa, ma maniery panienki z dobrego domu, jest zdolna do zachowania, które ma się nijak do jej wieku. Louise zamawia drugi kieliszek i gdy pije, obserwuje małą, która nie odrywa wzroku od ekranu telewizora. Wtedy Louise widzi bardzo wyraźnie pod maską dziecka rysy jego matki. Niewinne gesty dziewczynki mają w sobie załazek kobiecej nerwowości, szorstkości chlebowdawczyni.

Chińczyk zbiera puste kieliszki i napoczęty talerz z jedzeniem. Kładzie na stole rachunek nagryzmołony na kartce w kratkę. Louise się nie rusza. Czeka, by minął czas, by nastąpiła noc, myśli o Paulu i o Myriam, ciesząc się ich spokojem, pustym mieszkaniem, kolacją, którą zostawiła na stole. Z pewnością zjedli na stojąco w kuchni, jak przed przyjściem na świat dzieci. Paul nalewa żonie wina, kończy kieliszek. Jego ręka ślizga się teraz po skórze Myriam i śmieją się, tacy już są, to ludzie, którzy się śmieją, kochając się, pragnąc, bez zahamowań.

Wreszcie Louise wstaje. Wychodzą z restauracji. Mila czuje ulgę. Ciężą jej powieki, chce teraz wracać domu, iść do łóżka. Adam zasnął w wózku. Louise poprawia mu koc. Gdy tylko zapada zmierzch, przyczajona zima odzyskuje swoje prawa, wnika pod ubrania.

Louise trzyma dziewczynkę za rękę i idą, długo idą przez Paryż, z którego zniknęły

wszystkie dzieci. Idą bulwarami, mijają teatry i oblegane kawiarnie. Zapuszczają się w coraz ciemniejsze, w coraz węższe uliczki, które nieraz wychodzą na placyki, gdzie młodzi palą skręty oparci o kosze na śmieci.

Mila nie rozpoznaje tych ulic. Chodniki oświetla żółte światło. Wydaje jej się, że te budynki, te restauracje są bardzo daleko od jej domu, więc podnosi na Louise zaniepokojony wzrok. Czeką, by niania ją uspokoiła. Może to jakaś niespodzianka? Ale Louise idzie wciąż naprzód, przerywa ciszę jedynie, by mruknąć: „No chodź, idziemy”. Mała wykręca sobie kostki na bruku, strach ściska jej żołądek, jest przekonana, że jej skargi mogłyby tylko pogorszyć sytuację. Czuje, że kaprysy na nic się nie zdadzą. Na rue Montmartre Mila obserwuje dziewczyny palące przed barami, dziewczyny na wysokich obcasach, które trochę za głośno krzyczą i właściciel je ochrzania: „Sąsiedzi śpią, przymknijcie się trochę!”. Mała straciła wszystkie punkty odniesienia, nie wie, czy jest w swoim mieście, czy stąd widać jej dom, czy rodzice wiedzą, gdzie się podziewa.

Nagle Louise zatrzymuje się na środku gwarnej ulicy. Patrzy w górę, stawia wózek pod ścianą i pyta Milę:

– Jaki smak wybierasz?

Mężczyzna za ladą czeka znużony, aż dziecko się zdecyduje. Mila jest za mała, żeby zobaczyć pojemniki z lodami, staje na czubkach palców, a potem nerwowo odpowiada:

– Truskawkowy.

Z jedną ręką w dłoni Louise, a w drugiej trzymając rożek, Mila pokonuje tę samą drogę w przeciwną stronę, w nocy, liżąc loda, od którego strasznie boli ją głowa. Zamyka bardzo mocno oczy, żeby ból minął, próbuje skoncentrować się na smaku zmiażdżonych truskawek i na kawałeczkach owoców, które utykają jej między zębami. Lód pada zimnymi płatkami na jej pusty żołądek.

Wracają autobusem. Mila pyta, czy może skasować bilet, jak za każdym razem, gdy jadą razem autobusem. Ale Louise ją ucisza:

– W nocy nie potrzeba biletów. Nie przejmuj się.

Gdy Louise otwiera drzwi do mieszkania, Paul leży na kanapie. Z zamkniętymi oczami słucha płyty. Mila rzuca się na niego. Skacze mu w ramiona i wtula lodowatą twarz w szyję ojca. Paul udaje, że ma do niej pretensje, że tak późno wraca, że przez cały wieczór bawiła się w restauracji jak duża dziewczynka. Myriam, powiedział im, wzięła kąpiel i położyła się wcześniej spać.

– Przyszła z pracy wykończona, nawet jej nie widziałem.

Louise ogarnia straszliwa melancholia. Wszystko na nic. Jest jej zimno, bolą ją nogi, wydała ostatnie pieniądze, a Myriam nawet nie zaczekała na męża, tylko poszła spać.

Z dziećmi człowiek czuje się samotny. Ich nie obchodzi nasz świat. Domyślają się jego brutalności, ciemnych stron, ale nie chcą o tym słyszeć. Louise mówi do nich, a one odwracają głowę. Trzyma je za ręce, kuca, by być na ich wysokości, lecz one już patrzą w inną stronę, coś zobaczyły. Znalazły sobie zabawę, która usprawiedliwia ich brak zainteresowania. Nie udają, że czują litość do nieszczęśliwych.

Louise siada koło Mili. Dziewczynka rysuje, kucając na krześle. Jest w stanie pochylać się w skupieniu nawet przez godzinę nad kartkami i stosem flamastrów. Starannie koloruje, zwraca uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Louise lubi siedzieć koło niej, patrzeć, jak kolory wypełniają kartkę. Patrzy w milczeniu na olbrzymie kwiaty rozkwitające koło pomarańczowego domu w ogrodzie, w którym postaci o długich dłoniach i podłużnych ciałach śpią na trawniku. Milla nie pozostawia pustego miejsca. Chmury, latające samochody, dmuchane baloniki pokrywają niebo połyskliwą gęstwiną.

– Kto to jest? – pyta Louise.

– Tu? – Milla kładzie palec na olbrzymiej uśmiechniętej postaci zajmującej ponad połowę strony. – To Milla.

Dzieci nie stanowią już dla Louise pocieszenia. Historie, które im opowiada, utykają gdzieś w martwym punkcie i Milla to zauważa. Mityczne stworzenia straciły energię i blask. Teraz te postaci zapominały już, jaki jest cel i sens ich walki, a jej bajki stały się tylko fragmentarycznymi, chaotycznymi opowieściami o długich wędrownkach, zubożałych księżniczkach, chorych smokach, są jak egoistyczne monologi, z których dzieci nic nie rozumieją i nie mają cierpliwości ich słuchać.

– Wymyśl coś innego – prosi Milla, a Louise nie jest w stanie nic wymyślić, tonąc w słowach jak w ruchomych piaskach.

Louise rzadziej się śmieje, wkłada mniej serca w partie chińczyka czy w bitwy na poduszki. A przecież uwielbia tę dwójkę dzieci, które całymi godzinami obserwuje. Do łez rozczulają ją spojrzenia, które czasem jej rzucają, szukając aprobaty czy pomocy. Lubi zwłaszcza, gdy Adam się odwraca, by była świadkiem jego postępów, radości, gdy daje jej do zrozumienia, że w każdym jego ruchu jest coś, co jest skierowane do niej i tylko do niej. Chciałaby aż do upojenia żywić się ich niewinnością, entuzjazmem. Chciałaby widzieć ich oczami, gdy patrzą na coś po raz pierwszy, gdy udaje im się zrozumieć logikę jakiegoś mechanizmu i mają nadzieję, że będzie się to powtarzać w nieskończoność, nigdy nie myśląc o tym, że kiedyś ich to znudzi.

Przez cały dzień Louise nie wyłącza telewizji. Ogląda apokaliptyczne reportaże, idiotyczne programy, gry, nie zawsze rozumiejąc ich reguły. Po zamachach Myriam zapowiedziała, że dzieciom nie wolno samym oglądać telewizji. Ale Louise się tym nie przejmuje. Milla wie, że nie może opowiadać rodzicom, co widziała. Nie można wymawiać słów „pościg”, „terrorysta”, „zabici”. Dziecko patrzy łapczywie, w milczeniu na przesuwające się wiadomości. A potem, gdy ma już dość, odwraca się do brata. Bawią się, kłóć. Milla popycha go na ścianę, chłopiec wrzeszczy, po czym rzuca się na nią.

Louise się nie odwraca. Całkowicie nieruchoma, nie odrywa wzroku od ekranu. Niania nie chce iść na skwerek. Nie chce spotkać innych dziewczyn ani wpaść na starą sąsiadkę, przed którą się upokorzyła, oferując jej swoje usługi. Dzieci nerwowo kręcą się po mieszkaniu, proszą ją, chciałyby wyjść na świeże powietrze, pobawić się z kolegami,

kupić gofra z czekoladą na końcu ulicy.

Irytuja ją krzyki maluchów, też ma ochotę wrzeszczeć. Wykańczające popiskiwanie dzieci, ich cienkie głosiki, pytania: „Dlaczego?”, egoistyczne pragnienia, od tego wszystkiego głowa jej pęka. „Kiedy będzie jutro?”, pyta setki razy Mila. Louise nie może zaśpiewać piosenki, by nie poprosiły o zaśpiewanie jej jeszcze raz, domagają się wiecznego powtarzania wszystkiego, opowieści, zabaw, min, i Louise ma tego dość. Straciła wyrozumiałość dla ich płaczu, kaprysów, histerycznej radości. Czasami ma ochotę chwycić Adama za szyję i potrząsać nim, aż zemdleje. Przepędza te myśli, kręcąc głową. Udaje jej się przestać o tym myśleć, ale całą ją zalała ciemna lepka maź.

*Ktoś musi umrzeć. Ktoś musi umrzeć, żebyśmy byli szczęśliwi.*

Ponure refreny kołyszają Louise, gdy idzie. Po głowie kołaczą jej się zdania, których nie wymyśliła i nie jest pewna, czy rozumie ich sens. Jej serce stwardniało. Z biegiem lat pokryła je gruba zimna skorupa, tak że teraz ledwie słyszy, jak bije. Nic nie jest już w stanie jej wzruszyć. Musi przyznać, że nie potrafi już kochać. Wyczerpała całą czułość, jaką miała w sercu, jej ręce nie mają już czego dotykać.

„Zostanę za to ukarana – słyszy w myślach – zostanę ukarana, bo nie potrafię kochać”.

Zachowały się zdjęcia z tego popołudnia. Nie zostały wywołane, ale gdzieś są, w środku jakiegoś urzędu. Widać na nich głównie dzieci. Adama leżącego na trawie, rozebranego. Patrzy w bok wielkimi niebieskimi oczami, jakby był nieobecny, niemal melancholijny mimo swojego wieku. Na jednym ze zdjęć Mila biegnie szeroką aleją wysadzaną drzewami. Ma na sobie białą sukienkę, na której są narysowane motyle. Jest boso. Na innym zdjęciu Paul niesie Adama na barana, a Milę na rękach. Myriam jest po drugiej stronie obiektywu. To ona uwieczni tę chwilę. Twarz męża jest zamazana, jego uśmiech zasłania stopa chłopca. Myriam też się śmieje, nie przychodzi jej na myśl, żeby prosić ich, by się nie ruszali. By na moment przestali się wiercić. „Proszę was, dajcie mi zrobić zdjęcie”.

A przecież zależy jej na tych zdjęciach, które robi setkami i ogląda w chwilach melancholii. W metrze, między dwoma spotkaniami, nieraz nawet przy kolacji portrety dzieci prześlizgują się jej między palcami. Uważa też, że jej obowiązkiem jako matki jest utrwalanie tych chwil, posiadanie dowodów minionego szczęścia. Będzie mogła któregoś dnia podetknąć je pod nos Mili czy Adamowi. Będzie przeglądać te wspomnienia i obraz obudzi dawne uczucia, detale, atmosferę. Zawsze powtarzano jej, że dzieci są ulotnym szczęściem, efemerycznym obrazem, niecierpliwością. Wieczną metamorfozą. Okrągłe twarze, które stają się poważne, mimo że nie zdajemy sobie z tego sprawy. Więc gdy tylko ma okazję, patrzy zza ekranu iPhone'a na swoje dzieci, które są dla niej najpiękniejszym pejzażem świata.

Thomas, przyjaciel Paula, zaprosił ich na cały dzień do swojego domu na wsi. Zamyka się tam, by komponować piosenki i oddawać się nałogowi alkoholowemu. W głębi parku Thomas hoduje kucyki. Surrealistyczne krótkonogie kucyki, jasnowłose jak amerykańskie aktorki. Przez olbrzymi ogród, którego granic nie zna nawet Thomas, przepływa strumyczek. Dzieci jedzą obiad na trawie. Rodzice piją różowe wino, a w końcu Thomas stawia na stole wino w kartonie, które bez przerwy sączy.

– Jesteśmy we własnym gronie, prawda? Nie będziemy się szczypać.

Thomas nie ma dzieci i ani Paulowi, ani Myriam nie przyszłoby do głowy, by zanudzać go opowieściami o niani, wychowaniu, rodzinnych wakacjach. W tym pięknym majowym dniu zapominają o swoich lękach. Ich problemy wydają im się tym, czym są naprawdę: drobnymi codziennymi kłopotami, niemal błahostkami. Zajmuje ich już tylko przyszłość, plany, szczęście, które zaraz rozkwitnie. Myriam jest pewna, że we wrześniu Pascal zaproponuje, by została jego współniczką. Będzie mogła wybierać sobie sprawy, powierzać niewdzięczną pracę stażystom. Paul patrzy na swoją żonę i dzieci. Myśli sobie, że najtrudniejsze jest już za nimi, że teraz czeka ich to, co najlepsze.

Spędzają wspaniały dzień, biegając i bawiąc się. Dzieci wsiadają na kucyki, karmią je jabłkami i marchewką. Wyrrywają chwasty w miejscu, które Thomas nazywa ogródkiem warzywnym, choć nigdy nie wyrosło tam żadne warzywo. Paul bierze gitarę i rozśmiesza całe towarzystwo. Potem wszyscy milkną, gdy Thomas śpiewa, a Myriam mu wtóruje. Dzieci szeroko otwierają oczy na widok dorosłych, którzy są tacy mądrzy, że śpiewają w niezrozumiałym dla nich języku.

Gdy nadchodzi pora powrotu, maluchy podnoszą wrzask. Adam rzuca się na ziemię i nie chce wyjeżdżać. Mila, która też jest wykończona, łąka w ramionach Thomasa. Kiedy

tylko dzieci siadają w samochodzie, natychmiast zasypiają. Myriam i Paul milczą. Patrzą na pola rzepaku oszołomieni płowym zachodem słońca, który dodaje poetycką nutę parkingom, strefom przemysłowym, szarym turbinom wiatrowym.

Na autostradzie był wypadek i zrobił się zator, więc Paul, którego korki doprowadzają do szału, postanawia zjechać i dotrzeć do Paryża drogą krajową.

– Wystarczy włączyć GPS.

Zapuszczają się w ciemne ulice, wzdłuż których stoją brzydkie mieszczańskie domy z zamkniętymi okiennicami. Myriam drzemie. Liście na drzewach błyszczą w świetle lamp jak tysiące czarnych diamentów. Chwilami otwiera oczy zaniepokojona, czy Paula też nie zmorzył sen. Mąż ją uspokaja, a ona znowu zasypia.

Budzi ją odgłos klaksonów i z przymkniętymi oczami, jeszcze oszołomiona snem i nadmiarem różowego wina, nie rozpoznaje od razu alei, na której stoją w korku.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Paula, który nie odpowiada, bo nie ma pojęcia i całkowicie skupia się na tym, by ustalić, dlaczego utknęli, dlaczego nie mogą jechać dalej.

Myriam odwraca głowę. Byłaby znowu zasnęła, gdyby nie zobaczyła tutaj, na chodniku po drugiej stronie, znajomej sylwetki Louise.

– Patrz – mówi do Paula, wyciągając rękę.

Ale Paul koncentruje się na korku. Analizuje możliwości, by jakoś wyjechać, nawrócić. Trafił na skrzyżowanie, gdzie ze wszystkich stron nadjeżdżają samochody, które nie posuwają się do przodu. Skutery torują sobie drogę, przechodnie ocierają się o maski. Światła w ciągu kilku sekund zmieniają się z czerwonych na zielone. Wszyscy stoją.

– Spójrz, tam, myślę, że to Louise.

Myriam podnosi się odrobinę na siedzeniu, żeby lepiej zobaczyć twarz kobiety idącej po drugiej stronie skrzyżowania. Mogłaby opuścić szybę i zawołać ją, ale wyglądałoby to śmiesznie, niania z pewnością by jej nie usłyszała. Myriam widzi włosy blond, kok na karku, charakterystyczny dla Louise sposób poruszania się, zwinny i rozedrgany. Niania, wydaje jej się, idzie wolno, oglądając wystawy na ulicy. Potem Myriam traci jej sylwetkę z oczu, drobną postać zasłonili piesi, znalazła się w grupie, która śmieje się i wymachuje rękami. I pojawia się znowu po drugiej stronie przejścia, jak obrazy na starym, trochę wypłowiałym filmie w Paryżu, który ciemności czynią nierealnym. W swoim niezmiennym półokrągłym kołnierzyku i zbyt długiej spódnicy Louise wydaje się tu nie na miejscu, jak postać z innej bajki, jakby znalazła się w obcym świecie, skazana na wieczną tułaczkę.

Paul wściekle trąbi, budząc dzieci. Wystawia rękę przez okno, ogląda się za siebie, po czym ostro przyspieszając i klnąc, skręca w prostopadłą ulicę. Myriam chciałaby go powstrzymać, powiedzieć, że nigdzie się nie spieszą, że nie ma sensu się denerwować. Aż do ostatniej chwili spogląda z nostalgią na Louise stojącą nieruchomo pod latarnią, na Louise księżycową, niemal zamazaną, czekającą na coś na granicy, którą zamierza przekroczyć i za którą zniknie.

Myriam opada na siedzenie. Znowu patrzy przed siebie, jest zmieszana, jakby spotkała wspomnienie, bardzo dawną znajomą, młodzieńczą miłość. Zastanawia się,

gdzie idzie Louise, czy to rzeczywiście była ona i co tu robi. Chciałaby jeszcze dłużej obserwować ją przez szybę, patrzeć, jak żyje. To, że zobaczyła ją na tym chodniku przypadkiem, w miejscu tak oddalonym od tych, w których zazwyczaj ją widuje, budzi w niej nagłą ciekawość. Po raz pierwszy próbuje sobie wyobrazić, fizycznie, wszystko to, czym jest Louise, gdy nie jest z nimi.

Słyszając, że matka wypowiada imię niani, Adam też spojrział przez okno.

– To moja niania! – krzyczy, pokazując ją palcem, jakby nie rozumiał, że może mieszkać gdzie indziej sama, że może chodzić, nie opierając się o wózek ani nie trzymając dziecka za rękę. Pyta: – Gdzie idzie Louise?

– Wraca do siebie – odpowiada Myriam. – Do swojego domu.

Nadkomisarz Nina Dorval leży z otwartymi oczami na łóżku w swoim mieszkaniu przy boulevard de Strasbourg. W deszczowym sierpniu Paryż opustoszał. Noc jest cicha. Jutro rano o siódmej trzydzieści, o tej godzinie, o której Louise codziennie przychodziła do dzieci, z mieszkania przy rue d'Hauteville zostaną zdjęte plomby i nastąpi rekonstrukcja wydarzeń. Nina poinformowała o tym sędziego śledczego, prokuratora i adwokatów.

– Ja będę odgrywać nianię – powiedziała.

Nikt nie ośmieliłby się jej sprzeciwić. Pani nadkomisarz zna tę sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Pierwsza pojawiła się na miejscu zbrodni po telefonie Rose Grinberg. Nauczycielka muzyki wrzeszczała: „To niania! Ona zabiła dzieci!”.

Tamtego dnia policjantka zaparkowała przed budynkiem. Właśnie odjechała karetka. Dziewczynkę wieziono do najbliższego szpitala. Ulicę blokowali już gapie zafascynowani wyciem syren, pośpiechem ratowników, pobladłymi twarzami oficerów policji. Przechodnie udawali, że na coś czekają, zadawali pytania, stali nieruchomo na progu piekarni albo w bramach. Jakiś mężczyzna, wyciągając ramię, sfotografował wejście do budynku. Nina Dorval kazała go usunąć.

Na schodach nadkomisarz minęła ratowników, którzy wynosili matkę. Podejrzana była jeszcze na gorze, nieprzytomna. W ręce trzymała biały ceramiczny nożyk.

– Wyprowadźcie ją tylnym wyjściem – rozkazała Nina.

Weszła do mieszkania. Rozdzieliła role. Patrzyła, jak pracują oficerowie kryminalistyki w obszernych białych kombinezonach. W łazience zdjęła rękawiczki i pochyliła się nad wanną. Najpierw zanurzyła czubki palców w mętnej lodowatej wodzie, robiąc w niej bruzdy, wprawiając ją w ruch. Statek piracki odpłynął na falach. Nie mogła się zdecydować, by wyciągnąć dłoń, coś ciągnęło ją na dno. Zanurzyła rękę aż do łokcia, potem aż do ramienia i tak zastał ją jeden ze śledczych, gdy kucała z przemoczonym rękawem. Poprosił, by wyszła, bo musi zdjąć ślady.

Nina Dorval krążyła po mieszkaniu z dyktafonem przy wargach. Opisała miejsca, zapach mydła i krwi, odgłos włączonego telewizora i nazwę nadawanej właśnie audycji. Nie opuściła żadnego szczegółu: otwarta pralka, z której wystawała zmięta koszula, pełen zlew, ubrania dzieci rzucone na podłogę. Na stole stały dwa plastikowe różowe talerze, na których schły resztki obiadu. Sfotografowano makaron muszelki i kawałki szynki. Później, gdy lepiej poznała historię Louise, gdy opowiedziano jej o legendarnym przywiązaniu niani do porządku, Nina Dorval dziwiła się, że w mieszkaniu panował taki bałagan.

Wysłała komisarza Verdiera na Gare du Nord po Paula, który wracał z podróży. Poradzi sobie, pomyślała. To doświadczony człowiek, znajdzie właściwe słowa, uda mu się go uspokoić. Komisarz przyszedł z dużym wyprzedzeniem. Usiadł z dala od przeciągu i patrzył na przyjeżdżające pociągi. Miał ochotę zapalić. Pasażerowie wysiedli z jednego wagonu i zaczęli biec grupami. Pewnie mieli przesiadkę. Komisarz śledził wzrokiem spocony tłum, kobiety na wysokich obcasach przyciskające do siebie torebki, mężczyzn, którzy krzyczeli: „Proszę nas przepuścić!”. Potem przyjechał pociąg z Londynu. Komisarz Verdier mógł czekać u stóp wagonu, którym podróżował Paul, ale wolał stanąć na końcu peronu. Patrzył, jak zmierza w jego stronę osierocony teraz ojciec,



w słuchawkach na uszach, z małą torbą w ręce. Nie wyszedł mu naprzeciw. Chciał dać mu jeszcze kilka minut. Jeszcze kilka sekund, zanim rzuci go samotnie w odmęty niekończącej się nocy.

Policjant pokazał mu odznakę. Poprosił, by poszedł za nim, a Paul na początku sądził, że to pomyłka.

W kolejnych tygodniach nadkomisarz Ninie Dorval udało się zrekonstruować bieg wydarzeń. Mimo milczenia Louise, która nadal była w śpiączce, mimo zgodnych zeznań na temat wzorowej niani, pomyślała, że uda jej się znaleźć jakiś słaby punkt. Obiecała sobie, że zrozumie, co stało się w tym sekretnym zacisznym świecie dzieciństwa, za zamkniętymi drzwiami. Sprowadziła Wafę do budynku przy quai des Orfèvres 36<sup>1</sup> i przesłuchiwała ją. Młoda kobieta bez przerwy płakała, nie była w stanie wydusić ani słowa i policjantka w końcu straciła cierpliwość. Powiedziała, że nie obchodzi jej status prawny Wafy, jej dokumenty, umowa o pracę, a także naiwność i obietnice Louise. Chciała się tylko dowiedzieć, czy tamtego dnia widziała Louise. Wafa opowiedziała, że przysłała rano do mieszkania. Zadzwoiła i Louise uchyliła drzwi.

– Jakby coś ukrywała. – Ale Alphonse podbiegł, prześlizgnął się jej między nogami i dołączył do dzieci, które jeszcze w piżamach siedziały przed telewizorem. – Próbowałam ją przekonać. Powiedziałam, że mogłybyśmy wyjść, iść na spacer. Jest piękna pogoda i dzieci będą się nudzić. – Louise nie chciała o tym słyszeć. – Nie wpuściła mnie do środka. Zawołałam Alphonse’a, który był bardzo rozczarowany, i poszliśmy.

Ale Louise nie została w mieszkaniu. Rose Grinberg stanowczo twierdziła, że spotkała nianię w sieni kamienicy godzinę przed swoją drzemką. Godzinę przed morderstwem. Skąd wracała Louise? Gdzie była? Ile czasu spędziła poza domem? Policjanci obeszlą dzielnicę ze zdjęciem Louise w ręce. Przepyтали wszystkich. Musieli uciszyć kłamców, osoby samotne, które konfabulowały, by wypełnić czas. Udali się na skwerek, do kawiarni Paradis, odwiedzili pasażę przy rue du Faubourg-Saint-Denis i zadawali pytania sklepikarzom. A potem znaleźli to nagranie wideo z supermarketu. Nadkomisarz Dorval oglądała je z tysiąc razy. Patrzyła, aż robiło się jej niedobrze, jak Louise spokojnie spaceruje między półkami. Obserwowała, jak jej dłonie, jej małe rączki biorą karton mleka, paczkę herbatników i butelkę wina. Na tym filmie dzieci biegają między półkami, a niania nie śledzi ich wzrokiem. Adam zrzuca opakowania, wpada pod nogi kobiecie, która pcha wózek. Mila próbuje dosięgnąć do jajek z czekolady. Louise jest spokojna, nie otwiera ust, nie woła ich. Zmierza do kasy i to oni, śmiejąc się, wracają do niej. Rzucają się jej pod nogi, Adam ciągnie ją za spódnicę, ale Louise ich ignoruje. Ledwie zdradza oznaki irytacji, które policjantka odgaduje po lekkim zaciśnięciu warg, po przelotnym spojrzeniu z góry. Louise, myśli sobie policjantka, przypomina te dwulicowe matki, które w bajkach zostawiają dzieci w ciemnym lesie.

O szesnastej Rose Grinberg zamknęła okiennice. Wafa doszła do skwerku i usiadła na ławce. Hervé skończył zmianę. O tej właśnie godzinie Louise skierowała się do łazienki. Jutro Nina Dorval będzie musiała powtórzyć te same gesty: odkręcić kran, wsadzić rękę pod strumień wody, żeby ocenić temperaturę jak wtedy, gdy kąpała swoich synów, gdy byli jeszcze mali. I powie: „Dzieci, chodźcie. Wykąpiecie się”.

Trzeba było spytać Paula, czy Adam i Mila lubili wodę. Czy z reguły stawiali opór,

zanim się rozebrali. Czy lubili bawić się w wodzie pośród zabawek.

– Mogła wybuchnąć kłótnia – wyjaśniła nadkomisarz. – Czy sądzi pan, że mogli się przestraszyć, a raczej zdziwić, że mają się kąpać o czwartej po południu?

Pokazano ojcu zdjęcie narzędzia zbrodni. Zwykły nóż kuchenny, ale tak mały, że Louise mogła go z pewnością częściowo ukryć w dłoni. Nina spytała, czy go rozpoznaje. Czy należał do nich czy też Louise go kupiła, czy zrobiła to z premedytacją.

– Proszę się nie spieszyć – powiedziała.

Paul jednak nie potrzebował czasu. Ten nóż przywiózł im Thomas w prezencie z Japonii. Ceramiczny nóż, niezwykle ostry, wystarczyłoby dotknięcie, by naciąć skórę na palcach. Nóż do sushi, za który Myriam dała mu jedno euro, żeby zakląć los.

– Ale nigdy nie używaliśmy go w kuchni. Myriam schowała go do górnej szafki. Nie chciała, żeby był w zasięgu dzieci.

Po dwóch miesiącach śledztwa prowadzonego dzień i noc, po dwóch miesiącach tropienia przeszłości tej kobiety, Nina zaczyna wierzyć, że zna Louise lepiej niż ktokolwiek inny. Wezwała Bertranda Alizarda. Mężczyzna trząsł się na fotelu w jej pokoju przy quai des Orfèvres. Po piegach spływał mu pot. Tak się boi krwi i złych niespodzianek, że został w korytarzu, gdy policja przeszukiwała kawalerkę Louise. Szuflady były puste, szyby nienagannie czyste. Nie znaleźli tam niczego. Tylko jedno stare zdjęcie Stéphanie i kilka zamkniętych jeszcze kopert.

Nina Dorval zanurzyła ręce w gnijącej duszy Louise. Chciała się z niej wszystkiego dowiedzieć. Sądziła, że będzie w stanie zburzyć pięściami mur milczenia, którym otoczyła się Louise. Przesłuchiwała państwa Rouvierów, pana Francka, panią Perrin, lekarzy ze szpitala Henri-Mondor, gdzie leczono Louise z powodu zaburzeń nastroju. Całymi godzinami czytała notes w kwiatki i w nocy śniły się jej te koślawe litery, nieznanne nazwiska, które Louise zapisywała ze starannością samotnego dziecka. Nadkomisarz odnalazła sąsiadów z czasów, gdy Louise mieszkała w domu w Bobigny. Zadawała pytania nianiom na skwerku. Zdawało się, że nikt jej nie zna. „Mówiliśmy sobie dzień dobry, do widzenia i tyle”. Nic szczególnego.

A potem patrzyła na oskarżoną śpiącą na białym łóżku. Poprosiła pielęgniarkę, by wyszła z pokoju. Chciała zostać sama ze starzejącą się laleczką. Ze śpiącą laleczką z grubymi białymi opatrunkami zamiast klejnotów na szyi i na rękach. W świetle jarzeniówek pani nadkomisarz wpatrywała się w blade powieki, szare odrosty na skroniach i słabe pulsowanie żyły pod koniuszkiem ucha. Starła się coś wyczytać z tej zropaczonej twarzy, z tej suchej, pooranej zmarszczkami skóry. Nie dotknęła nieruchomego ciała, lecz usiadła i mówiła do Louise tak, jak mówi się do dzieci, które udają, że śpią. Powiedziała:

– Wiem, że mnie słyszysz.

Nina Dorval sama już tego doświadczyła: rekonstrukcje pozwalają nieraz coś odkryć, jak w rytuałach wudu, w których za sprawą transu prawda rodzi się w bólu, na przeszłość pada nowe światło. Gdy jest się na scenie, czasami działa magia, pojawia się jakiś szczegół, jakaś sprzeczność nabiera nagle sensu. Jutro wejdzie do budynku przy rue d'Hauteville, przed którym więdną jeszcze bukiety kwiatów i rysunki dzieci. Ominie świeczki i wsiądzie do windy. Sceną w tym ponurym teatrze będzie mieszkanie, w którym

od tamtego majowego dnia nic się nie zmieniło, nikt nie przyszedł po rzeczy, nawet po dokumenty. Nina Dorval zastuka trzy razy.

Wtedy ogarnie ją fala niesmaku, nienawiści do wszystkiego, do tego mieszkania, pralki, wiecznie pełnego zlewu, zabawek, które uciekają z pudełek i lądują pod stołem z mieczem wzniesionym w niebo, zwisającym uchem. Stanie się na trochę Louise, Louise, która zatyka sobie uszy palcami, żeby ustały krzyki i płacz. Louise, która krąży między sypialnią i kuchnią, łazienką i kuchnią, koszem na śmieci i suszarką do prania, łóżkiem i szafką przy wejściu, balkonem i łazienką. Louise, która wraca, a potem zaczyna od nowa, Louise, która schyla się i staje na palcach. Louise, która wyjmuje nóż z szafki. Louise, która pije kieliszek wina przy otwartym oknie z nogą opartą na małym balkonie.

– Chodźcie, dzieci. Pójdziemy się wykąpać.

<sup>1</sup> Siedziba paryskiej policji kryminalnej (przyp. tłum.).

